



1756
1776
1777

4. 2

1777
1778

1778
1779

1779
1780

1780

1781
1782
1783

1784

1785
1786

492226

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

1098

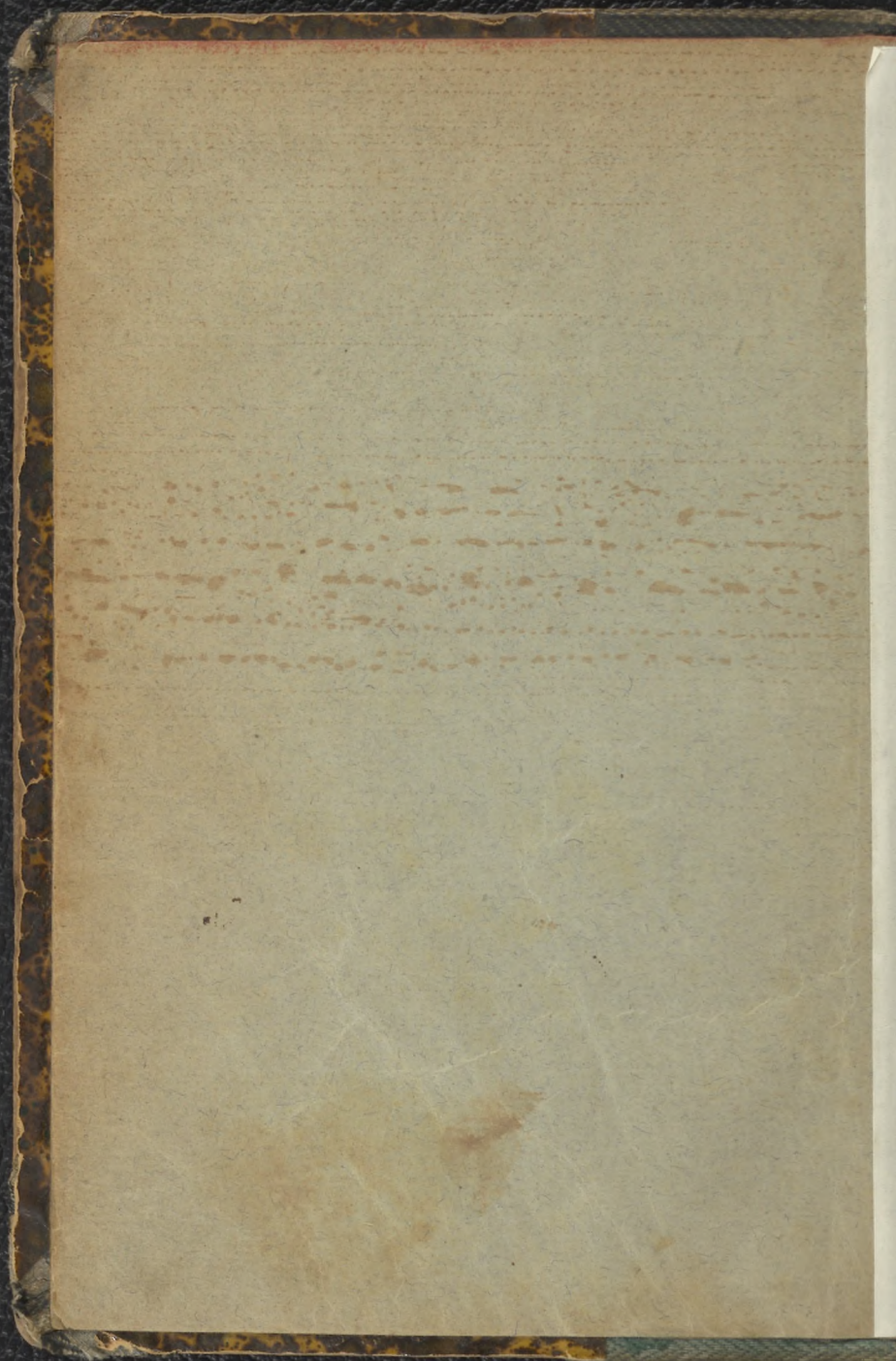
1098

1098

1098

1098

1098



aut. Dmochowski Franciszek
Sadler

DAWNE
OBYCZAJE I ZWYCZAJE

SZLACHTY I LUDU WIEJSKIEGO

W POLSCE

I W OŚCIEŃNYCH PROWINCYACH.

WARSZAWA.

NAKŁADEM F. S. DMOCHOWSKIEGO.

—
1860.



1856

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie, dnia 16/ wietnia 1859 r.

zor, ANTONI FUNKENSTEIN.

T 492. 226



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010871308

1856

w Drukarni J. Jaworskiego.

OBYCZAJE I ZWYCZAJE
LUDU POLSKIEGO

WYDAWCA
W PRAKTYCZNYCH CZASACH
A. CUMPLOWICZA
KRAKÓW, BRACKA 6.

Z postępem cywilizacji, zacierają się i nikną różnice w trybie życia, zwyczajach i obyczajach, które naród od narodu oddzielały. Był lepszy i oświata, przemysł, handel, ułatwienie środków komunikacji, zaprowadza między narodami pewną jednostajność i tworzy z nich wielkie społeczeństwo. Lecz takie zbliżenie się i porównanie, zagładzić nie zdoła do szczytu, tego piętna, które długi przeciąg wieków, na każdym wielkim szczepie rodu ludzkiego wycisnął. Powaga i pewna szorstkość, będą zawsze znamieniem Anglików; lekkość i dowcip, Francuzów; pracowitość, zamknięcie się w rodzinnym kółku, oszczędność, skłonność do badań naukowych i filozoficznych, nie przestanie cechować Niemców; a my i całe plemię Słowiańskie, nigdy nie postradamy otwartości, szczerości, małego dbania o przyszłość, gotowości do poświęceń, miłości do rodzinnej ziemi, któremi inne narody przewyższamy. Lecz, w miarę jak zagładzają się miejscowe zwyczaje, tém bardziej jest zajmującą wiadomość o nich, tém potrzebniejszą do zrozumienia obrazów przeszłości. Znakomici pisarze nasi, poświęcili

Obyczaje.

pracę swoją na te badania. Zasłużony w piśmiennictwie naszym, Łukasz Gołębiowski, w czterech tomach zostawił zarysy ubiorów, gier, zabaw, zwyczajów, zabobonów, domów i dworów szlachty polskiej i licznych plemion słowiańskich, osiedlonych na przestrzeni od Odry aż do Dniepru, od morza Bałtyckiego i Dźwiny, aż do Tatrów i Dniestru. Wiele wiadomości czerpał on z rękopismów księdza Kitowicza, który w sędziwych latach umarł, na początku wieku naszego.

Znaczna część rękopismów księdza Kitowicza, została za czasów naszych wynaleziona i ogłoszona drukiem. Uczony i niespracowany badacz przeszłości naszej, Wacław Alexander Maciejowski, wydobył z odwiecznych rękopismów i ulotnych druków, mnóstwo szczegółów posłużyć mogących do wyjaśnienia i poznania przeszłości naszej. Zamierzając, w obecnym zbiorze, pomieścić najpotrzebniejsze dla młodzieży wiadomości, od czegoż najwłaściwiej rozpocząć mogę tę pracę, jeśli nie od skreślenia obrazu dawnych zwyczajów i obyczajów naszych? Autorowie powyżej wymienieni, mianowicie Ł. Gołębiowski i ks. Kitowicz, będą moimi przewodnikami. Im należy się zasługa i chwała.

*

*

*

Bardzo mało posiadamy wiadomości o zwyczajach i obyczajach naddziadów naszych, z epoki przedchrześcijańskiej. Pracownicy badacze, usiłują odgadnąć je z powieści i pieśni gminnych, z zabobonów dotąd jeszcze istniejących między wiejskim ludem, z napomknień znajdujących się w dawnych kronikach. Sądząc przez analogią, zdaje się, że w narodzie

naszym, dotrwały zwyczaje z epoki bardzo odległej. Weźmy na przykład osadę wiejską, ludną, w ustronném miejscu położoną, do której nie dosięgwał wpływ narodów zachodnich i wschodnich; która stanowiąc część obszernych włości królewskich, nie bardzo obciążona pańszczyzną, nie miała stosunków z dworami szlacheckimi, i mało albo nic od nich nie przejęła; której mieszkańcy nie gonili po świecie za handlem i żegluga, a jako włościanie, niepowoływani do służby żołnierskiej, prawie nigdy nie wychylali się za obręb rodzinnego powiatu. Jakież tam wpływy działać mogły na zmianę języka, obyczajów i zwyczajów? Czem są dzisiaj, tém byli przed pół wiekiem i tak dalej, cofając się w przeszłość, aż do epoki zatartej zupełnie w pamięci, kiedy ich przodkowie na tej ziemi osiedli. Jedna tylko ważna stanowiąca zmiana zaszła w ich trybie życia, a tę zrządziło zaprowadzenie światła wiary: lecz właśnie ten wypadek stawia nieprzebitą mur, nieprzejrzaną zasłonę, za którą prawie nie już dostrzedz nie można.

Toż samo postrzegamy w trybie życia i obyczajach stanu szlacheckiego. Przez długie wieki nie ulegał on zmianom, a chcąc jeszcze powziąć wyobrażenie, jak żył, jak mieszkał ogół szlachty naszej, musimy zajrzeć do cząstkowych zagród szlacheckich, pozostałych tu i owdzie, a mianowicie w Pułtuskim i Ostrołęckim powiecie, albo do zaściankowej szlachty Litwy i Polesia.

Lecz o ile zwyczaje i obyczaje ludu wiejskiego i szlachty uboższej, nie ulegały przemianie, o tyle klasa panów naszych i bogatszych właścicieli stykających się z niemi, chci-

wie przejmowała nowości, ze wszystkich krain do nas napływające. X

Zazwyczaj dzielią mieszkańców Polski na szlachtę i lud. Bacznie wpatrując się w stan społeczeństwa, już w epoce Piastów widzimy wydatne różnice, między możnowładcami i szlachtą mniejszą; lud zaś dzieli się na wiejski i miejski. Miasta tworzą że tak powiem, stan w stanie. Z postępem lat, jedna część szlachty wyradza się na cząstkową: po większej części skutkiem podziału ról ojcowskich, aż do ostateczności posuniętego: a druga wzrasta w majątek i wciela się w klasę możnowładców. Miasta nasze, pierwotnie polskie: przynajmniej można przypuścić że takimi były za Bolesławów naszych, kiedy po kilka tysięcy wojowników dostarczały: zniszczone napadami Krzyżaków, Czechów, Brandeburczyków, Litwinów i Tatarów, zaludniają się Niemcami i zostają pod osobnym prawem, zwaném Magdeburgskiem lub Chełmińskiem. Lecz z przeciągiem lat, już zaczyna w nich przeważać żywioł polski. Potomkowie Niemców zapominają swego języka i pochodzenia, od Zygmunta Augusta, aż do Jana Kazimierza, cieszą się pomyślnym bytem i tylko skłonność do przyjęcia nauki Lutra i Kalwina, wskazuje dawne pochodzenie ich mieszkańców.

Z upadkiem oświaty w kraju, po najazdach Szwedów i Tatarów, po zupełném rozprzężeniu rządu, a przewadze możnowładców, którzy ciemnej i krzykliwej szlachty używali za swoje narzędzie, nastaje powszechna zmiana w obyczajach, zwyczajach i w bycie mieszkańców. Pijaństwo i pieñactwo szerzy się między szlachtą; lud wiejski wpada w co-

raz to większe uciemienienie; wyludniają się miasta, upadają rzemiosła i handel; a wśród tego nieładu, wzrasta, powoli z razu, a potem coraz to bardziej, ludność żydowska i zagarnia wszystek przemysł i handel krajowy. Można władzey chwytają się na ślepo zagranicznych zwyczajów, przywożą ztamtąd zbytek i zepsucie; a chociaż niektórzy z pomiędzy nich, chcą korzystać z cudzoziemskiej oświaty i przyswoić ją krajowi naszemu, ich usiłowania tak są niezgodne z duchem narodu, tak rozstrzelone, że prawie pozostają bez skutku, albo też obcy żywioł, niezgodny z dawnym ojczystym, zaszczipiając na ziemi naszej, więcej złego niż dobrze zrzadzają.

Pośród tych wszystkich przemian, dochowały się główne znamiona rodu naszego, które jak się zdaje, najodleglejszych przedchrześcijańskich czasów zasięgają. Temi są, zamiłowanie roli i ojczystej zagrody, z której niezbędnie wypływa miłość kraju, i duch rycerski, skierowany nie do zaboru obcej, lecz do obrony własnej ziemi. Cały stan szlachecki odznaczał się temi przymiotami. Tkwiły one i w piersiach wiejskiego ludu, lecz odsunięcie włościan od wszelkich zaszczytnych zawodów i przykucie ich do roli, musiało je przytłumić i odrętwić.

Drugą cechą wszystkich klas ludu, była pobożność i wiara; a co najlepsza, wiara prosta, szczerą, uległą, nie zaciękająca się w rozprawy teologiczne, a z nich powstające błędy i odszczepieństwa. Z tą wiarą, połączona rezygnacya na wolę Boską, dopomagała szlachcie do znoszenia ciężkich

kłęk publicznych, a ludowi wiejskiemu słodziła jego poddaństwo.

Wrodzona łagodność i dobrotliwość charakteru, przyczyniła się także do zmniejszenia złego, które z błędnego kierunku rządu i rozprzężenia zbawiennych z razu instytucji wynikło. Przez nią to i dola chłopów poddanych, nie była w ogólności tak nędzną jak o tém pisano i piszą. Świadkiem tego, były liczne sady i pasieki, przy zagrodach wieśniaczych, jeszcze przed pięćdziesięciu laty istniejące; wskazywały one, że spokój, dobry byt i zaufanie, panowało w tej klasie, gdyż bez tych warunków, kmiotek nie pomyśli o uprzyjemnieniu doli swojej. Na głos kapłana, ojcowie nasi składali z serca urazy i gniewy; a lud przystępując do Komunii Świętej, przebaczał zwierzchnikom ich niesprawiedliwość i krzywdy.

Nareszcie, gotowość do poświęcenia ofiar na głos króla i sejmu, dla sprawy powszechniej, jest także ważną i szczytną cechą obyczajów naszych. Zdaje się, że w kraju obszernym, żyznym, rolniczym, nieprzeludnionym, nikt nie lękał się o dolę swoją. Każdy wiedział, że ziemia, wspólna matka nasza, dostarczy mu zboża na chleb, lnu i wełny na odzienie, drzewa do zbudowania strzechy wieśniaczej; nie wiele zatem troszczył się o zbytkowe nabytki i o włości obszerne; używał zasobów odziedziczonych po przodkach i nabytych własnym zachodem; lecz z równą obojętnością poświęcał je na powszechny użytek, a za straconemi nie rozpaczał.


Taki ogólny zarys, przedstawia się myśli zapuszczającą

się w przeszłość naszą. Bez próżnego samochwalstwa powiedzieć możemy, że dobrze przeważa tam nad złem, tém bardziej, że pierwsze z serca i wiary, drugie z nieuchronnego zbiegowiska wypadków pochodzi. Jednej głównie rzeczy brakowało nam od najdawniejszych lat, aż do ostatnich: najwyższej przeważnej siły, któraby wszystkim złym chuciom stawiała opór, a wszystkie dobre zebrała do jednego ogniska; któraby sprawę powszechną, sprawę całości i potęgi państwa, stawiając wyżej nad szczupłe pojedyncze poglądy i cele, stworzyła władzę silną, szanowaną, a tém samém zdolną utrwalić i zabezpieczyć istnienie narodu.

LUD WIEJSKI.

Od czasu, jak zaczęto zwracać co raz to większą uwagę na lud wiejski, gdy polepszeniem jego materialnego i moralnego bytu, zajęły się władze, gdy bez przerwy odzywają się głosy, upominające obywateli ziemskich, o zajęcie się dolą włościan: uczyniono liczne poszukiwania, jaki był ich stan w odległych wiekach i jakim przemianom ulegał.

Pochodzimy z plemienia, które jak tylko zasięgnąć mogą zabytki dziejowe i podania ludu, było rolniczym. Można więc wnioskować, że w początkowej epoce dziejów naszych, gdy szczupła ludność rozsiana była na obszernej przestrzeni lasami zarosłej, a tylko wybrano i uprawiano najżyźniejsze miejsca, przodkowie nasi, tworząc pojedyncze osady czyli gminy, rządzili się patryarchalnym obyczajem. Nie było tam panów i poddanych, lecz tylko kmiecie, żyjący z roli, którą uprawiali własnymi i rodziny swojej rękoma. Lecz, gdy z wzrostem ludności, z pomnażającym się naciskiem od strony zachodniej, trzeba było bronić każdej pędzi ziemi, do której wdzierali się Niemcy; gdy także i od północnego wschodu zagroziły najazdy dziczy litewskiej: musiało dla wspólnej obrony, ustanowić jednego naczelnika narodu i jego radę. Powołał monarcha, wybór mieszkańców do obrony kraju, ich zasługi wynagradzał zaszczytami i na-



dawał im puste obszary ziemi, którą obsadzano ludem w niewolę wojenną uprowadzonym. I tak, jak się zdaje, z saméj natury rzeczy, powstało możnowładztwo i szlachta. Część kmieci podniosła się do zaszczytu szlacheckiego, część pozostała przy dawnych prawach. Lecz szlachta wzrosłszy w majątki i znaczenie, gdy miała w rękę swoim oręż, to pierwotne źródło władzy, podbijała lud wiejski pod moc swoją. Władza monarsza już rozprzegła się u nas, od czasów Bolesława Krzywoustego; odtąd, w miarę coraz to większego jéj osłabienia, wzrastała przewaga szlachty, a podległość włościan; nareszcie, cały lud wieśniaczy poszedł w poddaństwo i nie za członka społeczeństwa, lecz za rzecz i własność dziedzica wioski był uważanym.

Rozrodzona szlachta osiadała na pojedynczych wioskach, lub na znaczniejszych częściach, jeśli było kilkoro rodzeństwa, a nareszcie i na pojedynczych kilku zagonowych częściach. Wpłynęło bardzo to niepomysłnie na dołę kmieciów. Szlachta była tak liczna, że mogła w kilkadziesiąt lub sto tysięcy sama wystąpić do obrony przeciw nieprzyjacielowi kraju. Sądziła zatem, że do udziału w niebezpieczeństwach, chwale i zaszczytach, nie potrzebuje powoływać chłopów, i ciągnęła ich tylko za sobą, jako służbę obozową. Dola wiejskiego ludu, zależała od osobistych przymiotów, od cnot lub złych nałogów pana. Tak było u nas jak i w całej Europie, przez długie czasy, i dopiero w ośmnaście wieku, odezwały się głosy przyjaciół ludzkości, w obronie uciśnionych włościan. Ponieważ nie jesteśmy srodzy, gwałtowni, namietni i nie tyle złością ile zaniedbaniem i lekceważeniem grzeszymy, wynikło ztąd, że lud wiejski cho-

ciaż przywiedziony do poddaństwa, może doznawał lepszej doli, niżeli w innych krajach. Gołombiowski w dziele swym: „*Lud Polski*” tak o tém pisze:

„Myli się, albo z pozorów tylko sądzi, (jak nas zagraniczne okrzyczyły pisma) kto stan kmiotków naszych za najniezszczęśliwszy poczytując, przodków naszych i nas samych, o barbarzyństwo obwinia. Szczególne wypadki nie są stanowczym dowodem, co do całego ogółu. Że odzież kmiotka w oczach cudzoziemca lichą się zdawała, że pokarm jego był gruby, że chałupa jego, w porównaniu z zagranicznymi, była nikczemną, nie wynika ztąd żeby srogiej nędzy doznawał. Niski stan przemysłu, był przyczyną prostych ubogich siermię; do grubych pokarmów i twardego życia wieśniak nawykł od dzieciństwa, zdrowie tém utrzymywał, a w skromnej jego lepiance przemieszkiwała z nim i jego rodziną, cnota, krzepkość i byt szczęśliwy. Sama dobroć charakteru Polaków to sprawia, że dla kmiotków swoich, każdy prawie nie groźnym panem, lecz ojcem i opiekunem był, stawiał im chałupy, dawał konie, woły i wszelką zapomogę, wydzielał pewną miarę gruntu, opatrywał lasem, korzyści z łowienia ryb, zbierania grzybów i jagód pozwalał, i przestawał na skromnym wynagrodzeniu, jakie im za te dobrodziejstwa, umiarkowaną pańszczyzną i szczupłą daniną zwykli łączyć. Był względ na gatunek ziemi, od niego stósownie oznaczona robocizna lub zapłata. I tak, w urzędzeniu ekonomii królewskich 1557 roku, cztery są gatunki gruntów; najlepszy, średni, podły, piaskowaty albo błotnisty. Z włóki pierwszego rodzaju 21 groszy; z drugie-

go 12, z trzeciego 8, z czwartego sześć groszy ówczesnych płacono. Najgorszego gruntu cztery włóki, na jedną dobrą liczono. W niedostatku wszelkim, chłopek u pana wsparcie, w chorobach skuteczną pomoc, w nieszczęściach pociechę znajdował, i zasłonę od ucisku, jakiby kto inny, lub wojskowi mogli mu wyrządzać. Słowem, był to nieraz sposób życia patryarchalny, prawdziwie opiekuńcza nad nimi władza, zwłaszcza, gdy pan sam w majątku i wśród kmiotków swoich przebywał, gdy powściągał groźność, niewyrozumiałość, twardość, albo chciwość ekonomów, gdy pieczołowitość jego nad tym ludem, dzieliła żona, córki, synowie i proboszcz światły.

„Jeśli pan, w ogóle biorąc, moralnym bywał, i kmiotek polski cnoty posiada, któremi słusznie w oczach świata całego pochłubić się może. Przywiązany do wiary swych ojców, Monarchom wierny; prawość, szlachetność i uczciwość, zdaje się, że wyssał z mlekiem. Jestże kraj, w którymby się mniej popełniało zbrodni, bezpieczniejsze były Świątynie Pańskie i domy szczególnych osób, takie nieraz bogactwa w sobie mieszczące, i drogi wszelkie, któremi w ustawicznym ruchu przesuwają się dostatki rozmaite? Gdyby statystyka krajowa, w szczegółach dokładna, podała nam spraw poczet, ich rodzaje i wyszczególnienie klas mieszkańców, poważających się na jakie zbrodnie i za to osądzonych: w przytoczonych z niej wypisach, łatwoby znajdować na to dowody. Dziwił się przychodzić i słusznie, że sługa biorący szczupłą nader płacę, prosty kmiotek, często-kroć przewoził dla właściciela ogromne summy; ani one

chciwości jego nie wzniecały, ani ich uronił przez niebaczność lub niedozór. Włóścianin polski, rzetelny, otwarty, gościnnie, usłużny, roztropny, życzliwy współbraciom i bliźniemu, na wszelkie, dla rodaka, dla obcego nawet, bez względu na wynagrodzenie, gotowy posługi, i kraj swój kochać umiał i bronić go zawsze był gotów, byle nim świątły i poświęcający się zwierzchnik kierował.

„Sklonność do pijaństwa, lenistwo, kradzież drobnych rzeczy, zabobonność i mściwość, dostrzegać się dają w plemienu z siebie dobrém; przy użyciu skutecznych środków, jakżeby one łatwo powściągnąć się dały.”

Tak nam wystawia, szanowny badacz naszych starożytności, jedną stronę obrazu; lecz najdawniejsi nasi pisarze, Réj, Górnicki i ulotne z owych czasów piśma, stawiają nam smutne przykłady ucisku dawnych kmieci, przezwanym chłopami. W. A. Maciejowski, opierając się na tych źródłach, tak pisze:

„Przez nabywanie nauk, tudzież trudnienie się przemysłem i handlem, miał niegdyś gmin otwarte pole do wydzwignienia się ze swojego stanu; ale gdy w drugiej połowie szesnastego wieku, ustaliło się u nas to zdanie, że kto się chamem (gminnym człowiekiem) na wsi urodził, ten robić i rolę orać powinien, stało się przeto, że polskie obywatelstwo miało dwa rodzaje ludzi: szlachtę będącą we wielkiej swój woli, i gmin będący we wielkiej niewoli. Obchodzono się z gminem jak z bydłętami; temi samemi co tamte sposobami zachęcano do pracy; pilnować musiano, gdy co robił; posłuszeństwo i pokorę za największą poczytano mu za-

letę. Wszystko co miał, a szczególnie pieniądze, wolno mu było zabrać, a nabywając chłopą, podobnie jak bydłę oceniano go. Ucisk i nędza, coraz to bardziej upodlały tych ludzi. ¹⁾

Czytajmy kazania Skargi, a znajdziemy tam, jak ciężkie wyrzuty czyni ziemianom polskim za ich obchodzenie się z poddanymi.

„Dotknąłbym i onego złego prawa, którem kmiecie i wierne chrześciany, poddane ubogie, niewolnikami czynią. I czynią z nimi co chcą, na majątności, zdrowiu i gardle, żadnej im obrony i żadnego forum o krzywdy ich nieznośne nie dając i na nich *supremum dominium*, na które się sami wzdrygamy stawiając. Jeżeli nie kupni ani pojmańcy, jeżeli Polacy tejże krwi, nie Turcy ani Tatarzy, jeżeli chrześcianie, czemuż w tej niewoli stękają? Czemu ich nie jako niewolników, ale jako najemników używać nie mamy? A my, wierne i święte chrześciany, którzy nigdy niewolnikami nie byli, bez żadnego prawa, mocą zniewalamy i jako okupione bydło (gdy dla swój nędze uciekać muszą) porywamy, i gdy żywności swój gdzie indziej ubodzy i znędzeni szukają, okup na nich jako Turcy za więźnie wyciągamy... Jakoż się z takim prawem, wszystkiego chrześciaństwa nie wstydzić, jako się o taką tyrańską krzywdę na oczy Boskie ukazać, jako się nie bać, aby nad nami, na pomstę od Boga, poganie takiej mocy i *absolutum dominium* nie używali?” ²⁾

„A ona krew albo pot żywych poddanych i kmiotków,

¹⁾ Polska, co do pierwszej połowy XVII wieku, pod względem obyczajów i zwyczajów. (Tom I. str. 203—205.)

²⁾ Kazanie o prawach niesprawiedliwych.



który ustawicznie ciecze, jakie wszystkiemu królestwu karanie gotuje? Powiadacie sami, iż nie masz państwa w którym by bardziej poddani i oracze uciśnieni byli, pod tak *absolutum dominium*, którego nad nimi szlachta bez żadnej prawnej przeszkody używa; i sami widzimy nie tylko ziemiańskich ale i królewskich kmiotków opressye, z których żaden ich wybawić i poratować nie może. Rozgniewany ziemianin, albo starosta królewski, nie tylko złupi wszystko co ubogi ma, ale i zabije, kiedy chce i jako chce, a o to i słowa złego nie ucierpi.

„Tak, to królestwo, poddane, robaczki nędzne, z których wszyscy żyjem, opatrzyło! Przetoż Pan Bóg grozi u Izajasza proroka. *Wyście wypaśli winnice moje i lupicie ubogich w domu waszem!..czemu tak kruszycie lud mój, i twarze ubogich moich mielecie?* Jako ziarna pod młyńskim kamieniem, tak ci kmiotkowie pod pany swojemi.” ¹⁾

Z takiej samowolności panów, z braku wszelkiej opieki rządowej nad ludem wieśniaczym, wynikły coraz to większe ciężary, któremi ich obarczono. Ł. Gołębiowski tak o tém pisze:

„Kmieć polski, w samém nazwaniu swoim, znaczy gospodarza i właściciela roli; oddawna bowiem, kmiecie polscy, mieli własność gruntów, a prace rolnicze panu należne, stały były oznaczone. Za władzy Piastów, sąd równy i tenże sam był dla pana, co i dla kmiecia, przed królem lub jego powiernikami, w różne części kraju rozsyłanemi. Wprzódym wiara chrześcijańska wprowadzoną została, wedle świa-

¹⁾ Kazanie o niekarności grzechów jawnych.

dectwa dziejów, polski chłopek, nie znał innych danin i podatków, oprócz dziesięciny, którą z płodów swęj ziemi i wszelkiego przychowku oddawał panującemu. Za przyjęciem religii, dziesięcinę ofiarowano duchowieństwu. Nieustawały przecież krajowe potrzeby; trojakię więc gatunku, z koleją czasu, powinności zjawiły się; to jest: pieniężne opłaty, daniny wszelkiego rodzaju i posługi. Oto są ich nazwania. *Poradlne*: podatek od gruntu, tęg obszerności, ile się go przez dzień czworgiem bydła wyorze. Ten pobór, w 1372 roku, na 3 złote od łanu zmniejszony został; od rodzaju pieniędzy, jakimi oddawan był, nazywał się *Skotjec*, *Skotus*. *Podworowe*: czynsz od domów w miastach i miasteczkach. *Podwoda*: była to powinność przewożenia wojsk, żywności lub wojennych potrzeb, sług i sprzętów monarszych, nosiła częstokroć *Angaryji* i *Perangaryji* nazwanie: w r. 1563 na pieniężny datek, a w 1647 na poczty stale ustanowione, zamieniona. *Przewód*: obowiązek ścigania hultajów i złodziejów, albo przewodniczenia ścigającym lub udającym się z rozkazu dworu w innych potrzebach. *Powóz*: czyli dawanie koni, gdy monarchowie objeżdżali swe ziemię. *Stróża*: przedtęm niezawodnie powinność strzeżenia zamków lub miejsc obronnych, a późnięj zamieniona na pewną daninę żyta i owsa na opatrzenie stałej i ćwiczonej załogi. *Stan*: dostarczanie wszelkięj żywności na stół królewski i dla jego dworzan, gdzie tylko panujący stanął, zniesiona w 1372 roku; ślad jęj pozostał w *Osepie*, który w krakowskięm *Sreżna* zwano; datek to zbożowy, a co do owsa w Mazowszu pod imieniem *porzeczne* znajomy. Przy-

pomina go i *Pomocne*; to jest udział siana, zboża, drobiu i jaj. *Powolanie*: to samo znaczy, co teraz *donum gratuitum*, w niezwykłych znać i ważniejszych okolicznościach wymagane. *Mech*: danina z połowu ryb na stawach, rzekach, jeziorach. Co przedtém *Aspergili*, *Aspreole* czyli skórki wieiórcze, za Bolesława Krzywoustego dawane, tém późniéj było *leśne*, z różnych skór zwierzęcych danina. *Targowe*: opłata od wszelkiéj żywności i towarów na targ sprowadzanych. *Pojemszczyzna* od pojęcia żony, płacona przez mieszczan i chłopów. *Krowa*: ofiara którą ojciec w miejscu kunicy, wydając za małż córkę, czynić był obowiązany. *Naraz*: danina miodowa, tę wdowy ponawiające śluby, Panu swemu oddawały. Robił jeszcze kmieć szarwarki do budowy miast i zamków, uprawiał pola dworskie, żął piég kop, zbierał piég wozów siana, młócił zboże i wywoził, ile się go zrodziło, cztery sąźnie płotu na dzień grodził i t. d. Tak mnogie powinności i przydane do nich zapewne uciski, już w 1037, za Mieczysława II bunt sprawiły, a późniéj były jedną z przyczyn, które Władysławowi II i Mieczysławowi III berło z rąk wytrąciły. Powinności te, zwykle się zasadzały na prawie zwycięzcy, który zawojowaną ziemię i wszelką na niéj dawnych mieszkańców własność i pracę za swoją poczytywał, z niéj udziału się domagał. Mnóstwo było dóbr monarszych, przy których rozdawaniu, przenoszono te same obowiązki na rzecz nowych właścicieli, a zachować je każdy z nich pragnął i *prawem je polskiem nazywał*. Zniszczenie kraju przez najazdy Tatarów, Rusi i Litwinów, i wypalenie ludności, było powodem utworzenia

wstępu cudzoziemcom, przychodzącym z własnem *teutońskim* czyli *magdeburgskim* prawem. Prawo to zyskiwały nie tylko miasta, lecz i wiejskie osady: a kiedy dla obcych przychodniów względni panowie, brali od nich czynsz tylko, zawierali z nimi umowy, dozwolali im własnej starszyny i sędziów, a nawet duchowni, w miejsce snopowej dziesięciny, przestawali na *matdratach*, czyli pewnej mierze zboża: na pozostałych przy prawie polskiem, spadała pańszczyzna. Dawne zwyczaje zachowano, brzemie ich powiększając nowemi coraz uciski, władzę nawet sądowniczą obieli właściciele lub rządcy w ich imieniu, a królowie zdawali się wyrzekać wszelkiej nad ludem swoim opieki.

Kazimierz W. w 1347 r. napisał w statucie: że kmieć pod prawem polskiem, dla tyranii pana mógł opuścić, i czynsz tylko roczny opłaciwszy, ziemię swą porzucić; wyrażone były przypadki, w których cała wieś mogła przenieść się do innego właściciela: „Jeśli córki lub żony swych poddanych znieważał, gdy za jego długi i występki ciemniezeni byli.” Nie były to wszakże dostateczne środki dla zabezpieczenia od przemocy. Tak więc początkowo równi innym, poddani jednego monarchy, téjże saméj co i wyższe stany nad sobą doznający opieki, gdy stan szlachecki przemagać zaczął, i nad królami i nad miastami, doznali także zgubnej jego przewagi. Dobrzy i ztąd sławieni panujący, jako to: Kazimierz W. i całe Jagiellońskie plemie, nie na samych tylko przychodniów zwracali oczy, nie przestawali na tém, żeby ich tylko do siebie przynęcać, lecz i dawnym téj ziemi, zasłużonym i tyle dla niej poświęcającym się mieszkańcom,

nie ubliżali swęj pieczołowitości; złe dopiero najwyższęj do-
szło miary, za królów obieranych, i za nich to właściciele
ziemscy przywłaszczyli sobie nieograniczoną władzę nad
kmiotkami.

* * *

Rozmaite prowincye osiadłe ludem polskim, chociaż z je-
dnego szczepu ród swęj wywodzą, różnią się zwyczajami,
duchem, a nawet i wyrazem oblicza.

Krakowiacy.

Powiedzmy naprzód, to co w ogóle o Krakowiakach wy-
rzec można, a co poniekąd i do całego ludu polskiego z ma-
łemi odcieniami da się zastosować. Lud ten odznacza
się zamiłowaniem wiary swych ojców, przywiązaniem do
kraju, uwielbieniem dla monarchy, życzliwością dla panów
i wielu cnotami; szczegółowo zaś, Krakowiak jest trzeźwy,
roboczy, gościnnie, światlejszy od innych; mniej też występ-
ków popełnia i moralność czystsza posiada. Gościnnością
Krakowiak celuje. Wejdz śmiało do jego chatki, przyjmie,
czem tylko może; u sąsiada pożycz, gdy nie ma zapasów.
Przychylny, rad ofiaruje swe usługi, da niewątpliwe życzli-
wości swęj dowody, lecz i urazy pamięta, chociaż czasem za
nie, mści się szlachetnie. Za Kazimierza Jagiellończyka, sta-
rosta pewien, uciążliwym był dla kmiotków. Płomień objął
jego siedzibę; nie spieszyli na ratunek włóścianie, bo nie
kochali swego rządcy. Jonek Łopucha staje przed nimi,
i powiada: „Bracia! pomścijmy się krzywd naszym! spiesz-
my na pomoc naszemu ciemięzcy; niech pozna że my Kra-
kowiacy!” Rzucili się wszyscy. Jonek wszędzie był na cze-

le; uratowano cześć zbiorów i rodzinę starosty wydarto z płomieni. Zdziwiony i rozczulony starosta, nazajutrz ofiaruje znaczną wybawcy nagrodę. „Schowajcie pieniądze, Pani! rzece Jonek; poznaliście co bieda, umiejcie się nad nią litować, bądźcie nam łaskawszym panem. A tak, u Krakowiaka dobrem słowem wskóracie więcej, jak surowością!” Odtąd lepszym był panem starosta, Jonka zniewolił, że przyjął obszerniejsze grunta, i pomoc potrzebną w tym razie. Mocny to ród ludzi; z ich twarzy zdrowie przemawia. Zwykle mężczyzna bywa pleczysty, krępy, barki ma silne, wzrost średni, włos ciemny w krętych splotach na ramiona spadający, bardzo rzadko kędzierzawy. Rysy twarzy u obojg płeć są piękne, łagodna postać, mowa pociągnięta i donośna. Ich pojętność, zastanowienie się, dojrzały rozsądek w przedmiotach im znanych, prosty sposób wyrażania się, naturalne i zwięzłe uporządkowanie myśli, przyjemnie zajmują. Dowcipni, ostrożni, wyrozumiali, łatwo się dają ukształcić i nabywają wszelkiej zdolności. Wytrwali na trudy, w najgorszą zawieruchę, słońce, wiatr i mrozy, lekko ubrani, idą Krakowiacy z taką obojętnością, że się jęć dziwić należy. Zmoczeni, w gospodzie rzucają się na słomę; wypocząwszy zrywają się na nogi, zdrowi i weseli ruszają dalej. W nieszczęściach okazują stałość umysłu, cierpliwość i rzadką przytomność; nie wyrzekają, nie rozpaczają i poradzić sobie umieją.

Świąteczny Krakowiaków ubiór, podoba się każdemu. Chustek na szyję, zimą i latem nie znają; koszula u której wązki kołnierz i rękawy, związane kolorową wstążeczką,

śpięta jest pasem skórzanym, nabijanym świeczkami mosiężnymi i takiemiż kółkami wykładanym. Koło pasa na rzemyku nóż, *kozikiem* zwany; w kalitce hubka, krzesiwko, lulka z cybuszkiem w zanadrzu, lub za bat wetknięta. Spodnie mają płócienne lub z żółtej wyprawnej skóry. Buty juchtowe, długie po kolana, do których zamiast obcasów, przybite żelazne wysokie podkówki, przydatne są po ziemi oslizłej gdy na wysokie przychodzi drapać się góry; w tańcu niemi ochoczo, w takt zawsze krzesać zwykli. Czapki ich niskie, czworograniaste, z karmazynowym wierzchem i wązkim czarnym barankiem. Wierzchnia odzież nazywana przez nich *sukmaną*; od góry do pasa coraz węższa, odtąd i poniżej kolan szersza i rozchodząca się, z przodu zapinana na haftki. *Proszowiak*: używa białej sukmany, wyszywanej białemi sznurkami. *Szkalmierzak* nosi ją kafowego koloru; a kołnierz przewieszony na plecy, wyszywany białym sznurkiem w różne wzory. Sukmany Krakowiaków z okolicy Krakowa, są granatowe, jedwabiem ponsowym haftowane; odzież ta zowie się *karazyą* i stroi dobrze. Pannowie dodają woźnicom swoim, małym częstokroć chłopczykom, od dzieciństwa prawie umiejącym władać czterema końmi jednym lejcem, kołnierz wiszący na plecach, wyszywany świecącemi blaszkami. Letni strój mężczyzn składa się z kitla białego płóciennego; z wierzchniej sukni ozdobionej kolorową włóczką, i szerokich płóciennych spodni w buty wpuszczonych, z obszernego ale niskiego kapelusza, ozdobionego wstążkami i pawiami piórami.

Sposób ubierania się kobiet, nie mało przydaje do ich

urody. W stanie dziewiczym, włosy plecione, a warkocz kolorową zakończony wstążeczką, od niechcenia na plecy spuszczoney. Koszulka u kołnierza, naramników i rękawów karmazynowym jedwabiem zwykle przedziergana, lub haftowana, albo ponsową bawełną. Meżatki ukrywają włosy pod siatką okrągłą, czepcem litym niekiedy, albo chustką białą, której końce spuszczają z tyłu na szyję, ozdobioną to paciorkami różno-kolorowemi, to prawdziwemi lub naśladowanemi przynajmniej koralami. Gorsety noszą z kamlotu, czasem z atłasu, lub innéj materyi jedwabnéj. Odziewają się powierzchu długą chustką z płótna cienkiego lub rąbkiem. Spódnice kolorowe sięgają po kostki, a fałdy nie wymuszone układają się same z siebie. Zamiast trzewików noszą zwykle na wysokich korkach bućki. Zimową porą, majątniejsze zwierzchnią mają suknią barankami podszytą, nie dłuższą jak po kolana, zręcznym krojem, wierzch prawie zawsze granatowy, lub zielony. Wczacie uroczystości wiejskich, dziewczęta ubierają głowy, w axamitne, albo lamowe złote czółenka, przystrojone mnóstwem wstążek.

Ubiór Krakowiaków dobrze opisany w téj poezyi wiejskiej:

Alboż my to jacy tacy,
 Chłopcy krakowiacy?
 Czerwona czapeczka,
 Na cal podkoweczka,
 Niebieska sukmana,
 Dana moja, dana!

Karazyja wyszywana,
 Ciecioć jakoś wyszywana

Pętlczkami, sznureczkami,
 Kółeczkami, hafteczkami,
 Złocistemi kłapeczkami
 Do kolusieneczka, moja kochaneczka!

Mam i pasik z białej skóry,
 Tak i owak wyszywany,
 Przeplatany rzemykami,
 Wybijany gwoźdźczkami,
 Z złocistemi sprzączeczkami,
 Do kolusieneczka i t. d.

I koziczek wyostrzony,
 W cudną kaletę włożony.
 Przy nim fajka i krześciwko,
 Za to cudne przyodziewko,
 Kochaj-że mnie moja dziewczko!
 Do kolusieneczka i t. d.

I koszula z kołnierzykiem
 Z paciorkami, z fałdeczkami,
 Z obszewkami, przyramkami,
 I buciki wywracane,
 Podkówekki nitowane,
 I przy skroju przyszywane
 Z uszeczkami z przywiązkami,
 Do kolusieneczka i t. d.

I pieniądze za obsiewki,
 Kochajcież mię moje dziewczki.
 A która mię będzie chciała,
 To to wszystko będzie miała,

Rantuch biały okolisty,
 Sznurek koralów złocisty,
 Gorset złocisty i czysty,
 Do kolusieneczka, moja kochaneczka,

U właściwych Krakowiaków rola jest najgłówniejszém źródłém zarobku, i najobfitsze wydaje plony. Gdzie nie tak urodzajna ziemia, lud bierze się do przemysłu i handlu. W niektórych wsiach, ma własność gruntu, porządną chatę, zewnątrz czysto wybieloną, przy niej ogródek owocowy. Wielu czytać i pisać umie, dzięki szkołom wiejskim! W powiecie Olkuskim są powolniejsi, oszczędnej żyją; zwykłym ich pokarmem jarzyny; w Miechowskim i Stobnickim bardziej żywi, posilniejszej wymagają strawy. Głowy mężczyzn gołone wysoko; pleć niewieścia skromna, dobre ma obyczaje. Wesoły i rubaszny Krakowiak, śpiewając uprawia ziemię; odważny, kiedy tego potrzeba; przywiązany do ulubionej siedziby; za jej granicą, Szwajcarom w tej mierze podobny, czuje do niej tęsknotę. Ożywi go w smutku jego muzyka i śpiewka rodzinna. Wielką mają ochotę do żołnierskiej służby, do jazdy szczególnie; od najmłodszych lat bowiem, władać koniem nawykli i musztry uczą się snadnie.

Przez cały tydzień zajęci pracą, w niedzielę za szczęśliwych poczytują się, gdy z sąsiadami, przy lulce, piwie, lub kieliszku wódki, zasiądą spokojnie w gospodzie. Rozmowy ich zwolna coraz większej nabierają otwartości i zapału; dawne czasy zwyczajnym ich rozpraw przedmiotem. To przywodzą sobie na pamięć zmarłych krewnych, lub znajo-

mych, to porównywają terażniejszych panów z dawnymi; nie zapominają dawać zdania o ekonomach, dozorcach przy gospodarstwie. W tém coraz większe dziewcząt z matkami zbiera się grono; muzyka się odzywa; rzucają pogadanki. Młodzi ochoczo biorą się do tańca; nie pogardzają nim i starsi wiekiem. Zaczyna się od *polskiego*, następuje po-tém co mazurem zowią; a kiedy wesołość coraz bardziej wzrasta, nastają wtenczas dopiero *krakowiaki*, wśród których obiegłszy koło, pierwsza para przed muzyką staje, i męczyzna śpiewa strofę już znaną, których umieją tysiącami, albo świeżo ją tworzy i do swój kochanki stosuje myśl dowcipną, nieraz tkliwą, miłośną, wesołą, czasem i swawolną; to znowu do okoliczności jakiej chytya podobieństwo, dawne przywodzi wspomnienia i słuchających go przejmuję, porusza, rozrzewnia lub śmieszy. Wśród tych zabaw, schodzi im nieznacznie dzionek świąteczny i całe towarzystwo rozweselone wraca, śpiewając i wykrzykując, do domu.

Któż nie zna tańca, krakowiakiem zwanego, i piosenek jemu towarzyszących? Na nutę gminną krakowiaka, układali piosenki nasi najpierwsi poeci: o tych piosenkach powiemy obszerniej w inném miejscu.

Z Krakowiakami stykają się Górale Karpaccy, mieszkańcy niedalekich Karpatów, inaczéj zwanych Tatrami. Pospolitym ich ubiorem jest krótka siermięga, zwana *gunią*, koloru kafowego, niczem nie spięta, i tylko grzbiet okrywająca; koszula bez kołnierza, mosiężną szpinką przymocowana, pas skórzany, takimież ćwieczkami nabity, spodnie długie ciasne białe, węgierskiego kroju, czapki baranie do gło-

wy cukru podobne, albo kapelusz mały okrągły; na nogach kurpie, czyli chodaki z grubéj skóry; przez ramię torba skórzana, podobnież ćwieczkami upstrzona; takim jest letni i zimowy ich ubiór, a wczasie najsroźszych mrozów, piersi odsłonięte zawsze. Kobięty ubierają się w same niemal płótno białe, z niego koszula, spódnica i fartuch, z niego rańtuch biały; rzadko u nich co kolorowego upatrzy, staniczek chyba; obówiem są chodaki przytaśmowane zręcznie. Dziewczęta, głowę mają ubraną w różnego koloru wstążki, koszula i rękawy bogato wyszywane kolorową włóczką, na szyi pełno paciorek i koralu, spódniczka w pasy niebieskie, czerwone, albo cała niebieska z galonami. Górale tańczą kołomyjki; młody, w jednéj ręce dziewczynę, w drugiéj topór trzymając, obraca się wkoło, przysiada, podskakuje, rzuca topór w górę i na powietrzu go łapie, śpiewając piosnki miłosne. Wokoło stoją dziewczki, czekając na kolęj do tańca. Ten lud przemyślny bardzo, do wszystkiego zręczny i zbiegły. Górzyste i nieurodzajne grunta, nic prócz owsa, nie wydają; chwyta się więc góral wszelkich sposobów, aby sobie dopomódz. Szczególniej posunął zręczność swoją, w robocie stolarskiéj. Mają oni w Krakowie składy gładko wyrobionych kanap, krzeseł i innych sprzętów, *kolbuszowskiemi* od miasteczka zwanych. Oni całą okolicę w deski i gonty opatrują; inni rozchodzą się tłumami z kosą w głąb kraju, dla zarobku przy zbieraniu siana i zboża; ci z siekierą najmują się do roboty ciesielskiéj; owi z drutem do ściągania starych glinianych naczyń, i t. p. przedsięwiorą zatrudnienia. Dopiero w jesieni, do siedzib swoich z szcu-

pływ wracają zarobkiem. Są jeszcze i tacy, którzy w handlu płótnem, kwiczołami, suszoną rybą, szukają sposobu utrzymania się; skazani przez naturę, ażeby to co im odmawia ziemia, skrzętnością i pracą sobie wynagrodzili.

W domu pozostali, zakładają na całe lato wielkie na wierzchołkach gór szałas, do których z całej okolicy zbierają owce; z ich mleka robią wyśmienitą bryndzę, z której potem oddają w zysku właścicielom część jakąś wraz z owcami. Jest to lud zdrowy, wesół, czerstwy i dobrze zbudowany. Góral równie z głębinią wody, jak z wysokością gór nad podziw oswojony; albowiem obalając po największych skałach drzewa, przeznaczone do sprzedaży, odważnie rzuca się z niemi w bystre potoki, zatrzymuje kloce z trudną do wiary zręcznością, zbija w tafle i płynie śmiało w czasie największej powodzi na miejsce przeznaczone. Słusznie więc przydać można tę uwagę, że z Górali być mogą nie tylko dobrzy i odważni żołnierze; lecz nawet zręczni i biegli majtkowie.

Dla uzupełnienia tego obrazu, nie pomińmy, co *Słazie w księdze 2 o Ziemiorodztwie gór*, powiedział. „W całym podgórze Tatrów i wszędzie w najwyższych Karpatach, lud żywy, rosły i swobodny. Jak ciało czerstwe, tak władze umysłowe do wszystkiego zdolne; wyradzają się między niemi olbrzymy, niekiedy do półósmiej stopy miary trzymający. Pola tutejszych osad, po górach z trudnością wydają nieco owsa. Doliny ich zasypane wysoko rumowiskiem głazów i granitów. Chodząc tu i przypatrując się górali pracom,

zastanawia wytrwałość tych ludzi, ich moc fizyczna i moralna. Włóścianie tutejsi, o dwa i trzy łokcie głębokości, wydobywają granity i głazy, z skruszonych nieco wiekami, otrząsają prochy, aby z nich, na głębszych zwaliskach takichże pokładów usłać sobie kawałek ziemi, gdzieby posiali owies, lub wtłoczyli ziemniaki, których im zbierać nie zawsze dozwolą zbyt wczesne śniegi. Pracowita uprawa! Porą czasu i ziemia sama niewdzięczna! Co im długość przykrój zimy nie wydrze, tego krótkość lata dokończyć nie pozwala. Przecież tu siedzą i ziemię tę lubią; na tych skałach jałowych, gryząc suchar owsiany, jak kamień twardy, więcej znajdują powabów, a niżeli na każdej innej, chociażby najobfitszej równinie. Głód po kilkakroć ich do roku z tych gór spędza. Tysiącami zjeżdżają, pieszo schodzą w równiny po zboże, lecz nie pożywają go na dole. Jedni, których stać, na koniach, drudzy ubożsi, wór z żytem na własnych plecach, skrępowawszy powrozem, niosą go w góry; aby tak ciężki, tak drogi chleb, pożyć na tym nieużyтым, na tym twardym i zimnym gładów rumie. Tu im przyjemniejszym i słodszy staje się nierównie, bo go pożywają na swych ojców siedzibie.”

Powszechnie Górale polscy w Bieskidach, Bieszczadach i Tatrach, są bardzo zuchwali. Wszystkich zewnątrzny skład ciała przystojny i zmysły bystre, a żywość, namiętność, bez porównania od mieszkańców niższego poziomu, więcej porywczą i dzielniejszą. Są popędliwi, mściwi, ale razem odważni, rzetelni i gościnni.

Kujawiacy.

Piękna to okolica Kujawy, na borach jój tylko zbywa. Ma, a raczój miała nie zbyt dawno śliczne gaiki. Ziemia jest urodzajna, łąk podostatkiem. Bachorza jest najobszerniejszém pasmem łąk w Kujawach, które przecinają i skrapiają strumyki, a rozległe obszary okryte są stadami źrebców i bydła. Mieszkańcy są pracowici, trudnią się pasieniem trzód i uprawą roli. Kobiety przędą len, robią płótno i pilnują domowego gospodarstwa.

Są pomiędzy nimi i majątni; nie jedna gosposia, za gęsi, kapłony, kaczkki, za len, masło, sery, ciołaki i wieprzaki, sporo uzbiera, a gospodarzowi za wełnę i zboże od nieuchronnych potrzeb, coś się przecie okroi. Włóścianie oddychają miłą prostotą, zawsze weseli i kontenci z swego przeznaczenia; a ponieważ zbyt wielką pańszczyzną i daremszczyznami nie są przeciążeni, mają czas pracować i dla siebie, a po pracy swobodne i wesołe przepędzać chwile. O sobie i sąsiadach tak powiadają: „Mazury smutne, Podlasiaki leniwe, Łęczycanie piją dobrze, Płoczczanie śpiochy, Krakowiak z Kujawiakiem to dobre chłopy: każdy z nich sześć dni popracuje, siodmy w karczmie przetańcuje.” Mówią dobrze; polszczyzny nie psują, żadnych zgłosek nie wypuszczają, wszystko gładko i dobitnie wymawiają, lubo nie bez jakichś przydatków. Mazurów gadanie dziwi ich i do śmiechu pobudza; że tak źle się tłómaczą, bez przycisku, gdzie tego potrzeba. Łóżko, stół, ławka, obraz, skrzynia, garnki, miski, łyżki i szafka, składają sprzęty Kuja-

wiaków; szczerłość ich przymiotóm. Pierścionek, wstążeczka, obrazki, są podarunkiem od chłopców dla dziewcząt. Z wierzbiny piszczałki robią, z modraków (bławatków) i innych kwiatów bukiety i wieńce. Ś. Mikołaja poczytują swym patronem, do niego się udają we wszelkich potrzebach.

Przyodziewek czyli ubiór Kujawiaków czysty, chędogi, sukno koloru granatowego, niebieskiego i ciemno-zielonego, przez kmiotków używane, jedynie z niego mają katankę z krótkimi rękawami i trzema rzędami guzików, spodnie płócienkowe, albo cycowe; na zimę sukienne, buty z podkówkami i wywijane cholewy, pas włóczkowy, chustka na szyję kolorowa, czerwona pospolicie; na wierzchu katanki suknia długa, sznureczkami lub galonkami szychowemi obszyta; włosy długo lecz kształtnie obcięte, czysto utrzymywane; kapelusz czarny z małym denkiem okrągłym, szeroką wstęgą w różne kolory od dołu obwiązany, u wierzchu zaś sznurkiem szychowym, jedwabnym, lub słomianym okręcony; za kapeluszem zatknięte kwiaty i pióra pawie; kij w rękę, albo laska cyną u góry oblana; opończę biorą na czas słotny.

U Kujawianek, podobnie jak w innych miejscach, odmienny ubiór meżatek, odmienny dziewcząt. Meżatki noszą kabaty długie; a dziewczyny krótkie z fałdami; pierwsze na głowie czepki, drugie szlarki, lub chustki. Dziewczyna zawsze ubiera się porządnie, czasem nawet i bogato. Warkocz jej długi, w czworo spleciony, wisi z tyłu, w końcu nawiązuje do niego, wstążek różnych. Szlarkę tak nosi na głowie,

ażebym wierzch jój był odsłoniony; chustkę albo jedwabną, albo inną jaką w szachownicę, w kwiaty, na przodzie w karkdę zawiązują; gorset kamlotowy w żywym kolorze, chustka na szyję, spódnica kamlotowa, z tyłu licznymi fałdami ozdobiona, pospolicie niebieska, albo różnokolorowa, wstążką karmazynową szeroką u dołu garniowana; pończochy latem niciane, swego przedziwa i roboty, zimą wełniane kolorowe; trzewiki najwięcej sukienne; wstążeczkami obszyte z kokardką. Na głowie pełno kwiatów w około; pierścionki na każdym palcu, tombakowe, cynowe, srebrne, niekiedy i złote; koralu dużo i paciorków na szyi. Bez chustki do nosa, żadna Kujawianka nie pójdzie do kościoła.

Kurpie.

W Mazowszu, gdzie była ziemia Ciechanowska, Różańska, Łomżeńska, Nurska i Wiska, w lasach pomiędzy rzekami: Bugiem, Narwą, rzeczką Uzgierską, wpadającą pod Pułtaskiem do Narwy, Biebrzą, pod Wizną wpływającą do téjże, zamieszkał od wieków lud, pełen męstwa, i odwagi. *Kurpiami* i *kurpikami* zwany. Siedziby ich w ziemi Nurskiej przechodziły na lewy brzeg Bugu. Myszeniec i Ostrołęka, są jakoby ich stolicą; środek ich siedliska przerywała rzeka Omulew.

Bartnictwem i myśliwstwem się bawią, i wszyscy niemal są doskonałemi strzelcami. Nazwisko ich, od obuwia, kurpiami zwanego, czyli postołami, chodakami, łapciami, z kory lipowej, albo skóry plecione i sznurkami lub rzemyczkami na onuczy, którą noga obwinęta przewiązane.

Za panowania Zygmunta III, Niszczycki Krzysztof, starosta ciechanowski i przasnyski, przepisał dla Kurpiów ustawy, jak spory ich o barcie i pszczoły mają być rozszadane. Wczasie wojny z Szwedami za Augusta II, Działyńska wojewodzina chełmińska, żona Tomasza, który w r. 1714 umarł, zebrawszy ich 6,000, dzielny nieprzyjaciółom stawiła opór. Kilka oddziałów Szwedkich, wysłanych na ich pokonanie, rozbili; w 1705 roku, 300 Szwedów, broniących się na cmentarzu w Ostrołęce, dobyli szturmem. W 1708 r. gdy Karol XII z Stanisławem Leszczyńskim ciągnął z Torunia ku Grodnowi i przyszedł do Myszeńca, Kurpiki porobili zasieki w lasach, otoczyli się wałem i rowami; korzystając z błotnistej posady, zatamowali przejście temu bohaterowi i podali warunki, za któremi drogę mu otworzą. Odrzucił je król dumny, poszedł na przebój, nie dawał przebaczenia żadnemu; złapanych, męczarniami zmuszał, ażeby jeden drugiego wieszał. Rozjątzeni zebrali się znowu i tyle zawziętością okazali, że katów swych zniszczyli, a Karól XII z jednym tylko drabantem do Szczuczyna za Łomżą, do przychylnego sobie Szczuki podkanclerza litewskiego, zdołał umknąć.

Ubiorem Kurpika jest biała koszula spięta pod szyją mosiężnym guzikiem, spodnie obcisłe białe, sukienne lub z płótna, góralskim podobne. Sukmana kałowa pokolana, pod nią kamizelka, okrągły kapelusz z małemi skrzydłami, na nogach kurpie lipowe.

Wytrwali na wszelkie zmiany powietrza, na niedostatek, mało dbają o życie, czynsz opłacają, pańszczyzny nie ro-

bią. Mieszkania mają porządne. Dobra strzelba i torba myśliwska, to jest sprzęt ulubiony.

Mazury.

Mazury oddzielne składali prowincyą, cenieni byli jako ludzie pracowici: czego dowodem przysłowie, cztery najlepsze rzeczy wyliczające: „Koń turek, chłop mazurek, czapka magierka, szabla węgierka.” Nazywano ich jeszcze prawowierne Mazury. Spotykała ich wszakże i przygana, i tak mówiono: „Ślepy Mazur od ciemnej gwiazdy!” a nawet, kiedy powiadano: „Mądre Mazury,” to w szyderskim sposobie, że innych oszukać umieją.

Taniec *mazur* upowszechniony w całym kraju i od cudzoziemców chwalony; *obertas* drugi ich taniec, wyborne placki *mazurkami* zwane, wślawiły ich także.

Dyalekt ich odmienny, ztąd przysłowie: „Zacina z mazurska,” zamiast *sza, cza*, mówią *sa, ca*, z *ż* robią *z*; *trzy* u nich brzmi *tsy*; z *y* robią *a*, z *dź ć*; nie powiedzą: *chodźmy* ale *choćma*; *e* i *a* przetwarzają na *o*; tak więc mówią: *panionki, gorki*; zamiast *szcze* używają *sce*.

O mazurach Święcicki w dziele swoim: *Topographia, Masoviae*, tak wyraża się: „Lud wiejski, hoży, wesoły, odważny i bitny, w rozrywkach swych wdziękiem jednostrunowego instrumentu, lub trąby zabawia się. Strzelbę na odpusty i jarmarki każdy z sobą nosi; ztąd wiele kalectw i zabójstw się zdarzyło.”

W Mazowszu, chłop ubiera się w białą, czarną, lub szarą siermięgę, z łapkami, czerwonym lub zielonym sznurkiem

obwiedzionemi. Spodnie zimą i latem parciane. Wybierając się na nabożeństwo, stroi się w granatowy sukienny zupan, takąż lub zieloną suknię, u której wyłogi czarne axamitne, jak u kontusza, i dwa guzy cynowe; pas czerwony, lub w strefy żółte z czerwonym, taśmową robotą w kilkoro obchodzący. But od parady; przy robocie bosa noga. Czapki różnego koloru, niskie, grubo wysłane pakułami, z baranem szerokim czarnym; kij gruby, dębeczak albo świ-dwiak; latem, kapelusz prosty słomiany, lub wełniany biały, lub szary.

Podlasianie.

Lud Podlaski składa się z Mazurów i Rusinów. Rusin bywa pospolicie śniadawej twarzy, średniego wzrostu, krępy, blady; wasy, gęsta broda i spojrzenie surowe, nadają mu postać ponurą. Wytrzymały na wszelkie zmiany powietrza. Kobiety nie ustępują w tej mierze mężczyznom, nie raz nazajutrz po połogu, albo na dzień przed porodem, zajmują się pracą w domu, albo na polu; na koniach jeżdżą dobrze; wszakże rzadko pomiędzy nimi znaleźć piękną. Sukmana Podlasiaka ciemnokafowa, przepasana czarnym pasem; ma *nahawice*, czyli spodnie, i *soroczkę*, to jest koszulę z białego płótna, z niskim kołnierzem, spiętym mosiężną spinką, lub czerwoną wstążeczką zawiązanym. *Czaboty* (buty) powyżej kolan zachodzą, z ogromnemi podkówkami; dużą czapkę z szerokim baranem, lub kapelusz, słomiany. Dziewki, równo z czołem wiążą chustkę, której koniec na przedzie w kokardę ułożone; nad nią leży warkocz,

Obyczaje.

czyli *kosa* spleciona, różnokolorowemi ozdobiona wstążkami; gorset niebieski, lub z płótna białego; sukmana taka jak mężczyzn. Mężatki, warkocz ukrywają pod czepcem na który w święta kładą *plat*, czyli 5 łokci białego płótna, złożony na kształt szalu, spadający aż do kostek.

Strój tu opisany, jest upowszechniony w powiecie Białskim i Radzyńskim. Wieśniacy i wieśniaczki, noszą *postoly*, czyli obuwie, z kory lipowej, a czasem ze skóry plecione. Dziewczęta mają włosy gładko zaczesane; warkocz wstążkami przeplatany, spada z tyłu; czoło całkowicie płótnem białem, w kształcie długiego prostokąta przewięzują, u którego farbowane czasem rogi; końce przełożone spadają z tyłu głowy na plecy; koszula biała, szyja paciorkami ozdobiona; sukmana ciemnokafowa, krótsza jak góral-ska gunia, kolan nie zakrywa, przepasana krajką czarną, lub koloru burakowego; z pod sukmany widać białą z żółtym pasem wełnianą spódnicę, do połowy łytki dochodzącą.

Więcej dobijają się Podlasiacy o pracowite, niż o piękne dziewczki. Okazuje to następująca przypowieśćka:

Ne uważaj pane brate szczo hołówka hładka!
 Ono pudi,
 Zapytajsia ludi,
 Czy umietiona chatka?

Ne uważaj pane brate, czy hładko w tanoczku chodyt!
 Ono pudi,
 Zapytajsia ludi,
 Czy soroczku (koszulę) zrobit?

Rusini w charakterze swoim mają upór; dowodzi to przysłowie: *uparty jak Rusin*. Kołtun jest panującą między nimi chorobą. Zbytnią mają dla panów uniżoność; padają na ziemię, gdy ich o co proszą; całują nogi, i przysłowie ich niewolnicze, które powtarzają nieraz: „*Pańskie ciało, a Boska dusza*.” Wychowanie dzieci zaniedbane. W pierwszych latach, zwierzęcym instyktom zdają się rządzić; przesiadają po tém zwyczajami i obyczajami rodziców. Oświata od chat kurnych zdaje się uciekać, zajrzeć tam nie śmie. Posiadają atoli cnoty: są nabożni, poczeiwi, moralni. Nie mszczą się podpalaniem, jak w innych miejscach, czując że za nadto wielką zrzędziliby szkodę. W trunku szukają zapomnienia trosk swoich.

Lublinianie.

Ubiór wieśniaków lubelskiego b: województwa mało się różni od innych. Koszula z spinką lub wstążką, spodnie płócienne, buty z obcasami podkute, sukmana kafowa, czapka z siwym lub czarnym szerokim baranem, latem kapelusze słomiany własnego ich uplecenia, stanowi sprzęt cały. Kobiet strój wyrabiany w domu: koszula biała, spódnica płócienna lub wełniana w różne kolory, na niej fartuch; *parcianka*, czyli kaftan płócienny, długi za kolana, *zawijka*, szal po naszymu, z białego płótna, który głowę i ramiona pokrywa; zawój, czyli owinięcie na czepku chustki białej, trzewiki na korkach wysokich. Dziewczęta *zawijki* i *zawoju* nie noszą, warkocz spleciony z tyłu na ramiona spada, albo całą głowę w około otacza; zdobią go wstążki i kwiaty.

Mowa ich czystsza jak Mazurów, bez syczenia, dodatku, lub ujmowania głosek. Chaty, jak gdzie indziej, lecz każdą niemal sad ocienia. Wieśniak około dworu przechodząc, choćby nie było państwa, czapkę zdejmuje; ludzi i rzeczy nawet dworskie zwykł szanować. Parobki i dziewczki, przy świetle księżycy dopomagają innym do zebrania ich plonu. Pirogi z tatarczanej mąki i jęczmienna kasza, piwo i wódka, stanowią ich nagrodę, ich ucztę. Zimą, gdzie obszerniejsze chaty, zbierają się na wieczernice: tam dziewczęta przędą na wyścigi, śpiewają, nowinki szepczą, bajki opowiadają; parobcy niektórzy przędą także, inni sieci wiążą, przewiąsła kręcą. Tu się znajomość bliższa i związki miłosne kojarzą. Uczta bywa spólna składkowa ze strony dziewcząt, do której chłopcy wódki i piwa dostarczają. Częstokroć ta zabawa, z pracą połączona, trwa do północy.

Litwini.

Litwinów ubiór jest następujący: mężczyźni i kobiety noszą siermięgi z samodziału, w dni powszednie szaraczkowego, w świąteczne zaś czarnego koloru; krój ich dwojaki: u Poleszuków jak tołub bez fałdów, z klinami tylko, dla nadania większej obszerności u spodu temu odzieniu; u Litwinów do stanu zrobione, fałdziste i długie, zawsze koloru szaraczkowego. Pasy w Litwie czarne, w Pińszczyźnie zaś czerwone, na boku przywiązany nóż w pokrowcu rzemiennym; krzesiwo, kaleta na gąbkę, krzemień i pieniądze na wydatek potoczny; na codzień pasy rzemienne, sprzążką lub klamerką zapinane. Czapki z baranków prostych, czar-

nych, wierzch sukienny, granatowy, szafirowy, dla dzieci ponsowy; latem kapelusze słomiane, własnej roboty, albo kupne wełniane. Obuwie mężczyzn i kobiet łąpcie z łyk lipowych, albo łożowych, na święto u pierwszych buty, u kobiet zaś trzewiki. Kozuch z owiec pospolitych. U kobiet siermięga takimże krojem jak u mężczyzn; spódnica wełniana samodziałowa, różnemi kolorami farbowana, w paseczki tkana, gorsety harasowe z płóciemka, u majątniejszych atlasowe. Dziewczęta noszą chustki białe, lub perkalowe i włosy w kosę splecione, wiszące, paciorek na szyi różnokolorowych po kilka sznurków i szkaple-rze. Meżatki, zawiązawszy wprzód chustkę perkalową ko-lorową, nie wielką, z wypuszczonemi końcami, zawijają głó-wę różnym kształtem, *namiotką* wążką, z płótna domowego, na święta z tkackiego, holenderskiego lub perkalu, końce wyszywają *goryniem* (purpurowo czerwonym kolorem) w różne wzory. Dzieci ubierają tak samo.

W budowlach, dłuższych ścian nad 9 łokci nie dają, z naj-większej sosny jedną tylko taką sztukę wezmą. Sciana po-winna mieć nie parzystą liczbę sztuk drzewa. Wywróconego przez burzę drzewa na budowlę nie biorą: zły duch jak mniemają, powywracał je, mógłby i budowie szkodzić. Za-kładający budowlę majster cieśla, na węgle domu od wscho-du słońca, kładzie grosz, chleba kawałek, trochę miodu i soli. Chałupy kurne są bez kominów, mają w suficie dwa otwory z zasuwkami drewnianemi dla wyprowadzenia dymu.

Obowiązki włościan litewskich były następujące, podług urzędzenia ekonomii królewskich 1557 r. Chłop z włóki

robił dwa dni pańszczyzny; w dobrach szlacheckich w 1564 i 1588, trzy dni na tydzień, a w miejscach bliższych zysku i odbytu ziemiopłodów swoich, więcej nawet. Inne powinności były danina pieniężna, *sierebszczyzna*, której za Zygmunta I, od sochy 3 grosze ówczesne, a w 1550 po groszy 5 płacono. *Pokonewskie* na Żmudzi, czyli pobór zastępujący służbę konną, ten w 1552 kopę jedną, czyli terazniejszych 23 zło. 15 gro. 2 szelągi wynosił. *Działło*, obowiązek dawania osepów, siana, jaj i drobiu. *Godne*, powinność ofiarowania pieniędzy, bydła, lub darów jakich w dni uroczyste. Opłata od wołów, nazywała się *Powołowszczyzna*. *Odumarszczyzna*, była to sztuka bydła, przy śmierci gospodarza do dworu zajmowana. *Pojemszczyzna*, od pojęcia żony; tę bojarzy litewskie oddawały swym księżętom, a bojarom kmiotki.

W chwilach pilniejszej robocizny, były używane *gwally*, czyli powinność wychodzenia w pole, całą ludnością do pracy zdolną; nadto obowiązek *podoroszczyzny*, czyli odbycia dwóch dróg wielkich po mil 50 lub 60, dwóch mniejszych po mil 25 do 30.

Lud litewski, chociaż za dawnych czasów uciemiężony był władzą panów swoich, odznacza się przymiotami duszy i serca. Jest pracowitym, pobożnym, prawym, wytrwałym na ciężką porę roku, na głód i niewygody.

Podolanie i Rusini.

Pożywieniem rolnika Podolskiego, mieszkającego nad Dniestrem, jest chleb z kukuruzy, a w głębi Podola żytni,

krupy i ogrodowiny, mianowicie kapusta, buraki, kartofle i ogórki. Mięso i ryba, chyba w doroczne uroczystości są mu znane. Odzieniem jego kozuch, lub siermięga. Chaty z drzewa, w słupy albo węgly. Gdzie nie ma lasu; wierzchnia i spodnia belka, czyli przycieś, jest drewniana, między którą zasadzają koły; te słomą przepłotłszy, gliną zagładzają, albo słomę w glinie dobrze tratują i między koły lepiają. Chaty słomą trzęsioną pokryte, u bogatych snopkami. Bok po dłużny izby mieszkalnej, zwykle jest na południe, poprzeczny na wschód. Rzadko gdzie przestronne izby; w jednej mieści się rodzina, drób i bydłę jak jest słabe. Kominów nad dach nie wyprowadzają; piece nikczemne; płomień wychodzi do sieni i często bywa przyczyną pożaru. Kiedy kmiotek cięższą pracą zajęty, pleć żeńska wszelką domową posługę dopełnia, oblepia chaty, jeść gotuje, pokarm w pole mężczyznom wynosi, bieliznę szyje i pierze, nabiał z krów, kóz i owiec zbiera, ptastwo domowe pielęgnuje, ogrody kopie zasiewa i piele, jarzyny wykopuje, konopie swoje i dworskie urządza, motki do dworu przędzie. Zamieść, uprzątając i wybielić chałupę, szczególnym wieśniaczek jest obowiązkiem. Idą jeszcze do żniwa ozimnego i do wiązania, wczasie pokosu jarego zboża, często z dziećmi przy pierściach. Wychowują dzieci, uczą ich katechizmu, ochędostwa i gospodarskich prawideł. Najraniiej wstają, najpóźniej zasną. Po wieczerzy mąż idzie do spoczynku, a żona wprzód naczynia pomyje, pieczywem chleba się zajmie; nabiał urządzi. Naprzędzie przez zimę tyle, żeby męża odziała bieliną i suknem sieraczanem. Nawinąwszy kądziel przędzi-

wem lub wełną, część dolną zatykają w ławki, albo za swoją zapaskę; tak siedząc lub chodząc, użyteczną zajmują się pracą.

Ubierają się podolskie chłopianki w namiotki, te gdy rozpuszczą, stanowią dla nich jakby zasłonę; zapaski ich podobne do fartuszka, plecionki z włosów na kształt korony, wieńce z barwinku, wstążki rozpuszczone kilku kolorów, przypominają strój dziewic Arkadyi. Odsłonione nieco piersi, krój koszul fałdzisty; z upodobaniem noszą buty żółte, od Tatarek przyjęte; co za osobliwszą poczytują piekność.

Górale Podolscy. Za Kałuszem znajduje się lud w wysokich spiczastych z czarnych baranków czapkach góralskich; lud prosty, świeży, rumiany i piękny. Rzeźwe chłopaki stoją po drogach, handlują orzechami i śliwkami. Dziewczęta w świtkach i z wiszącymi kosami; same prawie brunetki: gdy tymczasem na Podolu mają włosy jak len białe, i oczy błękitne, jak niebo. Widać, że lud na Pokuciu, nie pochodzi od Słowian pierwotnie; albowiem cecha rodu słowiańskiego, zachowuje się jeszcze u ludu prostego. I ztąd zapewne utworzyło się nazwanie słowiańskie, *białogłowa*, nieznanie innym językom. Tam można jeszcze usłyszeć śpiewającego wieśniaka; wesoly jest, jak położenie gór jego; śpiewa nawet gdy go na żołnierza prowadzą. W istocie, spotkać można pełne wozy śpiewających rekrutów.

Rusini Galicyjscy. Gdyby stary jaki książe ruski powstał z grobu, przyznałby, że naród jego ten sam, jak był przed tém: tak się dochował strój, czyli ubiór Rusinów tu-

téjszjej okolicy. W kroju sukni i materyi na nią wybranjej, nie upatrujemy nędzy, ale wygodę, łatwość nabycia i dawny obyczaj. Dzieli wszakże i kmiotek swój ubiór na święteczny i powszedni, zimowy i letni. Sukna były drogie i rzadkie, w domu robiono płótno i sukmany. Ubiór chłopca Ruskiego, tak opisuje *ks. Kitowicz*: Siermięga z prostjej wełny białej, przestrona w stanie, do pół goleni zachodząca; koszula gorącym łojem kozłowym wysmarowana, w spodnie płócienne wpuszczona. Spodnie te, szerokie jak szarawary, zimową porą z sukna grubego. Kurpie skórzane, albo łyżane, chodaki sznurkami do pół łytki przywiązane. Pas na sukni, albo koszuli domowej czerwony. Czapka wysoka z czerwonym wierzchem, czarnym wązkim barankiem, broda golona, lub zapuszczona. Idąc w drogę, ma kilka par chodaków na plecach, latem kapelusz słomiany, a w rękę kijek cienki, albo grubszy nabijany krzemieniem. Do kościoła ubiera się w buty i czyste suknie.

Dziewki twarz mają odkrytą, włosy w warkocz podwójnie splecione, nad czołem układają kilkanaście wstążek różnego koloru. Kobiety do tańca zrzucają szubę, w koszuli się zwijają; za elegantkę lub bogaczkę ta uchodzi, która ma więcej paciorek lub stebnowania na ramiączkach.

Wzrost mężczyzn rosły i kształtny popolicie, włos częstokroć bywa czerwony, oczy zdają się być dzikie, kolor twarzy ogorzały. Dziewki tłuste, krępe, z krótką szyją, do roboty niezgrabne, a na starość zwykle straszydła. Wiare grecką wyznają i po rusku mówią przewlekle.

Mąż przywłaszcza sobie najwyższą władzę nad żoną, ka-

rze ją i bije, gdy opuszcza gospodarstwo, nie pilnuje domu, na zwyczajną godzinę jeść nie zgotuje; najczęściej się zdarza, że ona cierpliwie to znosi. Rozwodu lub rozłączenia nie znają na wsi; gdy żyć z sobą nie mogą, mąż albo żona dom porzuca, ze wsi wychodzi i wiadomość o sobie zatracą. Złamanie wiary małżeńskiej wielkie robi niepokoje, zawziętą pomstę; ztąd też zwodziciela swego prawie nigdy nie wyjawi niewiasta.

Matka sama się trudni wychowaniem dzieci, wygody ich i zdrowia pilnuje. Po urodzeniu dziecięcia, do 9 tygodni po zachodzie słońca z domu ognia nie wydaje, rozumiejąc, że przez to ochroni swoje niemowlę od płaczu zbytowego, który przypisuje urokom. Dziecię małe obwija matka w szmaty, kołysze w niecce, albo zawiesza kołyskę na sznurkach u powały, dla łatwiejszego wachania. Dziecko chłopskie ma jakąś wczesną przenikliwość i ostrożność, żeby sobie co złego nie zrobiło; na ławie posadzone, lub na przypiecku, siedzi spokojnie, chroni się od upadku, albo spieczenia; później, odważne, śmiało następuje na wołu, albo krowę. Podrastające dzieci, utrzymują się lat kilka bez żadnego prawie okrycia, zimą i latem w jednej koszuli, krajką lub sznurkiem przepasane chodzą; butów, czapki, lub kapelusza nie znają. Żadnej rzeczy matka dziecięciu swemu do jedzenia nie broni; surowe jarzyny dla nich przysmakiem, niedojrzałe owoce najpierwszym podarkiem. Wódkę najmniejszemu dziecku zwykle dają, rozumiejąc że ochronia od robaków; jakoż rzadko się trafia, by chłopskie dziecię na robaki chorowało. Gdy widzi zbytnią swywołę, za-

miast kary, najgorszei łąje go przekleństwa; na robotę wychodząc zamyka w chałupie kilkoro dzieci, nie zważając na płacz ich największy; wie bowiem, że krzykiem zmordowane zasną, albo spokojnie bawić się muszą. Paznokci nigdy nie obcinają dziecięciu, gdy wyrosną duże, same się obłamują. Do 12 lat próżniactwu zostawione, pasą tylko woły, lub trzodę ojcowską, albo gromadzką, mniejsze od siebie dzieci bawią i dźwigają, po ogrodach cudzych łążą, biją się i wadzą, ztąd przywykają do próżniactwa, czynienia szkody i kłótni.

Jako gospodarz, kmiotek spać się kładzie z całym domem o dziesiątej; wstaje latem, gdy dzień zaczyna; zimą, gdy kur po raz drugi zapieje. Nim się weźmie do jakiej roboty, umywa twarz i ręce; to samo robi żona i dzieci. Bydło opatrzy i da mu wygodę, drwa na opał do domu sprowadzi, gnój wywiezie, orze, sieje, kosi, młóci, pasieki doziera, sam bydło kupuje, albo sprzedaje. Zagony orze garbato, na kształt grządek wielkich, szerokie na 8 łokci najmniej. Orze się pole raz tylko i zaraz sieje; kilkakrotne wzruszenie ziemi, jak sądzą, sprawiłoby, że wichry wydymałyby rośliny z korzeniem, a deszcze, zamieniając rolę w błoto, przyczyniałyby się do zgnojenia zboża. Grabek do koszenia tu nie znają, żną wszelkie zboża, nie wyłączając owsa. Zboże do domu sprowadzane, układają w brogi, z czterech sztuk wysokiego drzewa złożone, z daszkiem od dołu do góry dającym się posuwać. Koszenie łąk do późnej odwłóczą jesieni, w mniemaniu, że więcej przybędzie trawy; gdy przeciwnie, częstokroć słońce zepsuje trawę, albo też łąka

przerośnie zielskiem. W pańskich folwarkach nie układają siana w sterty, lecz w kopy wielkie *brożyskami* zwane, okrągło-śpiczastą postać mające. W święta rozchodzą się chłopci dla zabawy, zbierania grzybów albo jagód, obejrzenia pola. Gospodyni stara się wiedzieć, kiedy ogień z domu może, a kiedy nie może wydawać, co do zabobonów należy. Ona jeść gotuje, chleb piecze, krowy doi, koło drobiu chodzi, w ogrodzie pracuje, w polu pszenicę, proso i ber piele, żnie i grabi siano.

Kmiotek, jest przyjacielem swatowi, który mu pomaga do ożenienia; kumów i kumy, czyli rodziców chrzesnych, jednych i drugich poczytuje się za powinowactwo. Przy trunku okazują sobie ludzkość i grzeczność. Kieliszek wódki, lub paczka tytoniu, darmo udzielona, wzbudza tu wdzięczność, do wszelkiej i znaczniejszej czasem skłania usługi. Upominkiem takowym i bogatszy kmiotek nie wzgardzi. W drodze trzymają się wiernie swego taboru; a gdyby kto jednego z nich poważył się skrzywdzić, ujmą się zań wszyscy. Witając lub przyjmując gości, wciąż pytają się o zdrowie żony i dzieci. Gościa za stół na pierwszym sadzają miejscu. Czapek przed sobą nie uchylają, przed panem zaś, albo dyspozytorem, przy najpilniejszej robocie odkrywają głowę. W nieprzyjaźni chłop mści się nad panem obmową pokątną, szemraniem, lenistwem w robocie, a nawet podpaleniem dworu lub gumna. W łajaniu używa najzłośliwszych wyrazów, życzy nałożenia głowy, czyli śmierci, pęknięcia, pożarcia od ziemi, ślepoty, wszelkiego rodzaju choroby, mianowicie febry, czyli *traści* i mąk wszelkich, które

djabeł zesłać może. Jest to tylko chwilowe uniesienie; bywa atoli, że gdy połajanemu zdarzy się nieszczęście jakie, lub przypadek, cieszy się przeciwnik i uważa to za skutek swych przekleństw. Gdy komu życzy dobrze, prosi Boga o zdrowie, długie życie, szczęście i królestwo niebieskie. Nie cierpi kmiotek dzierżawcy arędownego; zysk jego kładzie na rachubę przeciążenia siebie w powinnościach, i żałuje, że tego zysku pan raczej nie pobiera. Szlachty czynszowej nie lubi. Nie cierpi żydów, szydzi z nich, lubi ich wszakże widzieć w karczmach; bo żyd znosi obelgi, a człowiek prosty sądzi przez to że jest od niego wyższym. Jednakże usłucha we wszystkim żyda, najmie się jemu do roboty, prędzej mu wszystko przeda; od pana zawsze i w każdym razie oczekuje przymusu. Nie cierpi leków, ani im wierzy, samo tylko puszczenie krwi uważa za jedyny środek na wszelkie słabości. Nowo przybyłych do wsi nienawidzi, *zawłokami* czyli włóczęgami ich zowie, i długo takie szuderstwo znosić muszą. Każda nowość u prostego ludu idzie w pogardę. Gdyby ksiądz, zaproszony na obiad, wymówił się i z prostym człowiekiem jeść nie chciał, w całej wsi powstałoby szemranie i wielka dla niego nieprzyjaźń. Febre, najpospolitszą chorobę swoją, przypisuje kmiotek złości djabła; chcąc go oszukać, wynosi kawał koszuli, fartucha albo chustkę, rzuca ją na drodze, w tym zamyśle, że gdy kto, uwiedziony łakomstwem szmatę owę lub chustkę z ziemi podniesie, razem i febrę z sobą zabierze.

Ambicya rodu i majątku, tyle prawie u ludu prostego panuje, co i w wyższych klassach. Najwyższą sławą u niego

być najdawniejszym wsi mieszkańcem, mieć spowinowacenie z księdzem lub młynarzem. Że chłopiec uważa chleb jako najpierwsze dobro swoje, dla tego też bochnów do najpierwszych uroczystości używa, w czasie zaręczyn, wesela, pogrzebów, siejby, ofiary w cerkwi. Wyniesienie chleba i soli na przywitanie nowego dziedzica, albo przyjazd pana, są oznaką najwyższej uprzejmości i uszanowania, a razem zabytkiem dawniej powinności, że go niegdyś swoim chlebem karmić musiał.

Wieczernice i doświtki bywają zimą. Kiedy nocy są długie, schodzą się dziewczki do umówionego pomiędzy sobą gospodarza, albo gospodyni, dla przedzenia kądzieli przy jedném świetle, a wtenczas ożywia się rozmowa, nucą śpiewki lub słuchają powieści. Zbiegają się i parobcy dzielić te zabawy, albo im przeszkadzać; gęsi, kury, krupy, mąkę węzłami przynoszą, oddają gospodyni do ugotowania i biesiadują wspólnie.

Przesady i zabobony.

Zabobony, gusła, przesady, skutek niedostatecznego oświecenia, łatwowierności i chęci zgadywania tego, co ma nastąpić, są niewątpliwą cechą gminu i nie raz przeszłości obrazem. One u ludu stanowią część religii, naukę moralną i księgę dziejów; przez podania bowiem, od ojców przechodzą do wnuków, i wskazują nam, jak w pewnych okolicznościach działali ich przodkowie; wiadomość więc o nich obojętną być nie może. One stopień kultury upłynionych wieków malują, służą do skreślenia charakteru naro-

dów, a w spółnictwie przesądów, dopomagają do wykrycia spółnictwa rodu. Główniejsze różnice, co do zabobonów i przesądów, spostrzegać się dają najprzód pomiędzy wyższą i niższą klasą, jak wszędzie; dalej pomiędzy ludem polskim i ruskim. Ostatni ma ich więcej i dziwaczniejszych, co dostatecznie wykrywa niższą jego kulturę, stan dłuższej uległości, mniejsze swobody, mniej stosunków uprzejmych z wyższemi osobami, a zewnątrz z cywilizowańszym jakim ludem.

Wszystko, co ważniejsze życia naszego stanowi koleje, bywa także obfitem polem przesądów u ludów nieokrzyszanych, jako to dłuższe lub krótsze życie, uchronienie się od grożących nieszczęść, powodzenie w podróży, kupnie lub sprzedaży, w prędkiem i dobrém ożenieniu. Do wszystkiego są pewne formy, pewne znaki, dobrą lub złą czyniące wróżbę. Są którzy z zabobonności czyjjej korzystać umieją, powiększając ją własnemu dobru gwoli. Niepodobna było wszystko zebrać, mówi Ł. Gołębiowski: dość, główniejsze, bardziej upowszechnione wspomnieć: niektóre pogańskich może sięgają czasów, inne z chrystyanizmem złączone: bo lud bez przesądów pobożnym i religijnym być nie umie. Czytelnik zastanawiający się, starożytność każdego zabobonu dostrzeże, lub późniejsze do niego przydadki.

Na N. Pannę gromniczną, stawiają świeczki całej rodziny, czyja prędzej zgaśnie, ten pierwój umrze. Zapaloną gromicę z kościoła niosą do domu; kto płomień zachowa, albo, komu trzy krople wosku na rękę padnie, ten szczęśliwą ma wróżbę.

W wilią Ś. Macieja biorą liście, znaczą i na święte miejsca niosą; czyj liść dziurawy, ten umrze; czyj zwiedły, chorować będzie. Dusze zmarłe uroczystą wtenczas odbywają processyą, za nimi idą tych osób dusze, które w tym roku umrzeć mają.

W lubelskiem, chorych niebezpiecznie, bez odzieży po szyję zagrzebują w ziemię, albo gorzycą octem skropioną, całe ciało okładają, tak że przyszcze okryją skórę; mniemają że zle ze środka na wierzch wystąpiło. Przy końcu zapust, na ostatnią potrawę dają mleko, rzucają go warzącą na powale, a z figur wróżą przyszłe zdarzenia.

Koło Chelмна, w dzień Bożego Narodzenia, spieszą chłopcy na wyścigi ku dzwonnicy; kto pierwszy zadzwoni, ten się najpierw ożeni.

Między pierwszym dniem Bożego Narodzenia a Trzema Królami, cały czas poświęcony dochodzeniu pójścia za męż. Z lnianych pakul robią dwie figurki: chłopca jedną i drugą dziewczyny; zapalają one razem, gdy płomień idą ku sobie, znak dobry, gdy nie chcą zejść się, lub w przeciwną stronę powiewają, zły. Topią wosk lub cyng, rzucają pierścionki w naczynie wodą napełnione; po każdej strofie prześpiewanej wyciągają jeden, a myśl tej strofy za odpowiedź służą.

Zaściełanie sianem na wilią Bożego Narodzenia, było niegdyś zwyczajem pogańskim, jako cześć dla bożka ziemi.

Pomiędzy siano kładą lalki, chleb, pieniądze; kto co wyciągnie, to dla niego przyszłości obrazem. Stawiają i snop zboża, ten bywa nietykany do Trzech króli; wtenczas go-

spodarz, żona lub z dzieci które, bosy i w koszuli tylko, wybiegłszy na ogród, powrosłem z tego zboża, drzewo nierodzące okręca. Za pomocą tego środka drzewo to nie marźnie i plon wyda obfity. U kmiotka jest przesąd, nie targować się kupując, gdyż nie pójdzie ręką. Sny o psie, znaczą plotki, o słońcu lub pszczołach ogień. Piorunowy pożar gasić należy mlekiem koziem.

Jeśli wiatry świszcza, mówią: że się ktoś powiesił, do samobójców duszy albowiem diabeł największe ma prawo, spieszy po nią w postaci trąby powietrznej. Może to Pochwist, Poświst, Pogwizd czczony u Słowian, przemienił się z czasem w diabła.

Strzyga, prócz niepokoju i wyrabiania psot niewiastom w ciąży będącym, w chwilach przyścia na świat niemowlęcia, gdy niewiasta odbierająca nie użyje środków zaradczych, odmienia dziecię, bierze nieplączliwe, piękne, tłuste, a przynosi krzykliwe, chude i blade. Z czasem wraca wzięte niemowlę, ale kiedyż? oto wtenczas, gdy staje się zupełnie podobnym przemienionemu. Porwane bowiem dziecko strzyga często chłostała na własnych śmieciach matki, ażeby ta biedna o tém wiedziała i krzyk dziecinny słyszała. Święconej wody nie lęka się strzyga, ostrożność tylko skutecznym przeciw niej lekarstwem. Niewiasty, które udają, że ją widywały, mówią: że to jest kobieta wysokiego wzrostu, chuda, wybladła, oczy wpadnięte; wieczorami z podwórza na podwórze przebiega. Dzieci zabezpieczają od strzygi, kąpiąc przed zachodem słońca i wodę o tymże czasie wylewając; jeśli po zachodzie słońca ^{zostanie} skapanie dziecię, woda Obyczaje.

nie powinna się wylewać, aż nazajutrz. W piątek nie należy kąpać. Upowiwszy dziecię, powinna matka nosek palcami do 3 razy ścisnąć i smoknąć. Jeśli dziecię się lęka, przelewają wosk przez miotłę starą na wodę, a odlewka ma okazywać, postać zwierza lub rzeczy, której się dziecię zlekło.

Mora, zmora, widmo gorsze i nieprzyjaźniejsze człowiekowi jak poprzedzające, czerstwe dziewczki i młodzieńców w czasie snu twardego dusi, i zwierzęta domowe nawet nie są wolne od tego potworu. Koń, gdy go często dosiada zmora, ma znaki na bokach, które sprawują króciuchne tego strachu nogi. Dla zabezpieczenia stajni od takowego jeźdca nocnego, zawieszają w niej ubitą srokę, i tym sposobem odstraszą widmo. Dla ludzi zaś, te są najlepsze środki: kupić bez targu nowy dzbanek, co się w nocy na sobie złapie, do niego wsadzić i zatkać; prosić marę na śniadanie, urznąć sznurek od klamki, utkwic szydło we drzwiach, położyć na krzyż w progu miotłę i siekierę.

Upiór podług zdania ludu, obdarzony dwoistem życiem, pierwsze utraciwszy, drugiego w nocnej porze używa, niepokoi i szkodę sprawia. Prócz tych istot że tak powiem idealnych, lubo i te nie raz może przez złośliwych były udawane, pomnażają i uwieczniają przesady ludu, korzystają z jego łatwowierności baby, cioty, czarownice i czarownicy, wykopujący pieniądze, opętani, wróżki i wróżbity, cyganie i olejkarze. Baby leczyc i zażegnawać zwykły, szepeczą i mruczą, bolącą część ciała przyciskają nożem, sierpem, kosą; uroki i zanogicice czyli przestrzały, zrzynają na po-

wietrze. Cioty sprawiają kołtony, z liści robią myszy, z ciasta grosze; gdy chcą komu zaszkodzić strasznie patrzą, ustawicznie szepeczą i wydurzają od lekliwych zboże, mąkę, okrasę.

Czarowników i czarownic mnóstwo wszędzie bywało, oni w nabiale, drobiu i zdrowiu szkody zrzadzają. Gdy jedzenie zaczarowane przez nie, poznawali to po ogniu lub kipieniu wody. Zabezpieczając się od skutku czarów, obracali wtenczas garnek uchem do ognia, co tak ma szkodzić czarownicy, że musi przybieść do tego domu, któremu złe wyrządzić zamysłała. Podejrzanie zwykle padało na tę niewiastę, która przypadkowo najpierwsza tam wchodzi, a jeśli niechętna temu domowi, tém snadniej ją za czarownicę poczytano. Łysa góra miejscem schadzek i biesiad wszystkich czarownic: żmudzkie latają na miotłach, ruskie w stepie, litewskie na łopacie. Udając się tam, wymawia czarownica te słowa: „płot nie płot, wieś nie wieś, ty bisie nieś”. Dla oddalenia czarownicy, dobrze jest przybić do progu izby końską podkowę. Wykopanie pieniędzy, działo się za pomocą biegłych w tój mierze; albo zapisywano się diabłu, ażeby ich kominem dostarczał. Opętani z hałasem przez wieś przechodzą, boją się wody święconej, krzyczą: „nie parz mnie,” ludzi przezywają, odgrażają się; cierpiących wielką chorobę, lub udających ją, za takich poczytywano. Cyganie, wróżki, wróżbity, oléjkarze, do liczby zwodzicieli należą: piérwsi i drudzy wróżą z ręki, z kart, rzeszota lub sita, którem kręcą, na kogo stanie, ten winien.

Każde rzemiosło i zatrudnienie, miało swoje właści-

we zabobony; zebrać wszystkie niepodobna, przytaczanie zbyt obszernym zrobiłoby ten opis. Ci zaklinali węże boskimi słowy i kryły się w ziemię; ci wyprowadzali szczury i myszy za sobą stadami; inni, mało co, albo nic nie robiąc, umieli zachować dostatek, współzawodnikom szkodzić; każdy znał dnie feralne, w których od zatrudnień wstrzymać się należało. Kurpie wierzą dotąd w zepsucie strzelby przez czarownice lub zazdrośnego myśliwca. Na zarządzenie temu, ziela czartopłochu przez kapłana poświęconego używają, okadzają nim siebie i strzelbę, odtąd się naprawia i już jej więcej nie szkodzić nie zdoła. Przy laniu kul i śrótu potrzebują koniecznie wątróbki i serca niedoperza, kładą je w ołów roztopiony dla szczęścia i celnego strzału. Mają dnie pewne, w których przy widoku księżycy oprawiają strzelby, leją kule, czatują na zwierza. Wystrzegać się powinni kłamstwa myśliwi; gdy się pali świeca, wnet łój na ich stronę spływać zacznie, a wkrótce uganiając się za jakim zwierzem, karku nadkręca.

Uroki, podług zdania ludu ztąd mają początek: kiedy kto widzi u drugiego, czyli to dziecię czy bydle godne pochwały, wydając się z tem wzruszeniem i spoglądając zazdrością napojonemi oczyma, pomimo woli swojej nawet uszczerbek na zdrowiu przynosić może. Matki, szczególniej o te uroki bywają troskliwe, używają bab tem zajmujących się, które tak je leczą: baba w misę wody nalewa, i przystąpiwszy do piecyska, gdzie żar leży, nożem pojedynczo przez 3 razy po 9 węgli spuszcza do wody, i z największą pilnością kawałki spuszczonej węgli rachuje, przydając do każdej licz-

by zaprzeczający przyimek *nie*, i tak mówi: *ne raz, ne dwa* i t. d. Uważa potem czy te węgle toną, czy po wierzchu pływają? pierwsza okoliczność bierze się za dowód: że dziecko ma inną chorobę nie urok, druga okazuje prawdziwe uroki; wtenczas po obmyciu dziecięcia wodą, w której się gasiły węgle, taż baba kilkanaście słów niezrozumiałych szepcze. Jest i drugi sposób zdejmowania uroków szepcząc, i od nóg do głowy 3 razy dmuchając. Złe oczy mający, gdy niechce zrobić szkody, patrzy na swoje paznogie.

Wieszanie chust u figur, nie tyle z pobożności pochodzi, jak z tego przekonania, że ponieważ febra z nasłania diabła bywa, kmiotek ją wraz z tą szmatą wyprawia w pole, i dozwala niejako, ażeby się bies kogo innego uczeplił, co nastąpi niezawodnie, zwłaszcza, gdyby kto pomieniony płatek śmiał odjąć. I na ulicę wyrzucają umyślnie część jaką bielizny słabego, chcąc, żeby ją kto podniósł i przywłaszczył sobie, a razem chorobę w siebie wciągnął.

W okolicy zadniestrzańskiej, lud wierzy, że choroba czelku wydarza się tylko za sprawą diabła; udaje się do wróżbitów; ci zwykle wskazują potrzebę użycia święconej wody lekkiej lub twardziej, powiadając na jakie miejsce i do kogo szukający rady ma się udać, dla pewniejszego skutku. Lekką wodę każdy pop może poświęcić, twardą bieglejszy tylko: bo w niego weszłaby choroba. Twarda przygotowuje się przez poświęcenie i odczytanie nad nią licznych ewangelii i taki ma mieć skutek, że chory albo powinien zaraz skonać, albo ozdrowieć. Diaki czyli słudzy cierkiewni, pospolicie bywają wróżbitami. Człowiek chory idzie do nich,

wypytują się go o domowe okoliczności. Bierze potem wróżbit psalterz i nożykiem w środek karty uderza, szukając niby wyroków losu. Za każdym razem to uderzenie opłacać potrzeba; gdy nareszcie los da się znaleźć, choremu czytają, jak gdyby rzecz tam napisaną: że słabość jego ztąd pochodzi, iż się nagle wody napił, że go wiatr podwionął, że się na niego diabeł gniewa o to, iż sobie płotu więcej przycrodził, do chałupy budowli przyczynił i t. p. rzeczy. Na zarządzenie temu, święconą wodę radzi, jój gatunek i czas oznacza: o wschodzie słońca, w południe, albo w wieczór. Prócz diaka, chłop każdy, baba lub żyd, byle łatwowieńność zjednać umieli, o którą tak nietrudno, na sławnych wychodzą wróżbitów. Nie powiedzą oni, że stłuczone okno, wyjście z gorącej chałupy na wiatr, sprawiło ból i łamanie po kościach, lecz diabeł zawsze przyczyną złego. Gdy i woda święcona, której chory napić się powinien, a resztą w domu ciało swe obmyć, nie pomaga; wtenczas nie pozostaje nic więcej, tylko przenieść w inne miejsce płot, stodołę, chałupę. Może wczem uchybiono zdaniu i poradzcie wróżbitów przeszłych, diabeł się o to złości; a dla wstrzymania od przywłaszczeń zapewne wzniecono tę obawę, że każde nowe przyczynienie płotu, chorobą od szatana ukaraném być może.

Po założeniu podwalin chałupy, na każdym jój końcu gospodarz kładzie na noc kawałek chleba, uważa nazajutrz, czyli z której strony ów chleb nie zginął; w takim razie, tę część za miejsce nieszczęśliwe poczytuje i podwaliny w inny bok natychmiast usuwa. Każdy rolnik na chlebie pod-

stawę życia swego i wszelkiej pomyślności zakłada; przez utracony kawałek chleba na podwalinie wystawia sobie, że na tamtym kącie oparta chata trafiłaby na niedostatek chleba, po czem skrócenie jego życia nastąpićby musiało. Chałupy budować, nie poważy się na miejscu, gdzie przedtém szła droga, w jego mniemaniu albowiem diabeł za niektórymi ludźmi włóczy się i ślady swoje zostawia. Drzewa od burzy zwalonego, w ścianę ^{nie} zakłada, gdyż czart sprowadza burze i zawieruchy, on to lasy wali, a drzewo ciężkie spadając, mogło diabła przydusić, jego mocą napoić się, a do mieszkania zabrane, razemby i samego czarta sprowadziło. Wolno mu chałupę swoją budować wzdłuż, ile się podoba, przyczynienie jakiegokolwiek w szerz, osobliwie za podłużny okop, sprawiałoby dla niego śmierć albo chorobę. Po zabudowaniu chałupy, w górze od sieni przez rok cały dachu nie doszywa, aby tą dziurą wszystkie biedy wylatywały. Nieszczęście poczytuje za rzecz z ducha złożoną, którzy mając sobie zostawiony wylot w dachu, łatwiej się wyniesie. Nim się kmiotek wprowadzi do chałupy, zostawia koguta na noc, który jeżeli piąć będzie, dobry znak, jeśli nie zapieje, złą wróżbę to znaczy. Wyobraża sobie, że kogut nie zaspalby swój godziny, jeśliby diabeł nie zajrzał do chałupy i przestraczem nie zmusił go do milczenia.

Szatana z chałupy wypędzają we dwóch albo i więcej, przez poświęcenie; gdyby to skutku żadnego nie sprawiło, za zdaniem wróżbita chałupa się przenosi. Starego piecy-ska po rozwalonej chałupie nie odważa się kmiotek psuć

i dotykać. Przedtem diabeł po całej gnieździł się chacie, po wywróceniu jój, upodobanego nie chcąc odstąpić miejsca, do piecyska całkowicie się przenosi, i jak w starych zamkach niegdyś, tak tu przemieszkiwa. Bzu wyrosłego na ogrodzie wieśniak nie podkopuje nigdy, wierzby spróchniałej na miedzy nie podcina; i dwaj sąsiedzi wolą ją ogrodzić. Inny, część dla diabła wszecz na kilka łokci przez całą długość ogrodu odosobni. Poszanowanie dla bzu trwa od pogańskich czasów.

W wierzbach spróchniałych diabeł zamienia się w puszczyka i śmierć ludziom przepowiada; dla tego się od wierzb takich odgradzają. Igraszkom biesa wolą część ogrodu zostawić, żeby reszty nie psuł i urodzajności nie przeskadzał. Chłopka, póki sobie nie zasieje ogrodu, nikomu nie użyczy, ani przeda nasienia, w tém przekonaniu, że jój nicby się nie urodziło. Gospodarność, ażeby dla siebie nie zabrakło, obawa nakoniec, aby z nasieniem wcześniej udzieloném, nie przenosiła się urodzajność, jest tego przesądu źródłem. Żeby się w ogrodzie wszystko rodziło, zawiesza kmiołek na płocie kobyłą głowę, gdyby jój nie było na podorędziu, wyszukuje gdzieindziej i przenosi. Ma być ona mieszkaniem szczęścia, zkąd wychodząc, udziela się całemu ogrodowi. Jabłoń, gruszkę i wszelkie drzewo owocowe, gdy rodzić przestaje, w wilią Bożego Narodzenia, gospodarz podcięciem straszy i siekierą koło niego wywija. Tę porę obiera w przekonaniu, że kiedy Chrystus się rodzi, wszystko w naturze rodzić powinno; że drzewo może wydawać owoce, tylko nie chce. W czasie nowiu nie wywiezie

kmiotek na swoją niwę gnoju, bojąc się, aby jęj przez to na lat 7 nie uczynił nieurodzajną. Kiedy księżyc ogromny w pełni, w maleńki na nowiu przeistoczony został, boi się: aby podobnież nie stało się z jego plonem. Pierwszj skiby do zasiewu nie daje ukroić pługiem takim, któryby sam sobie nie był gospodarzem, inaczj albowiem nie zesłoby zboże. Za ubogim, wedle jego zdania, włoczy się nieszczęście. Gospodyni, tego dnia, kiedy mąż wychodzi siać w pole, nie wydaje nikomu ognia z domu, on zaś bierze bochen chleba, sól i kieliszek wody, stawia w miejscu tém, zkąd ma zacząć, nim wrzuci w rolę piérwszą garść zboża, oczy ku niebu zwraca i błaga: iżby mu Bóg tyle poszczęścił w przyszłym plonie, ażeby wystarczyło dla niego i dla rodziny, dla złodzieja i dla ptaka, tak więc z zabobonami łączy się tu uczucie religijne. Z ogniem boją się, ażeby pomysłność do kogo nie przeszła; chleb, sól i woda, pierwsze jego potrzeby przypominają, a modlitwa jest naturalną i do téj okoliczności stosowną. Paździerza od konopi lud prosty na oborę nie wyrzuca, sądzi, że to zrobiwszy, grady na swoją niwę ściagnie. Diabeł wedle nich ukrywa się w trzcinie i konopiach, które mogły być schronieniem hultai. Gdy biesa ta hańba spotyka, że do gnoju wrzucony, mści się zesłaniem gradu. W czasie chmury gradowj i nim się ona ku wsi zbliży, biją w dzwony i wierzą, że brzęk takiego dzwonka, któryby umyślnie ku odwróceniu gradów był poświęcony, tém skuteczniejszym były. Diabła kierującego chmurą odstraszyć usiłują poświęconego dzwonka odgłosem; pilnują się z dzwonieniem, by zacząć nim chmura gra-

nicę wsi przestąpi: bo wtenczas już diabeł sądzi się momentniejszym, i hukiem swym dzwony zagłuszyć pragnie. Wróble, ażeby pszenicy, lub innemu zbożu nie szkodziły, chłopek bierze wiory od trumny i koło wschodu słońca niemi okadza swą niwę. Trumna śmierci obrazem, trzaski z niej lub wiory, śmierć zadadzą ptastwu, albo je odstraszą. Ubogiemu, który nie ma swego chleba, lud prosty zacząć żniwa nie pozwoli, ani młodzieży równie. Gospodarz lub gospodyni, pierwszą garść zboża urzynać zwykli, inaczej sądzą, żeby się zrównali w nędzy z tym, który nie ma wcale.

Bydło sprzedając, nie odbierają gołemi rękami pieniądze, ale w krawędź sukni je kładą, a kupujący prosi, aby mu nazad z tych pieniędzy kilka groszy były powrócone. Po ukończonym targu, kupujący dobywa trochę ziemi z pod kopyta bydłęcia, posypuje nią krzyż onego, a gdy zapija mohorycz, to jest, gdy się dokończenie kupna zatwierdza trunkiem, zlewa on wprzód trochę wódki na ziemię, albo kropel jój kilka spuszcza na rękę, przemywa nią oczy i woła głośno że: jak wódka nie szkodzi oczom jego, tak wszelkie złe niech bydłęciu jego nie szkodzi. Oto jest wytłomaczenie tych przesądów: z gołego ciała pieniądź łatwiej się wysłiznie, czyli marnie wyda, kosmata odzież prędzej go utrzyma. Prosi o zwrot kilku groszy, bo kto ma pieniądze ten szczęśliwy, błaga więc o udział téj pomyślności. Gdy się bydło w lesie zabłąka i do domu nie wróci, prosi Boga, aby go oko nie zajrzało, żelazo w ogień wrzuca, potem udaje się do znachorów. Rodzaj to proroków, którzy zgadują

i wyszukują bydła, albo inne rzeczy stracone lub ukradzione. W proźbie aby go ludzkie oko nie zajrzało, boi się zazdrości. Żelaza wrzuconego nie pożera ogień; życzy sobie, aby tak jego bydła nic nie pożarło. Diabeł, wedle gminu, ludzi do złego namawia, i znachor o szkodę zapytany to potwierdza; z rozłożonej dłoni wskazuje, gdzie szukać postradaną rzecz, albo wosk na wodę zlewa i z figurek tych złodzieja dochodzi, a bojaźń wróżbita sprawia czasem, iż złoczyńcy podrzucają, co zachwycili. Żeby wilki bydła nie pozjadały, zabrania gospodarz kobietom prząć kądzieli od Bożego Narodzenia do Nowego Roku; a kiedy pierwszy raz na wiosnę bydło w pole wygania, pryskiem gorącym próg u stajni lub obory posypuje, potem na całe lato zamyka kłódką. Mniema chłopiek, że jak wrzecziono nie kręci się w te czasy, podobnie i wilk około trzody jego kręcić się nie będzie. Po znakach prysku wilk sobie wyobrazi, że tu są zwierzęta, które ogniem zieją, a kłódka i jego żarłoczną paszczę zawrze. Prawdziwój bydła i rojów liczby, nikomu nie godzi się powiedzieć, aby nie wyginęły; boi się chłopiek złego oka i zazdrości; dawniej czynił to zapewne dla uchronienia się od opłaty albo dziesięciny. Na przypadek zarazy na bydło, wyszukuje lud prosty dziury po grobach na cmentarzu, którą znalazłszy, jak najusilniej zatyka, by upiór nie wyląził i bydła nie dusił. Sprawą to diabła być mniema, który upiory ożywia i do szkodenia zniewala; a chociaż siła szatańska góry przenosi i chmury dźwiga, najmniejszej dziury garstką ziemi zatkaną nie może otworzyć. Gdy w wilią Bożego Narodzenia, żona ze skrzyni bie-

lizny i ubiorów nie wyjeła, nie otworzy jój w święto, bo pocztytuje, że cały rok byłaby pusta. Żli ludzie robią zawitki, czyli zawiązują czary w splocie kłosów, grzywie lub ogonie bydłęcia, strachem to właściciela przeraża; kłosy takowe obstawi i obeżnie, bydłęcia się dotknąć boi, u znachora szuka rady, i znochor tylko zawitki wrywać może.

Według mniemania ukraińskiego ludu, zbłądzenie w podróży nie jest dziełem przypadku; czart ściga wędrowców i rozmaitemi sposobami stara się ich w bezdroża wprowadzić. Wicher mocny uważany piérwszém narzędziem jego do obłąkania tych nawet, którzy najświadosi położenia miejsca; majaczenie czyli miganie się, ukazywanie czego w dalekości, drugim. Temi to sposoby diabeł otumani (obłąka) człowieka.

Przesady średnich stanów.

Wierzono w strachy; w każdym zamku pustym coś straszło. W zwaliskach łęczyckiego zamku przemieszkiwał Boruta. Jeśli w domu jakim były zachowane pieniądze przez kogo z dawnych mieszkańców, cień jego przychodził. Gdy płomień świecy błękitny, duch pilnujący spraw naszych jest wtenczas w izbie.

Gdy pies na łańcuchu w nocy wyje, znaczy to śmierć jednego z domu, albo wojnę. Gdy trzynaście osób siedzi u stołu, jedna z nich umrze w tym roku; baczni gospodarstwo w takim razie, komu z młodszych usunąć się każą. Nóż i grabki na krzyż złożone, wywrócenie solniczki, nie-szczęście znaczą. Kiedy upadnie łyżka u stołu, ktoś głodny

przybędzie po obiedzie. Lewy bót kto pierwój ozu^ł niż pra-
 wy, zły to znak. Koszuli, pończochy, czepka włożonego na
 wspanie nie należy już poprawiać, bo się trafi nieszczęście.
 Iskra pryskająca znaczy gościa krewnego. Z płomienia wy-
 latującą iskry, gdy ujrzy dziewczyna, dostanie męża, który
 ją ogniście kochać będzie. Nieszczęśliwy w karty, będziesz
 w miłości szczęśliwy. Która często poprawia ognia, grze-
 cznego mieć będzie męża. Panna, gdy zjada kożuszki od
 śmietanki, wyskrobuje garnuszki, będzie chłód i deszcz na
 jej weselu. Zmarszczki na czole, oznaczają liczbę mężów;
 trzaskanie palców gdy się je wyciąga, ilość dzieci. Pe-
 knięcie obrączki ślubnej, wskazuje śmierć którego z mał-
 żonków. Kto w piątek śmieje się, będzie płakał w niedzielę.
 Z czyjś strony zrobi się wilk u świecy, ten dozna złej przy-
 gody. Trzy razy świecę zadmuchnąć i trzy razy dmuchnie-
 niem ją zapalić, wielkiej siły i szczęścia oznaką. W prawem
 uchu zadzwonienie, dobra; w lewem zła nowina. Biała plam-
 ka na paznokciu, znaczy odebranie podarunku. Świerzbi
 prawa ręka, będziesz wydawał pieniądze; lewa będziesz je
 zbierał. Uderzysz się w łokieć, szwagier cię wspomina; masz
 czkawkę, o tobie mówią; boli język, ogadano cię. Kielich
 wina przed grą, wróży nieszczęście. Wychodzisz z domu,
 zakreśl nogą kółko, tak czynił Jagiełło. W poniedziałek
 nie wyjeżdżaj. Na sprawę jadącemu, gdy zając przebieży,
 pewnie złą sprawę przegra. Podając komu śpilkę, rozśmiej
 się, gdy nie chcesz by się zerwała przyjaźń. Szpilka ostrzem
 do góry, główką na dół zatknięta w czym, znaczy pewne
 szczęście. Słońce pokazujące się na kominie, zapowiada

mróz, śpiewanie kosa deszcz. Przelatujące przez drogę żórawie są pomyślną wróżbą. Gdy kot uszy do góry postawi, pewny wiatr z północy; gdy ogon do ognia odwróci, mróz; gdy łapki liże, śnieg, a kiedy ogon to deszcz; jeżeli się skrobie po za uszkami i myje, ktoś obcy przyjedzie; jeżeli kicha będzie katar. Snujące się pająki, obfite deszcze sprowadzą.

Z taką masą przesądów i zabobonów, nieuchronnie łączyła się wiara w istnienie i moc czarownic. Dotąd jeszcze między ludem wiejskim trwająca. Dzięki oświacie i czujności władzy rządowej, zapomniano już pławienia, sądzenia i palenia czarownic. Lecz ze smutkiem wyznać trzeba że jeszcze nie upłynęło sto lat, jak w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, spalono kilka czarownic w jednym Wielkopolskiem miasteczku.

Czarownice, według mniemania ludu, zapisawszy diabłu swoją duszę, wszystko mogą. W Pobereżu, w górach, na Rusi, w Litwie, na Ukrainie i koło Wołoszczyzny czarownice najwięcej, mówi Duńczewski. Do czarów używają ziół: szaleju, lulku, sawiny, bylicy, niemniej trupich kości, drzewa z trumny, prochu, popiołu, ożogów, fartuchów przy figurach, powróseł, sznurów od szubienicy, mózgów kocich, kawałków skór i kozucha. Gdy miłość w kim dla kogo wzniecić mają, potrzeba nieodbitie pirogów, kaszy z mlekiem, pierza, sierści, koszuli, włosów lub obuwia tej dziewczyny albo meżatki, którą zaczarować mają; a gdy je pożądana przywdzieje osoba, wnet miłością płonie, wszelki opór z jej strony ginie. Napój zalotny podać miano Kazimierzowi sprawiedliwemu, i to nagłej śmierci jego stało się przyczy-

na; podano go równie ostatnim księżetom mazowieckim. Czasem nauczają sposobu, jakiego kto dla zniewalania kochanki ma użyć, tak n. p. udajacemu się do nich mówią: pomiędzy kosteczkami niedoperza, są widły i grabie, złap go, wsadź w garnek zamknięty i zasmarowany, lecz podziurawisz go wprzódy; o północy, włóż w mrowisko, potem uciekaj, ażebyś pisku nie słyszał. Drugiego dnia podobnie o północy wyrwij garnek i umykaj, nie zważając na strachy tego rodzaju, jak przy zbieraniu paproci. W domu odleg garnek, spal inne kosteczki, grabie i widelki zachowaj. Chceszli być kochanym i szczęśliwym? grabiami suknie téj niewiasty do siebie przyciągnij; chcesz odstreczyć ją? widelkami szatę od siebie odepchnij. Nie potrzebuję tu upewniać, że wszelkie czary, nadewszystko miłosne, wedle możności, sownie opłacać należało.

Czarownicę potęgą w wiekach łatwości bywała straszliwa; na ich zakęcie gadały posągi; wbiwszy kołek do słupa w oborze, doła z niego mleko cebami, sprowadzała burze, grad, deszcz, pioruny, suszę. Czasem przestawały na postrachu i okupić się im należało. W Lubelskiem wśród lasu, wykopała czarownica dołek, nakładła jaj gęsich i siedła na nich jak kura, takie wszakże obrawszy miejsce, żeby widziana być mogła. Pytano się jój z trwogą, co to będzie? nastraszyła, iż taki grad spadnie jak te jaja, i dano jój wszystko, co tylko chciała. Czarownica przemienia ludzi w wilki, barany, myszy, ptaki, kamienie; przywraca gdy chce, dawną ich postać, uzdrawia lub spuszcza mnogie choroby. Lecz jakąż to działają mocą? czartowską. Zapisują

się im, dają kawałek sukni swój, i co rok pewną daninę. Na mszy bywać nie mogą, chodzą nagie w dzień Ś. Jerzego, na Zielone świątki i Ś. Jan zbierają w skopek rosę poranną i z wrot ustrugane trzaski. Mają diabła na swe posługi, w pierścionku lub starym trzewiku w kącie; zawołany wnet stawi się, wszystko im powie, wszystkiego nauczy. Co czwartek po nowiu czarownicy gromadzą się na Łysą górę, lecą tam na kozłach, ożogach, miotłach, łopacie, nieckach, nasmarowawszy się tłustością z dzieci przed chrztem uduuszonych. Droga ich zwykła przez komin; kładąc się na lewy bok podczas tego sejmu, widzą wszystko, co się z tej strony dzieje. Gdy same być nie mogą, biorą pełną gębę dymu i już mają wyobrażenie, co się tam stało. Lubią mleko, czart im go z cudzych dostarcza obór. Podobnie jak i kuglarze otumanić umieją, przez co wyrządzają psoty.

Upiór, trup czerwony u gminu martwiec zwany, wstaje z grobu, ludzi straszy, krew panien wysysa. Promienie księżycy jego przewodnikiem. Oto jest powieść ludu wierzącami o upiorach.

Księżyc świeci

Martwiec leci

Sukieneczka szach, szach,

Panieneczko czy nie strach?

Jeżdżą upiory i na kiju, dla większego pośpiechu. Diabeł przybiera czasem ich postać. Niknie upiór, gdy kogut zapieje.

Przedtem i w wyższych stanach wierżono w upiory. Są wszakże sposoby i na upiory: to łagodniejsze, to sroż-

sze. Zatykają dziury na cmentarzu, ażeby nie mieli któredy wyłazić. Są biegli, którzy poznawać upiorów i odczytać ich umieją; tacy odkopują zwłoki, kładą gwiazdkę i krzyż z osiczyny na ich piersiach, wtykają im w rękę wypis z ewangelii Ś. Jana i mówią do nich: „Tyż to powstajesz z grobu, niepamiętny na grzechy Adama i Ewy; zamiast je zacierać, to jeszcze powiększasz upiorze przekleły?”

Biorąc go potem za ucho, coś do niego szepeczą. Takie odczynianie, dobrze opłacone przez rodzinę upiора, skutkuje zwykle. Nie wszędzie atoli tak łagodnie z nim się obchodzą, jak tu wyrażono; w innych miejscach, postępując surowiej z owymi burzycielami spokojności ludzkiej, krępują im ręce wstążką od manipularza, albo sznurem lipowym, którego i sam diabeł nie zerwie, kładą ich do ziemi głową, żeby promieni księżyca dojrzeć nie mogli. Najskuteczniej wręście, pokazywaniu się upiorów chcąc zaradzić, ucinano im głowę rydlem, kładziono ją pomiędzy nogi, serce przebijano kołem osikowém. Byli nawet zuchwalcy, którzy posokę upiorów z napojem wypijali, wtenczas i najsroźszego czarta pokonać mogli i od wszelkich nieszczęść byli wolni.

Wilkołak. Wilkołak w Polsce, wilkodłak w Czechach, nazywany bywa człowiek przemieniony w wilka. Herodot opisując Neurów, lud zamieszkały od źródeł Dniestru aż do Dniepru, powiada: że ościenni mniemali, jakoby oni przez czarownicze sztuki, w pewnych dniach roku mogli zamieniać się w wilków i znowu do ludzkiej wracać postaci. Wierzy temu gmin całej Sławiańszczyzny aż dotąd; u nas w każdej wiosce, w Rosyi i u Morlachów, gdzie wakodlakami

Obyczaje.

ich zowią, jak poświadcza Fortis. Tam, kiedy umiera człowiek, podejrzany o to, że może się stać wilkołakiem, podrynąją mu żyły pod kolanami, kołą całe ciało: co ma zapobiegać, ażeby pomiędzy żywych nie wracał. Są niektórzy tak przesądni i w takiej obawie, że proszą sami, aby z ich ciałem po zgonie tak postąpiono. Lubo czarownicy nie zdołają istoty żyjącej odmienić na zawsze w wołu, konia, albo iasze bydle lub zwierze, mogą jednak na czas powierchownie odmienić w jaką chcą bestyą. Tacy bywali na Żmudzi, Polesiu i w inszych prowincjach polskich wilkołacy.

Można uważać trzy rodzaje wilkołaków:

a) Czarownicy lub czarownice same stają się niemi, a dopełniwszy zemstę, inną lub swoją przybierać zwykli postać.

b) Można być przeistoczonym w wilkołaka przez czary, na całe życie lub pewną lat liczbę.

c) Upiory przyjmują postać wilkołaków.

Każdy z nich, zuchwały, niebezpieczny, taki zupełnie jak wilk, tylko większy, rzuca się oślep na ludzi, kaleczy, zabija, pożera, albo krew tylko wysysa, młodocianą przenosząc nad inną, i dla tego szczególniej porywa dzieci, albo słabsze od mężczyzn i doroślejsze nawet dziewczęta. Ztąd przenośnie i do ludzi zajadłych użyte przysłowie: „zażarty jak wilkołak.”

Pierwszym, jak mniema gmin, trudno poradzić; drugich można zabić, lub po karze odbytej do dawnego wracają kształtu; trzecich wykopywano, uciawszy głowę kładzio-

no ją pomiędzy nogi, serce przebijano palem olchowym, i odtąd spokojność wracała dopiero.

Posiadający czary, tych co miłością ich wzgardzili lub obrazili czém, przemieniali w wilkołaki. Na to potrzeba skrócić łyka z lipiny, warzyć je, tą wodą podlać, albo przy zakłęciach naznaczyć: że kiedy uderzy siekierą w drzewo lub co podobnego zrobi, stanie się wilkiem. Bywały wszakże poczciwe wilkołaki; w tém nieszczęściu mimowolném, wstrzymały się od krwi i ciała ludzkiego, straszły tylko, a odegnawszy przeleknionych, zjadały ich pokarm; takich starano się odczarować. Święcone prosie i chleb święcony, tę moc miały: zwłaszcza gdy rzuciwszy im tę strawę i zjeść dozwoliwszy, czyniący przysługę uderzy wilka pomiędzy oczy widłami; pada wtenczas wilk martwy, a człowiek zaczarowany powstaje. Wycia straszliwe wilkołaków pod czarownicy domem, osobliwie gdy się koniec ich kary zbliża, czasem ją przebłagają. Wychodzi z izby, kożuch wełną obróciwszy do góry, każdego z osobna wilkołaka nim całkiem okrywa, gdyby albowiem części jakiej nie okryła, ta pozostanie wilczą i znowu ją błagać potrzeba. Są wilkołakom dozwolone chwile, kiedy ludzką postać przybierać mogą: to dla jakiejś ulgi z powodu cnot ich i wstrzeźliwości, to dla powiększenia ich cierpień, ażeby ujrzeli zameżną z kim innym żonę, nie swoje z niej dzieci, wymarłych krewnych. Jeśli zemsty szukają, wnet stają się wilkami znowu, pomszczą się, lecz ich równie czasami śmierć spotyka; wtenczas ze strachem postrzegają obecni, że nie wilka, ale człowieka, od dawna poczytywanego straconym,

zabili. Gdy w krwi i mięsie ludzkim zakłęty smakował, taki i po zgonie będzie wilkołakiem. Któż nie widzi, że wilków zuchwałość w zimowej porze, albo wścieklizna ich, jest baśni o wilkołakach początkiem?

Oto jest krótki obraz przesądów, najczęściej śmiesznych i niedorzecznych, ale z których niekiedy bardzo smutne skutki wynikały.

Obrządki ślubne.

Obrządki ślubne ludu wiejskiego, w różnych stronach, są w niektórych rzeczach jednakowe, w innych odmienne. Zaczynamy od tych, które wspólne są wszystkim niemal ludom słowiańskiego szczepu.

Radość towarzyszy skojarzeniom związków małżeńskich, nadzieja im przyświeca, i nie tylko łączących się z sobą i krewnych, lecz przyjaciół, znajomych i wieś całą lub okolice nawet ożywia, przejmując, słodkiem przypomnieniem zachwyca, lub w przyszłość błogą unosi, wszystkich obecnych zbliża i jednym niejako rodzinnym łączy węzłem. Słusznie zatem nazwano je *weselem*; wtenczas bowiem wieśniak zapomina o wszelkich troskach, radością oddycha; wtenczas panuje dostatek, gościnność uprzejma. Ci życzą biorącym się wszelkiej pomyślności i w tych dniach pierwszych i w życiu całym, winszują pociechy rodzicom; tamci z wdzięcznością przyjmują te wróżby i składają najwyższe dzięki: Religija nakoniec związek ten uświęca, a społeczność mu poklaskuje. Kogóż ten widok nie zachwyci i nie rozrzewni?

Mężatki i dziewczyny, wszędzie odznaczają się oddzielnym ubiorem; w niektórych miejscach malowane ściany zewnątrz, w niezgrabne drzewa lub kwiaty, wskazują że tam jest córka na wydaniu. Skromność, cnotliwe życie, usposobienie do przyszłych obowiązków, pracowitość, ochędostwo, chociażby w najuboższej chatce i koło siebie, ściągają młodzieńców, bardziej niż piękność i młodość; tam prędzej przybywają swatowie. Muszą oni okazywać wielką trafność, ażeby nie obrażali nikogo, ujęli raczej i wszelkie trudności pokonali. Przemawiają w przypowiastkach z największą grzecznością. Z drugiej strony, jeśli chwila przybycia swatów jest pożądana; wrodzona skromność, słuszna częstokroć obawa w dziewczynach, zaś w rodzicach przywiązanie do dziecięcia, albo chęć okazania, że nie mają powodów spieszyć się z zezwoleniem, przyczyną bywa pozorniej obojętności, zbytniej powagi, zwłoki, starań kilkukrotnych w imieniu kawalera, częstowania i podarków, pomocy krewnych lub sąsiadek. Już nareszcie pozyskane zezwolenie, nastąpiły ostateczne *zapoiny*, w których uroczystą zachowano kolej. Świętość tych umów jest wielka, niewzruszona zwykle niczém; a jeśli zerwą się bez nader ważnych przyczyn, srogie ztąd tworzą się nieporozumienia, długo trwała nienawiść. Rzadkie to wszakże zdarzenie. W zwykłej rzeczy kolei, robią się z obu stron przygotowania, do jak najświetniejszego obchodu wesela. Panna młoda, pociecha rodziców, od wszelkich prac ciężkich wolna; rówiennice ją otaczają, bawią, przyspiewują, pomagają do robienia wyprawy. Gdy się już czas zbliża, z nią razem z miłą uprzejmością i pokorą zaprasza-

ją na wesele; w skromnej wesołości przepędzają ostatni przed ślubem *dziewie wieczor*, w niektórych miejscach *złubinami* nazwany. Ze strony pana młodego, dobrani urzędnicy weselni: marszałek, starosta, družbowie, swaty; z ramienia oblubienicy lub rodziców jój, podobnie starosta i druchny. Wszyscy znać swoją powinność, utrzymać porządek i zabawiać społeczeństwo powinni, mniej lub więcej dowcipnym sposobem. Mężatki pomagają piec *korowój*, dziewice pleść wianki, składać *bukiety*, wszystko przy stosownych pieśniach. Chorągiewka na dachu oznacza powszechną radość; wszystkich którzy jądojrzeć mogą, zdaje się przyzywać, ażeby ją dzielili na wesele przybywając. Każdy bowiem wtenczas, bogaty i ubogi, znajomy i obcy, gościem jest miłym; nikomu nie wzbroniony przystęp. Zapalają radosne ognie. Łzami zalana dziewica, po wynurzeniu czulej wdzięczności rodzicom, którzy ją wypielegnowali, rodzeństwu, które ją kochało, po otrzymaniu błogosławieństwa wszystkich, siada na żywiącej ich przez lat tyle dzieży; tam rozczesują włosy jój, miodem lub masłem je smarują, grosz i chleba kawałek kładą, przypinają wieniec, ubierają do ślubu; śpiewki tymczasem wynurzają żal z jój oddalenia się, to znowu ją pocieszają przyszłego szczęścia nadzieją. Przybywa pan młody z orszakami; nastaje zamiana wieńców; po udzielonych raz jeszcze błogosławieństwach, przy odgłosie muzyki, z okazałością jadą do ślubu; każdy im ustępuje chętnie; palą stosy, kłody smolne i skaczą przez nie. Do ślubu, pannie młodej towarzyszą dziewice, od ślubu mężatki; spotykają nowożeńców chlebem i solą,

posypują ich zbożem; w innych miejscach, jakoby niepoznani, dobijają się do drzwi, po niejakić dopiero puszczeni chwili. Nastaje wróżba przyszłego ich szczęścia, przez rozdawanie chleba i hojna uczta. Żyto w kłosach zawieszone po nad stołem weselnym, ławka zasłana ręcznikiem, na którym panna młoda zasiada. Wśród mnóstwa innych potraw, przynoszą upieczonego *koguta* weselnego, czyli *bażanta*; po biesiadzie, ochocze tańce bawią młodzież. Lecz nastaje chwila *oczepin*; ta ma liczne obrzędy: w niektórych siedzibach targ o warkocz panny młodej bywa z jej bratem; tu starożytną pieśń o chmielu śpiewają; tu przysstrzygają zlekką, tu przysmalają, tu obcinają całkiem jej włosy, jako niepotrzebną już dla niej ozdobę, kładą czepek, ona go zrzuca, przyjmuje nareszcie poniewolnie jakoby. Są miejsca, gdzie prowadząc do łóżnicy, przebierają całkiem pannę młodą sędziwsze mężatki; w niektórych prowincjach odwożą panu młodemu jego oblubienicę wraz z jej wyprawą; nadto, ręcznikiem na którym siedziała, ma prawo okręcić dobytek, czyli sztukę jaką bydła lub konia i zaprowadzić w dom mężowski; w niektórych znowu stronach, oddalając się na chwilę, pan młody bojarom swoim pilnować jej zaleca, ta jeszcze dla zabawy ukryć się przed nimi lubi. Nie puszczają pana młodego, gdy po żonę przybywa, swachy wesołe; lecz któż mu wzbroni nareszcie, do oblubienicy swój mającemu prawo? W mężowski dom wjeżdżając, przez płomień słomy zapalonej przesuwa się, jako nieprzełomną zagrodę siedziby nowój, przyjmowana uroczyście, obnosi chleb ofiarowany trzykroć koło stołu, kłania się kątowi,

w którym stał niegdyś bożek *Pokuć*; upominkami rodzinę swego męża i gości ujmuje; od obecnych nawzajem, cokolwiek na gospodarstwo nowe ma sobie ofiarowaném, dzieli ucztę i zabawy dla niej przysposobione, staje się nakoniec żoną.

Wszędzie tu zachowana prawość i tkliwość uczuć familijnych i społeczęńskich; jeśli dla obfitęj w rodzinę i zamóżnej dziewicy, wielkie ukazują się względy, większe niemal dla uboższej, dla sieroty. Jaka uprzejmość i gościnnność, jak nieodstępne i święte od ojców do najpóźniejszych wnuków przechodzące, strzeżenie obyczajów starożytnych!

W Krakowskiem, zwykle we czwartek, ojciec lub starszy krewny idzie z młodzieńcem do chaty jego ulubionęj w *oświadczyńny*, niosąc z sobą wódkę. Dziewczyna chowa się za piec, lub ucieka do sąsiadów. Swat prosi o użyczenie kieliszka. Gdy ojciec dziewczyny rozkazuje, a matka ochoczo i prędko podaje kubek, jest to znakiem życzliwych myśli; jeśli kieliszka na pozór tylko troskliwie szuka i znaleźć go nie może, oznacza to, że z tęg swadźby nic nie będzie. Po spełnieniu zdrowia, swat z niechęcia jakoby zapytuje się o córkę; matka ją przyprowadza, on wychwalając że przyjemna i hoża, znajdując, że dobra byłaby z nięj żona i gospodyni, pełny kubek do wychylenia jęj podaje; dziewczyna wzbrania się, wyprasza, wypija nareszcie kilka kropel. Wtenczas, życzenia młodzieńca swat oświadcza, prosi o rękę córki. Po niejakiem oporze i wachaniu się, dziewczyna zezwala i rodzice; narzeczony daje na zapowiedzi, kupuje wedle upodobania podarunek jaki weselny *młodu-*

chnie (tak bowiem nazywają pannę młodą) albo chustkę na szyję, w którą zawija kilka złotych. Tą chustką, swat przy stósownej *oracyi*, wiąże ręce państwa młodych. Tak się odbywają zaręczyny.

Na dachu tego domu, gdzie się wesele ma odbywać, chorągiewka powiewa. Skoro dzień przeznaczony do ślubu nadejdzie, druźbowie i druchny z muzyką chodzą od chaty do chaty, zapraszając w imieniu państwa młodych gości do kościoła. Po wejściu do mieszkania i odbytém zleceniu, muzyka grać zaczyna; obecni, chociaż raz przetańcowawszy, dalej idą, z podobnymże obrzędem zapraszają innych sąsiadów. Tymczasem pannę młodą pozostałe druchny ubierają do ślubu, zasadzają na dzieży, rozplatają warkocz, stroją w kwiaty i wstążki, a przytomni z kieliszkami wyśpiewują.

Gdy się zgromadzą krewni i goście; oczekując panny młodej, cała druźyna śpiewa:

„A wychodźże bo już czas!
Wdziewaj spódnice w swiny pas”
„Już ci ja się wybrała,
We swoje chusty, com miała:”

„Teraz dudarzu, teraz graj!
Nie jednemu jój będzie żal!
Teraz dudarzu, teraz brzmij!
Niechaj krakowskie pole grzmi!
A wychodźże za progi,
Padnij matuli do nogi!”

„Pobłogosławże mi matko moja!
Bo już ja idę do kościoła;
Pobłogosławże mi ręką swoją!
Niechże ja idę z wolą twoją!”

„Na krakowskiej dziedzinie,
Stoi jabłonka w dolinie,
Pod nią dziewczyna siadała,
Złoty warkocz czesała.”

„O mój warkoczyku złocisty!
Urosłżeś ci mi rzęsisty;
Urosłżeś ci mi po mój pas,
Na mojej matki ciężki płacz!”

Młoduchna rzuca się do nóg rodzicom; wśród szlochów i łkania ściska ich stopy. Rodzice błogosławią córkę; wtém starosta wzywa do kościoła. Młoduchna z druchnami i muzyką jedzie na wozach, które otaczają pan młody, starosta, družbowie na przybranych koniach, z czubami na głowie; każdy z nich trzyma bat w jednej, a chorągiewkę w drugiej ręce. Zabytek to dawnych Słowian zwyczaju; gdzie każdy zbrojno stawał na obrzęd weselny. Po drodze którą jadą, młodzież czasem rozpala stosy z chrustu; przez nie družbowie końmi przesadzają. Miasto lub wieś przejeżdżając, muzyka gra, wesele śpiewa.

Wracających z kościoła, na progu chaty spotykają z chlebem i solą; gospodarz na państwa młodych i całą drużynę sypie owies; chwytają go i potem zasiewają. Starosta w chacie wita nowożeńców, mówi *oracyą* o obowiązkach stanu, kończy okrzykiem: „Niech żyją państwo młodzi!” co wszy-

scy powtarzają. Dają objad, u którego siedzą w czapkach. Potém starsi wiekiem gospodarze, dalej młodzież, muszą przetańczyć wolnego, czyli polskiego, mazura i krakowiaka, i to się zowie taniec jeden.

Nadchodzi czas *oczepin*; swacha kładzie pannie młodej czepiec; wtenczas śpiewają znaną powszechnie pieśń o chmielu.

W Kujawach, po wysłaniu swatów, gdy przyjęto żądanie pana młodego, za dwa tygodnie następuje wesele. Pasą konie, któremi oblubienica ma jechać do ślubu, ażeby rzeźwe były; sprawują dla niej nową suknię, a gdy czas nadejdzie, z pięknej przenicy robią mąkę, z niej placki, kołaczce, z kartofli przysmaki i zabijają krowę. Ekonoma lub komisarza proszą o konie, jejmość aby głowę przystroiła, a potém oczepiła. Drużbowie i druchny zamówione, towarzyszą państwu młodym proszącym na wesele każdego, czy bogatego, czy ubogiego we wsi całej; z okolicy zapraszają samych tylko krewnych lub przyjaciół. Dom w kwiaty ubrany, drużbowie w ręczniki, wstążki i bukiety strojni. Druchny wiodą dziewice do dworu, aby jój koronę przypięto; gdy powrócą z tamtąd, najstarszy drużba odzywa się: „Już panna młoda do ślubu gotowa, już są fornalki, czas więc do kościoła.” Bierze pannę, drugi pana młodego i przypomina im, ażeby rodzicom pokłon oddali, dziękując za ich dobrodziejstwa. Padają do nóg, kłaniają się krewnym i wszystkim z kolei, prosząc o błogosławieństwo; ręce ich łączą ojcowie, matki święconą kropią wodą, a młodzież

spełnia zdrowie. Wychodzą parami, muzyka ich poprzedza, 6 młodzieńców z ręcznikami białymi na lewy bok obróconymi, siada na konie; w lewym ręku trzymają chustki i cugle; w prawym batóg, w pośród téj młodzieży jest oblubieniec. Cztery druchny siadają na wóz z panną młodą, która w ręku trzyma bukiet; dalej dziewczki, mężatki, a na czele śpiewaczki najlepsze; potem gospodarze z żonami, wszystko to jedzie na wozach. Drużba woła na muzykantów, „rznij od ucha,” wnet dwóch skrzypków i basista zaczynają kujawiaka, młodzi pokrzykują, furmani z biczów trzaskają. Gdy wchodzą do kościoła, drużba jak należy szykuje wszystkich; wie gdzie ojca lub dziadka, gdzie innych postawić; za panną młodą tuż druchny, dalej inne dziewczki; za panem młodym dwóch drużbów i inna młodzież; drużba zaś starszy i drugi po nim stają na przodzie. Chustkę białą rozścielają pod nogi oblubienicy. W tém zagrzmi *Veni-Creator*. poczem przemowa kapłana i ślub.

Z kościoła oblubienicę prowadzą mężatki i z niemi jedzie nie z druchnami; śpiewy, muzyka, wykrzyki im towarzyszą. Na progu domu przyjęci są z chlebem i solą. Pan młody zaczyna pierwszy taniec. Wódkę, kołacze, strucle pszenne i żytnie, masło, sery na stole stawiają, piją i jedzą. U obiadu, ulubiona Kujawiaków czarnina z gęsi lub prosiąt, z wielkimi kluskami, brukiew z sporemi sztukami mięsiwa, pieczone i kapusta na w pół z kielbasą i słoniną, nakoniec orzechy i jabłka. Po obiedzie znowu taniec. Przed oczepianami, wszystkie dziewczęta kolejno z panną młodą tańczą,

występuje družba najstarszy, stanie przed grajkami, tupnie nogą i zaczyna śpiewać.

Tańcują potem z panną młodą; wtém stawiają dzieczę; otoczywszy pannę młodą dziewczęta, rozplatają kosę i w śpiewkach wyrażają swój żal, że się z nią rozstawać muszą, że ją utracają. Najstarsza wiekiem gospodyni, gdy nie ma ekonomowej, przystrzyga warkocz, kładzie czepiec. Po oczepinach następuje wieczerza: tu gęsi pieczone z jabłkami, placki rozyneków pełne i owoce; trunków nie żałują. Tańce jeszcze trwają do trzech lub czterech godzin. Nakoniec dziadulo z panną młodą idzie *wolnego*, za nim wszyscy ojcowie i mężatki stare; na tém się kończy zwykle zabawa.

W Mazurach, młodzieniec sam się oświadcza ojcu, mówiąc: „Panie Ojczel! czy wydacie za mnie waszą córkę Marynę, czy nie? Bo ona mi się bardzo podobała, i żebyście dali na zapowiedzi; a jeśli nie wydacie za mnie Maryny, to się musimy drugiej postarać.” W dzień ślubu, pan młody z towarzystwem idzie do domu panny młodój, na czele *grajek*, wycinając od ucha mazura. Po przywitaniach, występuje *orator*, państwu młodym oddając wieńce i ma do nich wierszami przemowę. Z wieńca panny młodój, starsza druchna oddziela kwiatów kilka, przypina je do boku, resztę podobnie rozbierają druchny, dzieląc pomiędzy siebie i družbów. Przy rozplataniu włosów panny młodój na dzieży, śpiewają druchny:

Zakukała kukaweczka na wieży,
Zapłakała Marysiecзка na dzieży,

Zakukała kukaweczka na Bugu,
Zapłakała Marysieczka przy ślubie.

Poczém kładą jój wieniec świeży na skronie. Udać się mając do ślubu, panna młoda rzuca się do nóg ojcu i matce, którzy ją błogosławią. Drużbowie dosiadają koni, pan młody im przewodniczy; za nimi na wozie panna młoda jedzie z druchnami i muzyką. Wieś, lub miasto przejeżdżając, kapela wygrywa rozmaite prowincjonalne tańce i pieśni. Wracając, gdy połowę drogi ujadą, najstarszy drużba pędzi w tęgim galopie do domu po bochenek chleba; z tym całą drużynę weselną objeżdżając, zaprasza do mieszkania. Gdy na miejscu staną, przy odgłosie muzyki wychodzą rodzice, niosąc chleb, sól i wódkę; przyjmują na progu chaty nowożeńców, zapraszają do domu, gdzie śniadanie zjadłszy, tańczą do obiadu. Przed pierwszą strawą uczyty weselnój, gospodyni pije do panny młodój; całe wesele z okrzykiem bijąc w stół pięściami, przy odgłosie muzyki, woła: „niech żyje panna młoda!” Ta pije do pana młodego, wśród podobnychże okrzyków; po czém wszyscy zaczynają pić i życzyć sobie zdrowia nawzajem.

Na objeździe weselnym musi być koniecznie rosół, flaki, pasternak, groch.

W okolicy Zadniestrzańskiej i wszędzie prawie na Rusi, są ludzie we wsi, którzy za zwyczaj swatostwu, zaręczynom i weselu przewodzą. Ten który panu młodemu pomaga, bierze tytuł starosty brańskiego, swat zaś panny młodój nosi tytuł starosty dańskiego.

Parobek gdy sobie dziewczkę za żonę upatrzy, w raz z oj-

cem udaje się do swata, czyli starosty brańskiego; ten z niemi natychmiast do domu rodziców idzie, parobka przedstawia i prosi rodziców panny, ażeby za niego córkę wydali. Parobek za sobą nie powinien nic mówić, a dziewczka dla okazania większej skromności, obraca się do pieca, w nim poprawia, na znak, że w gospodarstwie matkę zastępując, nie ma czasu zajmować się czém inném. Rodzice na tę pierwszą proźbę, nie zwykli nigdy swęj córki obiecywać, dają tylko tę odpowiedź, że się muszą sami wprzódy z sobą naradzić i z córką pomówić; oznaczają inny termin, kiedy na nowo do ich domu swat, ojciec i parobek mają powrócić; wtenczas albo się ostateczna zyskuje deklaracya, albo się jeszcze na inny termin odwołują rodzice. Takowa zwłoka, najczęściej przepowiada niepomyślny skutek; przeto swat powróciwszy do domu parobka, przetrząsa wszystkie odpowiedzi rodziców. Jeżeli znajdzie się nadzieja, odważają się jeszcze po nową iść odprawę; jeżeli próżne zabiegi przewidują, dalsze staranie ustaje. Rodzice nim przystąpią do deklaracyi, wyliczają ile posagu myślą dać córce, napominają aby się wcześniej zięć przyszły pomiarkował, czyli szczupłość posagu nie osłabi przywiązania jego. Młodzieniec zezwolenie swoje potwierdza tym sposobem, że rodziców przyszłej żony, tudzież innych krewnych i przyjaciół, zaprasza do siebie na obiad lub wieczerzę. Jest to pora do przedślubnej umowy. Parobek i rodzice jego, starają się najuprzejmniej zaproszonych częstować gości, wódki dodają ile mogą, a rodzice panny młodej uradowani, zwiększają posag i dzień ślubu oznaczają. Tak więc, zamezcie córki

stanowią rodzice; na posag matka z swego majątku nic nie traci i po śmierci męża dopomina się o całkowity swój wniosek. Syn ożeniony w domu ojca, nigdy prawie nie mieszka spokojnie, zawsze bowiem niemal synową za obcą uważają i dość twardo z nią postępują. Chcąc się pozbyć syna, daje mu ojciec bydłęta i do pana wyprawia, ażeby mu grunt jaki wydzielił. Zięć z rodzicami łatwiej się zgadza, w domu teści owdowiałej, rzadko się kiedy utrzyma.

W wigilją ślubu, rodzice panny młodej dają u siebie wiecezrę, a muzyką nie odbicie potrzebną, zatrudniają się obie strony. W gronie poważnych mężatek, z wielu obrzędami i śpiewkami *korowaje* pieką: to jest chleby z mąki pszennej, różnemi wyrabianiami po wierzchu ozdobione. W końcu podługowate tych korowojów, kładą dwa jaja.

Już poprzedniczo w dniu tym, panna młoda, jedną lub dwie przyjaciółek *drużkami* zwanych, dobrawszy sobie, rozpuszczone mając włosy, przystojnie lecz skromnie ubrana, od chaty do chaty idzie, zwiastuje dzień wesela, na które zaprasza w imieniu ojca i matki, a jeśli ci nie żyją, w imieniu starszego brata lub siostry i wszystkich krewnych, których wymienia. Nie pomija dworu, księdza, organisty, ekonoma, słowem każdego, czy to mieszkańca czy przechodnia, zarówno bogatszego, jak i najuboższego. Wszędzie błogosławieństwo odbiera i w podarku, co czyja możność dozwala, jak u ludu kilka *powisów* lnianego lub konopnego włókna, sztukę jaką drobiu, u innych pieniąż ofiarowany chętnie, przyjęty wdzięcznie.

Ku wieczorowi za nadejściem przyjaciół i gości, *starosta*

dański rozpoczyna swój urząd gospodarza, przytomnych do zabawy, do tańców, do spełnienia czarek zachęca. Panna młoda rozdaje gościom krótkie ręczniki, domowej roboty, na kształt chustek, oblubieńcowi zaś chustkę sklepową, za którą on pieniądze zwraca, ile kosztować mogła, lub więcej trochę. Przykrywają stół obrusem, bochenek chleba na nim kładą, pan młody zatyka w chleb kilka sztuk pieniędzy, matka zakrywa ten chleb czystą chustką. Przystępuje wtenczas parobek, dziewczka, rodzice obojga stron, krewni i wszyscy przytomni, rękę na rękę na wierzchu rzeczzonego chleba składają; ksiądz otacza stulą, czyta modlitwę z wezwaniem błogosławieństwa Boskiego! Zaręczynami to gdzie niegdzie zowią, lecz niewłaściwie, bo istotne zaręczyny już poprzedziły, kiedy była zgoda przy swactwie; jest to raczej przedślubny obrządek, uświęcenie przyszłego stadła i skojarzenie dla niego wszystkich serc, a razem tak piękna i potrzebna nauka wspólnej zgody i jedności.

Pan młody przyszłej swój żonie, daje *rańtuch*, którym ona, zostawszy mężatką, głowę obwija i stroi; ta mu wywiązuje się darem koszuli nowój swego przedzenia i roboty. Po wieczery i tańcach, nim się rozejdą goście, panna młoda po cichu i nieznacznie oblubieńcowi swemu przyszywa do czapki z ziół upleciony wianek. Nie powinien on spozstrzegać tego i z wiankiem tym odchodzi; lecz gdy powróci do swego domu, matka jego najpierwsza na to spoziera, zrywa mu czapkę z głowy, odczepia wianek i w piec rzuca. Trudno wytłumaczyć przyczynę tego zwyczaju.

W dzień ślubu, panna młoda idzie do kilku sąsiadek,
Obyczaje.

spraszając je, żeby jej dopomogły upleść korony i związać bukiety. Wśród śpiewów dwie uplatają, jedną dla przyszłej mężatki, drugą dla oblubieńca, tak obszerną, ażeby na opasanie czapki wystarczyła. Ten drugi wianek, czyli koronę, odsyła panu młodemu przez trzech parobków, na bochenku chleba, w towarzystwie muzyki, sama tymczasem do słubnego przybrania się zasiada.

Starosta dański, pierwszy jej włosy rozczesywać zaczyna, czesząc je dalej rodzice i kto tylko jest obecny. Te włosy nie mogą już być w warkocz splecione; lecz rozwinięte z tyłu na ramiona spływają. Pan młody jak tylko spostrzeże, że mu koronny niosą wianek, zasiada także na stolku; przystępuje *starosta brański*, głowę mu uczesuje i przybrawszy w czapkę wiankiem opasaną, z muzyką do domu rodziców panny młodej odprowadza. Nim w próg wstąpi pan młody, matka na środek izby stół wyciąga, nakrywa go białym obrusem i bochenek chleba kładzie. Po takim przygotowaniu, panna młoda wraz z matką zastępują we drzwiach panu młodemu; on ją bierze za rękę, drugiej im się ojciec, matka i inni krewni, i razem wprowadziwszy się do izby, w takim szeregu trzykroć stół obchodzą. Matka, oboje państwa młodych sadza na ławie, szyję obojga rątuchem otacza i pocałować się dozwala. Po rozwiązaniu rątuchocha, muzyka znać daje, ażeby się na ślub do cerkwi udali.

Za powrotem od ślubu, matka z ożogiem wybiega, nakrytą mając głowę wywróconym do góry kożuchem, wnosi bochen cały i częstuje czarką wódki zięcia swojego, który

wypiwszy cokolwiek, rzuca za siebie kieliszek i resztę napoju, wyrzekając się zapewne pijaństwa i chcąc być odtąd statecznym człowiekiem.

Po tém matka oboje młodych szczerze obsypuje ziarnami owsa. Kożuch wywrócony, życzenie obfitości znać oznacza, aby im się pleniły zboża tak gęste jak włos w kożuchu. Potrząsanie owsem, ziarnem którego tam właściwa ojczyzna, które w Zadniestrzańskiej okolicy więcej nad żyto na chleb cenione, a może w wielu miejscach ojczyzny naszój pierwszym było ziemiopłodem, wyobraża zapewne to pragnienie, ażeby im nigdy nie zabrakło urodzajów ziemskich, ażeby ich mieli zawsze podostatkiem.

Po objedzie, ku wieczorowi, przenosi się weselna uczta w dom rodziców pana młodego. Chociażby najbliżej było, zajężdza wóz jeden albo i dwa i na nie z okazałością i wystawą kładzie się *posag*, to jest: dwie poduszki, skrzynia z bielizną i sukniami, i wszelkie sprzęty, jakie tylko córka od rodziców ma sobie dane. Za temi wozami całe społeczeństwo rusza z muzyką, wyjąwszy rodziców panny młodej, którzy zostają w domu, żeby się nie zdawali gonić za córką (rzucającą ich dla męża) i dla zachowania swój powagi; nazajutrz bowiem zięć sam przychodzi i najuniższej do siebie zaprasza. Jeżeli córka na inną wieś idzie za mąż, pan młody wozów dostarcza dla przyjaciół swoich. W takim razie i ten jeszcze zachowują obyczaj, że rodzice do ślubu w środek włosów panny młodej zawiązywać zwykli czosnku ząbek: jak czosnek albowiem wszelką zarazę

odpędza, tak wszelkie zło od nięj odchodzi wiecznie, tém bardziej, że rodzice nie będą mogli patrzeć na nią zbliska.

Tak więc odprowadzają państwa młodych do ich domu. Przybywszy z orszakiem do mieszkania rodziców męża, oblubienica podobnież od mężowskiej matki odbiera powitanie i oboje znowu potrzęsają owsem. Rodzice zaś obustronni dają sobie wzajemne upominki; matka panny młodej, ojcu młodego koszulę, matka nowożeńca, matce panny młodej ofiaruje rańtuch.

Następują potém zabawy, śpiewy, tańce powiastki, i żarciki z państwa młodych.

U ludu litewskiego, zaręczyny tak się odbywają. Dwóch mężczyzn żonatych, na prośby rodziców kawalera, wzięwszy od nich bułkę chleba i kwartę wódki, udają się do rodziców panny młodej, życząc im takiego zięcia. Nie zezwala dziewczyna od razu, bierze to do namysłu i poradzenia się ze swojemi. Po kilku dniach powtarzają się swaty; kiedy nastąpi zgoda, piją wódkę i ułożą czas przybycia z panem młodym na zaręczyny. Z swatami i kawalerem przyjeżdżają i rodzice jego, lecz nie zastają dziewicy; jest u sąsiada, krewna mężatka ją przyprowadza; podaje przez stół rękę swatom, ojcu i matce; panna młoda toż samo uczynić musi, dać nakoniec rękę panu młodemu. Przywieziono kielbasy, pieczyste, ser, chleb i gorzałkę; tak, żeby wystarczyło dla wszystkich. Zaczyna się od częstowania wódką; swat pije do téj co przywiodła pannę, ta do rodziców kawalera, ci do rodziców panny, nareszcie pan młody do narzeczonej. Wypiwszy kładzie do czarki pieniądze, wódkę na-

lewa i jój podaje; ona przyjąwszy wódkę, z czarką raptem na stół wywraca, pieniądze chowa, czarke znowu nalewa i chustką ją nakrywszy, oddaje panu młodemu; ten wypija, a wyprowadziwszy na podwórze kochankę, cokolwiek pieniędzy jój daje. Kobiety w czasie zaręczyn śpiewają kilkakrotnie taką piosnkę: „Swiekier (ojciec pana młodego) perepiwaje: perchladaje, czy chorosza newista, czy choroszyje przybory i czy ničkije ukłony.”

Panna młoda część przyniesionych rzeczy odbiera i częstuje swoich. Układają się o czas ślubu i wesela. Na tém się kończą zaręczyny, czyli *zapoiny*. Pan młody jedzie z rodzicami do plebana, wiezie mu kwartę wódki, bułkę chleba, godzi się o ślub i zapowiedź.

Przed ślubem panna młoda płacze, ażeby się weseliła całe życie; pieką korowaj. Trzy albo pięć kobiet, zawsze nie do pary, tak u panny młodej jak u nowożeńca, śpiewając: „Sam Boh korowaj miesić, Preczystaja świecić, anieli wodu nosiać, a nas na weselije prosiać.” Po upieczeniu winszują nowożeńcom, życząc im wszelkiego dobra. Do ślubu jadącym każdy podróżny ustąpić powinien, kiedy nie wie tego zwyczaju, proszą go o to. Po ślubie, kobiety czyli swachy, wzięwszy między siebie pannę młodą, zaprowadzą do *świeronka*, przebiorą ją zupełnie; wtenczas brat rodzony, albo kto inny w jego miejscu, schwywszy poduszkę i pannę młodą, prowadzi ją do chaty, posadzi na poduszce, swachy rozrzucają włosy na głowie, świecą woskową zapaloną koniec ich przysmolą, na znak, że odtąd nie powinna się niemi popisywać; smarują włosy masłem, lub miodem,

kładą na głowie chleba kawałek i grosz, życząc im, ażeby życie ich jak miód było słodkie, żeby im chleba nie brakło, i bogaci byli; dopiero obwiązują *namiołką*. Na drugi dzień po ślubie, wieczorem przyjeżdża nowożeniec z całym orszakiem, zabiera pannę młodą do domu rodziców swoich, we wrotach przejeżdżają przez słomę zapaloną, na znak, że już z miejsca, do którego weszła, nie ma powrotu. Matka pana młodego, kozuch wywróciwszy na wierzch futrem, z chlebem i solą na wieku od dzieży, we drzwiach sieni spotyka i błogosławi. Panna młoda przyjmuje ten upominek, trzy razy w koło stołu obchodzi, okazując, że chce być gospodynią tego domu; śpiewają piosneczki, tańczują w okrąg na kształt polskiego, albo kobiety w jednym rzędzie, mężczyźni w drugim, i tak do siebie przyskakują.

*

*

*

Wspomniemy jeszcze o innych dawnych zwyczajach, tu i owdzie dochowanych.

Postrzyżyny. Za pogańskich czasów, odbywano je w siódmym roku życia. Postrzygano włosy dziecięciu, i nadawano imie. W Rusi wsadzano młodzieńca na konia, uroczystości tej towarzyszyli kumowie, spraszano gości i częstowano ich hojnie. W okolicach górzystych, dłużej przechowują się dawne zwyczaje, lud żyjący w odosobnieniu, nie tak łatwo zacierają wyobrażenia od przodków powzięte, nie odstępują tak snadno, ani się zaniedbywać poważa rodzicielskiego obycaju. Jakoż u *Huculów* jest ślad postrzyżyn, lecz nie w siódmym jak w pałacach królów, ale w 18 roku, kiedy młodzian

staje się człowiekiem, połączony z obrzędami, jakie ludziom krzepkim, ludziom w stanie natury, których oko i rzut dłoni jest nie mylny, mogą być tylko dostępne, na które się zdumiewa i truchleje niewiasta i podobnie jak ona pieszczonego młodzian. Gdy następuje czas postrzyżyn u górali karpackich, staje chłopak nieulekniony i prosi, ażeby mu wolno było wchodzić do rzędu parobków, to jest dorosłych. Zezwalają starzy i zabierają się do ceremonii podstrzyżenia włosów, czego mu dotąd nie było wolno. Wprowadzają go pod sosnę; on zbiera włosy w garść, i wyciągnąwszy w górę, opiera się o drzewo plecami. Odważny i w rzucaniu pocisków niezawodny góral, toporek chwyta, a mierząc bacznie pomiędzy głowę i rękę, ciska i przecina włosy młodzieńca, który kiedyś podobną uroczystość sam dopełni śmieje, jak teraz nie zadrzał przy niej. Strzałą zbija Szwajcar jabłko na głowie ukochanego syna. Polak z dawniejszych czasów, kulą przeszywał kórek u trzewika żony i córki; nie dziwny się, że góral tak zuchwale przedsięwzię postrzyżyny. Po tym obrzędzie, w samem opisanu straszliwym, chłopak staje się parobkiem, tańczyć mu i pić w karczmie wolno; przez wdzięczność upaja starych i siebie.

Urodziny. U prostoty w Zadniestrzańskiej okolicy jest obyczaj, że jak tylko dziecię przyjdzie na świat, natychmiast o tém zawiadamia ojciec sąsiadów i krewnych. Idzie potem do kapłana, aby toż dziecię w domu ochrzcił z wody; uroczystsze bowiem obrzędy do kilku dni odkładać się zwykły. Zbiegają się dobrowolnie sąsiadki, i dziecię swą piersią zasilają, nim będzie matka wstanie karmić je sama.

Dzień chrztu obrzędowego, jest razem pamiątką za dusze zmarłe. Jakże tkliwie tu przeszłość połączona z przyszłością, jak piękna dla wszystkich przestroga, że kto się rodzi, i umierać musi. W tym dniu więc z gminu człowiek sposobi się jak mu wystarcza, na sprawienie obiadu zadusznego. Gotuje pszenicę opychaną czyli otłuczoną z łuski, w całkowitem jednak ziarnie, mięsza do niej miód przasny, piecze kurę i to wszystko, z bochenkiem chleba, oraz ze świecą woskową niesie do cerkwi, i kładzie przed ołtarzem. Kapłan ubrany w aparat żałobny, odprawia modlitwy nad tą ofiarą, później mszę, a wczasie tego nabożeństwa uderzenie we dzwony tak się dzieje, jak wtenczas, kiedy prawdziwy odbywa się pogrzeb, nakoniec chrzest dziecięcia następuje. Po tych ceremoniach, kapłan ze wszystkimi kumami na objad zaproszony bywa. Z ofiar tych, samą pszenicę jedynie ojciec do domu odnosi, którą gdy na stole postawi, każdy z przytomnych, ma prawo garść jój wziąć i zajadać, potem do uczyty zasiadają, w której gospodarz jak najobficiej raczy jedzeniem i napojem.

*Dawna * Zagonowa * balustrada*

Od ludu wiejskiego przejdziemy do drobnój zagonowój szlachty, która ubóstwem i stanem oświaty, jest do niego zbliżona. Jednakże niezależność osobista, nie zatarta pamięć dawnego rodu, a nieraz dawniej świetności i władzy, nadaje téj klassie mieszkańców jakąś dumę i wielkie o sobie rozumienie. Mają zadawniony wstręt do rzemiosł, i w stosunku ich liczby, bardzo mało oddawało się i oddaje dotąd

zawodowi przemysłowemu. Wolą znosić biedę na swoich częściach, częstokroć nie wynoszących trzech morgów roli, aniżeli posyłać synów do miast na terminatorów. Przyznać trzeba, że coraz to większa bieda, zmusza ich do wybierania sobie innego trybu życia: lecz wolą raczej iść za ekonomów i pisarzy prowentowych, trzymać dzierżawę karczmy, handlować drobiem, cielętami, nabiałem. Duch pieniądza jest między nimi rozpowszechniony. Sądzą że ich nazwiska zapisane w aktach sądowych, z wymienieniem wioski, rodziców i herbu, są dla nich i dla ich dzieci dokumentem szlachectwa.

Ich położenie było pomyślniejsze przed laty. Niegdyś obywatel najzamożniejszy nie inaczej do nich się ozwał, jak *panie bracie!* bo należeli do wyborów i w nich liczbę stanowili. Powiadali więc z dumą:

Szlachcie na zagrodzie

Równy wojewodzie.

Szlachta drobna, w różnych województwach, całkiem wsię niektóre osiadała, szlacheckimi zwane, albo łącznie z kmiotkami. Szczupłe ich posiadłości maluje przysłowie: „jak pies usiądzie na dziedzictwie szlalcica, to ogon za granicą trzyma” i drugie, kreślące ich dostatek błaby: „U szlachty, co dzbanek, to panek.”

Zachowali wszakże swą dumę starożytną i zawsze pomiędzy sobą używają słowa: *pan* albo *wasan*. Obcy niech się strzeże inaczej do nich przemówić, zaraz usłyszysz „znasz co jest szlalcic, wara tykać!”

Kmiotki nie lubią ich, powiadając: *mądry szlachcic*: oznaczają, że oszukać umie. *Nadął się jak szlachcic*, służy do wyśmienia ich dumy. *Wystroił się, jak szlachcic do karczmy*, gdy kto w nowe suknie się ubierze, a przecie karczmy nie mija. *Chłopska rzecz siła jeść, szlachecka wiele pić*.

Przesądni i zabobonni jak chłopi, leniwi do pracy, przesiąknęli wieśniaków zwyczajami. Obszerniejsze mają zabudowania, większe okna. Pańszczyzna ich nie uciąża, idą wszakże na zarobek do żniwa, kosy i cepa. Czytać i pisać wielu umie, lecz prócz książki nabożnej nie znają innej, a częstokroć przeczytać jej nie zdołają: podpisać się, całą ich umiejętnością. Wytrwali na wszystko, jazda konna i w podeszłym wieku ich nie utrudza. Ubiorem koszula, spodnie płócienne, chustka biała lub kolorowa na szyję, buty z dużymi podkówkami, kapota lub z taśmami biekieszka, najczęściej popielata, kapelusz czarny lub czapka z siwym baranem. Na Polesiu, taka jak u chłopów siermięga, innego koloru tylko; czerwony pas, szabla, w jej niedostatku nasiekiwana pałka. W Pinszczyźnie i Owrukiem, takową szlachtę przedtem nazywano *okoliczną*, że sama szlachta zamieszkała w tej okolicy. Dworski sługa lub kmiotek, gdy się żenił z ich córką, przybierał imię i herb tej rodziny i stawał się szlachcicem.

Przy obrzędach weselnych zagonowej drobniej szlachty, nie ma śladu zwyczajów ludowych, ani ich piosnek. Przemowy czyli oracye od pana młodego i od panny młodej przez uproszonych dziewosłębów prawione, zastępują

ich miejsce. W przyjęciu gości naśladowali bogatszą szlachtę.

I w najuboższych domach szlacheckich, wczasach dawnych, na stole nakrytym stał zawsze chleb i sól, tak miła gościnności polskiej oznaka. Później i flaszę wódki do tego przydano. Kto tylko próg przestąpił, po pierwszym powitaniu, zaraz tém bywał raczony. Wjeżdżających panów i królów swych, przybywających w dom nowych małżonków, chlebem i solą witano.

Wesela możniejszych obywateli. Moźni pysznili się dostatkami, znaczeniem i swobodą; przy ślubnych obrzędach, przesadzali się na okazałość i przepych. Wesela ich zaszczycone były nieraz obecnością monarchów, a zawsze ich poselstwo, przeznaczeniem osoby, która po uroczystym wjeździe list wierzytelny podając, zastępowała króla przy tym akcie i składała od niego upominki. Wtenczas zbierali się w dom ich, równi bogactwy i wielkością krewni, przyjaciele, znajomi z różnych stron kraju. Była to równie pora, kiedy i niższa szlachta w podwoje najznakomitszych osób wolny miała przystęp. Tak wszystko w naszym kraju, w niektórych przynajmniej świetniejszych, czyli to politycznego, czyli domowego życia chwilach, łącząc tron, wyższych i cały ogół szlachty, w jedną, że tak powiem, wielką rodzinę, węzłem szacunku wzajemnego i miłości połączoną, nieznaną gdzieindziej a zachwycający stawiało patrzącym obraz, skojarzenia młodszych i starszych braci i wspólnego ich ojca. Narodowość pielęgnowana tu była ściślej, tak licznych bowiem i tak gorliwych dopełnienia jój miała świad-

ków; chyba że cudzoziemkę pojmując z nich który, obcym bardziej ulegał zwyczajom. Nie dla samych tylko istotnych rodziny swój członków, dla uboższej nawet krewniej, dla zasłużeńszej z dworu osoby, ta sama bywała reprezentacya, to samo zbliżenie uprzejmością, nie żałowaniem wydatków, i upominki ślubne wtenczas składano, które więcej zwykłe wynosiły, jak posąg. Upodobana zawsze Polakom wymowa, nowego przydawała blasku, najmniejszym odnogom tej wielkiej uroczystości.

U szlachty niższej huczne były równie wesela; jeśli mniejsza u nich zamożność nie dozwalała takich nakładów, gościnność przynajmniej bez granic, a radość i zabawy czasem żywsze jak u bogaczy. Bez muzyki rozweselającej, gnących się pod ciężarem potraw stołów, bez obficie udzielanych trunków i poważnych tańców, tudzież skocznych pługów i najuboższe nie mogło się obejść wesele. Przekonają nas o tém następne szczegóły urywkowe, tu w części przytoczone.

Jana Zamoyskiego wesele z Kazimirą margrabianką *d'Arquien* 1657 roku, tak się odbyło. Po zezwoleniu panny, oblubieniec jęj posłał krzyżyk dyamentowy ceny wielkiej. Gdy przybył do Warszawy, mnóstwem drogich kamieni w ubiorze swym okryty, w przytomności królestwa oddał jęj kosztowny pierścień, nazajutrz dyamentową koronę, wedle zwyczaju starożytnego, z *oracyą*. Trzeciego dnia była kąpiel panny młodej. Zaprosiła przyjaciółki swe, by z nią kąpać się przyszły, udały się do sali na to przeznaczonęj,

tam niezmierna była wanna marmurowa o sześciu stopniach. Wedle obrządku rozebrano pannę młodą i kąpała się z przyjaciółkami w pachnących wodach, które spływały z rur srebrnych. Zaniesiono do przyległego pokoju gotownią złotą z cyfrą nowożeńców, w perły, otoczoną węzłami miłości; zwierciadło i sprzęty wniej były piękne; znalazła tam równie szlafrok z sobolami i suknię wspaniałą. Przy wyjściu z kąpieli, 12 młodych paziów w kolorach Ordynata, z jarzęcami pochodniami odprowadzało ją do pokoju w którym był Ordynat, a czterech zaniosło tym czasem gotownią i ubiory do królowej, gdyż widzieć je chciała. Nastąpiło śniadanie dla oblubienicy i towarzyszących jej osób, tudzież koncert. Nazajutrz w dzień ślubu, w pokojach królowej i w jej obecności ubierała się panna młoda; wtenczas u Ordynata była uczta dla panów i osób dworu, obiad na kilka stołów, po którym udał się do zamku. Szło naprzód 100 hajduków w barwie Zamoyskiego, wyszyte mieli płomieniste serca lub *cyfry* i napisy złote, któremi ładownice i pasy ich były ozdobione, na głowach kołpaki bobrowe z dwoma piórami białymi, topory stalowe pozłacane; dalej 100 sług dworskich parami, 40 dworzan na dzielnych koniach z czapkami szkarłatnymi, szytymi złotem w *floresy* i *cyfry*; 24 mastalerzy prowadziło tyleż koni powodnych, 6 trębaczy, 18 paziów w atlasie, 200 przyjaciół i przedniejszych dworzan parami. Zamoyski sam, konno, miał na sobie żupan z materyi perskiej z ferezyą sobolami podszytą, kołpak i szabla błyszcząły od kamieni drogich, koń pyszny, rząd i czaprak dyamentami i perłami okryty, 20 możnych w je-

go orszaku. Przybył do zamku, od króla przyjęty łaskawie. W kwadrans poprzedzony od dygnitarzów monarcha, zaprowadził Ordynata do kaplicy, królowa szła za królem, dwóch senatorów prowadziło pannę młodą, damy dworu szły parami. Przed oblubieńcami rozesłano bogaty perski kobierzec. Arcybiskup Leszczyński ślub dawał; gdy zapytał panny, czy chce wzięść za męża Jana Zamoyskiego? ta obróciła się do królowej i pokłoniła się nisko, prosząc o jej zezwolenie, otrzymawszy je, przyjęła ślubną obrączkę. Msza była z muzyką, powrócono w tymże porządku. U stołu nowożeńcy jedli z królestwem. Wczasy uczy dla całego dworu grała muzyka, wieczorem bal, sala wielka ubrana wspaniale i oświetlona. Królowa wzięwszy pannę młodą, a król pana młodego, bal otworzyli, inni szli za nimi według dostojęstwa. Pyszna była wieczerza. Po balu udała się panna młoda do przygotowanego pokoju, pan młody wrócić musiał do siebie; miłość ustąpić powinna była zwyczajom. Nazajutrz królowa usiadła pod baldachimem, panią Zamoyską młodą mając przy sobie; dworscy składali powinszowania i dary z mowami. Trwało to 4 godzin, potem królestwo odwieźli ją swoją kareta do domu męża. Bankiet pyszny był dla całego dworu i przeciągnął się do 8 w wieczór. Królowa zaczęła bal, wkrótce oddaliła się, zostawwszy damy dworu. Bal nie trwał długo. Nazajutrz z wesołą twarzą udali się państwo młodzi do monarchów, zabawiwszy dni kilka w Warszawie, pojechali do Zamościa. Niedługo wszakże cieszył się Zamoyski piękną małżonką; umarł bezpotomnie, a Marya Kazimiera poszła za Sobieskiego hetmana, potem króla.

Jeszcze opiszemy i pomniejsze niektóre szczegóły, ty-
 czące się zwyczajów zachowywanych w tak ważném zdarze-
 niu. Pieczone rozbiarał pan młody na powietrzu, kiedy
 chciał okazać się zręcznym i przez to się podobać. Jeśli
konkury przyjmowano łaskawie, pokąd *kawaler* był w do-
 mu, nie stawiano gęsi z szarym sosem, ani żadnej potrawy
 odmówniej, o których pod przedziałem kuchni wspomniemy.
 Niegdyś, chcący się żenić, narzeczoną polewał trunkiem na
 znak oświadczenia. Młodszej córki przed starszemi nie
 chciano za mąż wydawać. Rozmaryn przedtém troskliwie
 przez młode panny był pielęgnowany, jako „wieńczący
 swoim liściem ślubne dziewcząt skronie.” Siedzącej na ko-
 biercu pannie młodej, gdy iść miała do ślubu, przypinano
 rozmarynową koronę na łubku poświęcanym, kładąc pod
 nią dukat lub cukru kawałek: dziś pomiędzy wyższemi
 używa się jedna tylko gałązka rozmarynu, albo mirtu. Bu-
 kiety wstążką białą przewiązane, iglicami przypinają się
 kawalerom i pannom, najpiękniejsze lub najokazalsze pań-
 stwu młodym, druchnom i družkom. I w wyższych stanach
 był przesąd ubiegania się o postawienie wprzód nogi na
 kobiercu ślubnym, dla uzyskania przewagi nad mężem, albo
 kładzenia na wierzchu ręki w czasie wiązania ich stułą, ta-
 jony pospolicie ze strony kobiet przed mężczyznami. Idąc
 do ślubu, albo od ślubu, panna młoda jeśli nogą posunie,
 znak to, że towarzyszące jęj dziewczęta prędko za mąż pój-
 dą. Ciasta na ucztę ślubną bywały w kolory; z cukru ku-
 pidynki do serc strzelają, gołąbki z różami w pyszczku lub
 niezapominajką, brylantowe cyfry państwa młodych wśród

Handwritten signature or mark in the bottom left corner.

wieńców mirtowych. Cukrowa kolacya musiała być koniecznie przy łożnicy i wino muszkatel.

Na weselach żmudzkich, obmazano chłopca tłustością i tak udawał murzyna, i w kącie pokoju trzymał wieniec laurowy nad cyfrą państwa młodych, którzy tym czasem cukrową kolacyą zajadali. W téj posłudze, muchy zwabione tłustością, pomimo odrażającą sadzę, nie dozwalały mu równowagą utrzymać wieńca, albo w jednostajnej przymuszonej postawie; gdy zostawał długo, bywało że go kurcz porwał, nie to przecież nie znaczyło, na każdym weselu możniejszych musiał być ów mniemany murzyn.

Zmieniały się obyczaje, szło w niepamięć wiele zwyczajów dawnych, przybierano inne. Jeden z obywateli Podgórze, znalazł w *papierach*: że prapradziad w r. 1687 miał do ślubu żupan lity biały, bekieszę axamitną zieloną, obłożoną łapami rysiami, guzy rubinowe i kołpak soboli. Pradziad, w r. 1714 żupan morowy seledynowy, ferezyjkę papuzią, pas z kłamrą srebrną, czapkę adamaszkową z wypustką lamparcią. Dziad w r. 1760 żupan ałasowy ponsowy, kontusz z sajety, koloru perłowego, pas słucki, buty żółte, czapkę białą z kasztanowatym barankiem. Ojciec w r. 1780 miał czamarkę granatową z potrzebami srebrnemi, pas z kobyłki, mankiety u rękawów koszuli, buty czerwone, czapkę gredytorową karmazynową z denkiem jedwabnym. Syn w 1808 roku, frak szafirowy, spodnie, kamizelkę i pończochy białe, kapelusz spłaszczony. Dzisiejszy potomek, tużurek granatowy, pantalon takiż, kapelusz okrągły. Wesele prapradziada trwało tydzień, wyszło wina be-

czek 10; pradziada 5 dni, beczek wina 7; dziada 3 dni, wina 100 butelek; na weselu syna było tylko wieczorem szampańskie, przy cukrowej kolacy; ostatnie zaślubiny *incognito*; wyszło herbaty 12 filiżanek.

Wesele mieszczan. Oto jest obraz miejskiego wesela p. Łukasza z Katarzyną Millerówną 1725 roku dnia 5 Lipca, w *Kuryerze Warszawskim* 1825 r. numerze 158 *skreślony*: „Pogoda wróżyła szczęśliwe życie państwa młodych. O siódmój wieczorem do kościoła ruszyli; kapela grała marsze; drużby w perłowych kontuszach, w żupanach kraprotowych, lite pasy, wiecheć kwiatów przy boku, między drużbami szedł pan młody. Druchn więcej było niż 10; strojne aż miło patrzeć, wyglądały nie na mieszczanki i nie jedna księżna pozazdrościłaby tych kanaków i zwierciadeł, które druchny miały na szyi, przy uszach i pod czółeczkiem. Panna Karpianka tak nasadziła kamieni, że aż luna biła. Panna młoda w bieli jak śnieg, nie miała nic świecącego: bo perły znaczą płacz, a drogie kamienie prorokują przygody; ale oczy jój świeciły jak gwiazdy. Starsze krewniaczki i kumki w różnych były *jupkach*, a chociaż gorąco wielkie dokuczowało, dla ceremonii ubrały się w lisy, a nawet w kuny. Chłopcy jedni krzyczeli *vivat*, a drudzy odpędzali żydków. Ksiądz Franciszkan miał *oracyę* i ślub dawał w kościele Panny Maryi. Panna młoda płakała, aż się zanosiła, co uważano za dobre; bo lepiej płakać przy ślubie, niż kawęczyć całe życie; zła to rzecz, jeśli panienka chychocze się przy ołtarzu. Wracających z taką *pompą* od ślubu, przywitali rodzice z chlebem i solą; w bochenku było 100 du-

katów nowiusieńkich, jak z igły. Matka zapytała się, czy świece na ołtarzu paliły się jasno, rozplakała się z radości, gdy wszyscy upewnili, że tak jasno jak gwiazdy. Stoły w 4 izbach, przy których sadzono po starszemu: byli tu radni i ławnicy, tudzież starsi *konfraternii* kupieckiej i t. p. Jadał moc; smakował wszystkim pyszny mącepan przez Chrystyana z Królewca zrobiony; ma on sklep na piwniej ulicy przy Zapiecku. Gospodarze radzi byli każdemu; rozweselał wszystkich żydek, który wyśpiewywał jak słowik. Po wieczerzy panowie udali się do pijatyki, panny do tańca, dopiero na świtanie zaczęli *poduszkowego* i *chmielowego*. Oczepiono Kasię i poprowadzono z czeredą do pana młodego, gdzie każdy złożył podarunki: puhary, szaty, sprzęty, baryły z winem i wszelakości do podziwu.”

Z tego opisu widać, że nasi mieszczanie dostatkami zbliżając się do możniejszej nawet szlachty, przesądami i rubaszością przytykali do gminu.

Pogrzeby.

Jakie były pogrzeby u Słowian i jakie zwyczaje dotąd zachowywały się u ludu, jakie przy chowaniu ciał wypełniano obrzędy, względem osób różnych stanów, jakie u różnych lub królów, następujące z różnych wieków zebrano szczegółoly, do wiadomości posłużą.

Zmarłego Słowianina opatrywano w odzież przystojną, w oręż, nóż, krzesiwo, i kładzono w popioły posażki bożków, lub monętę jaką się mieć zdarzyło; z tąd często

w urnach słowiańskich pieniąż jak i rzymski dostrzeżony bywa.

W grobach kobiet umieszczano igłę, nici, nożyce. Opłakiwano umarłych, wyliczano ich pochwały.

Palenie ciał i chowanie popiołów w garnkach, na zgłiszczach wspólnych, lub osobno, było używanem u Słowian; niektóre wszakże pokolenia grzebały zwłoki, jak w Kijowskiem i na Wołyniu. Koło Szremic i Nochowa w Wielkopolsce, koło Masłowa w Trzebnickim na Szląsku, w tak wielkiej ilości znajdowano garnki z popiołami zmarłych, że powstała bajka, w Długoszu przytoczona, jakoby je natura sama w ziemi tworzyła. Na mogiły zmarłych, pospolicie wśród lasów ciemnych, przechodnie rzucali kije i gałęzie. Samo nazwanie kościołów, u nas wskazuje, że pierwiastkowo były miejscem pogrzebów i od kości zapewne tak nazwane zostały. Okładali jeszcze Słowianie mogiły swe kamieniami lub *palisadą*. Były pokolenia Słowiańskie, u których stawiano urny na słupach przy rozstajnych drogach. Przynoszono i potrawy na grobowce. Duchy niepogrzebionych, błąkały się po lasach, towarzyszyły im puszczyki i sowy.

Gedymin w r. 1329, w czasie oblężenia twierdzy Fridburg, strzałą ognistą ugodzony, ducha wyzionął. Synowie Olgerd, Kejstut i Jawnut, rycerstwo i lud, z zwykłą na kształt śpiwu lamentacją prowadzili ciało, wyliczając dzielność i cnoty zmarłego, jak zwyczaj w Litwie. Przywiodłszy do Wilna, obywatele książęcy pogrzeb usposobili. Stos wielki smolnej sośniny, tam gdzie Wilejka do Wilii wpada, przygoto-

wano. Gdy wszyscy synowie zjechali się, ubrano zmarłego w szaty i odzież książęcą, które za żywota najwięcej lubił; dano mu szablę, włócznię i sajdak z łukiem, sokołów i chartów parę; konia z siodłem żywego i sługę najwierniejszego związano, z nim na stos położono, a z wielką żałością zgromadzonego rycerstwa drwa wokoło zapaliwszy, miotali na ogień pazury rysie i niedźwiedzie, a jak każe zwyczaj dawny, broń i część łupów nieprzyjacielskich i trzech niemieckich zbrojnych więźniów żywcem spalili. Popiół i kostki książęcia, sług, konia i chartów, zebrawszy w trumnę, zaszpuntowano i w ziemi na miejscu oném pochowano. Ten zwyczaj chowania z człowiekiem, ulubionego zwierzęcia, oręża, trunku, że był powszechny, i przez niższego rzędu osoby używany, dowodzi kamień z napisem dawnemi głoskami pod Nowogrodkiem w lesie, (należącym do Hrycianki, dóbr pojezuickich, a później Białopiotrowicza) odkryty.

Umierający tych częstował, z którymi się miał rozstać: piwem i miodem. Dostrzegamy i w Polsce ten obyczaj w otruciu stryjów Popiela. Dusburg naucza, że obmywszy zmarłego w łaźni, ubierano go w koszulę białą, sadzano na stołku i zdrowie jego spijano, mówiąc: „Ja do ciebie piję miły przyjacielu! i czemuś umarł? wszak masz swoją miłą oblubienicę, dziatki, bydło, przyjaciół, i wszelki dostatek.” Strykowski mówi na 148 str. „Pili obecni do zmarłego na dobranoc, kazali mu pozdrawiać krewnych na tamtym świecie, ludzko z niemi się obchodzić; ubierali ich w szaty, przypasywali im kord, lub siekiere, obwiązywali koło szyi

ręcznik, w który kładli kilka groszy, w grobie stawiali chleb z solą i konewkę piwa. Prowadząc zwłoki, wołali: *gejgejte, begajte, Pikole*; uciekajcie, biecicie precz djabli” i mówiąc to, orężem wywijali, albo nożem, ażeby złe duchy odstraszyć. W Inflanciech przy pogrzebie w trąby grając, śpiewano: „Idź nieboże z tego nędznego świata, pełnego ucisków rozmaitych, na świat lepszy, gdzie wesele wieczne, gdzie ani hardy Niemiec, ani drapieżny Lejsysz (zapewne Litwin) nie będzie mógł ciebie krzywdzić. Nie Germani tobie, lecz ty im rozkazywać będziesz; masz oto pokarm na drogę i oręż.”

W zaduszny dzień, albo w święto, idą na mogiłki w Kurlandyi i Prusiech, składają się na war piwa, a kobiety znoszą ryby pieczone i warzone, lub inne potrawy. W Litwie i na Żmudzi w czasie uczt podobnych kadzą mąką, zbożem, solą i kadzidłem, nucąc: „*a za wissumos priatelos musu.*” Rzucają każdej potrawy pod stół, zlewają nieco trunków, *powiada Łasicki*. Tamże jest obrząd Hgi na cześć zmarłych, 2 listopada przez Żmudzinów obchodzony. Ilu zaproszono umarłych do stołu i do łaźni, tyle próżnych stołków stawiano i koszul na nich; to święto nazywa się teraz *Dziady*. Podług Melecjusza, zmarłego męża, oplakuje żona przez dni 30 ciągle; krewni w dniu 3, 6, 9 i 40 sprawiają uczty, nie używając w nich nożów i siedząc w milczeniu. Po uczcie, zamiata ofiarnik izbę, wołając na duszyczki: „jadłyście, piłyście, teraz idźcie precz.” Wtenczas dopiero zaczyna się rozmowa i pijatyka.

W Litwie, na Żmudzi, tudzież u Prusaków, a w wielu

miejscach i w Polsce, trwa dotąd to mniemanie, że w dzień zaduszny, umarli, sami pod przewodnictwem zmarłych równie kapłanów, odpowiadają żałobne nabożeństwo. Każdemu i na tamym świecie stan jego ma być zachowany; dla tego to z książętą i panami, sługi służebnice, szaty, klejnoty, konie, charty, ogary, sokoły i inne ptaki myśliwskie, sajdaki i łuki, szable, włócznie, zbroje i wszystko, wczem się kochał nieboszczyk, rzucano w ogień. Przed sędziego Boga drapiąc się na górę przykrą skalistą, potrzebowali rysich lub niedźwiedzich pazurów.

W Zaniedstrzańskiej okolicy, po śmierci męża lub żony, uwiadamiają się krewni i sąsiedzi; umarłego ciało obmywają. Jeżeli gospodarz umrze, żona go ubiera w czapkę, białą koszulę, w *choloznie* i przepasuje. Gdy zmarłego męża w trumnie wynoszą, żona chwyta nowy garczek, rzuca o ziemię, tłucze, i tak daleko, jak się obejście rozciąga, owsem sieje. To garnka tłuczenie oznacza, że nędzne człowieka życie, jak ta glina, łącno podlega zniszczeniu, i tym jeszcze u gminu tłómaczone sposobem, że przedtém, mąż staraniem żony, miał pokarm z tych garnków, owies był jego chlebem; tracąc go, nie potrzebuje tego wszystkiego w domu, psuje i wyrzuca, chcąc, jakoby z głodu, przez żal za nim ginąć. Wszakże, jak umierający z gminu człowiek, z nadzwyczajną spokojnością świat opuszcza, podobnież u żon i krewnych, żal częstokroć na samych tylko obrzędach się kończy.

Na trumnie kładą dwa bochenki chleba, pierwszy zabiera kobieta wymiatająca izbę, drugi dostaje się kapłanowi. Gdy wyniosą trupa, kładzie żona w tém miejscu, gdzie le-

żała głowa, bochenek chleba. Przedtém wszyscy się chowali na cmentarzu przy cerkwi, chociażby najszcuplejszy był, i zasadzano tam jałowcowe drzewa, świerki i jarzębiny, które do ogromnej niekiedy przychodziły grubości. Dawni Słowianie groby swe wpośród lasów zakładać lubili; zapewne ztąd pochodzi ten obyczaj. Za naszych czasów rządy przenieść kazały cmentarze w pewne od wsi oddalenie. Nad każdym grobem rodzina stawia krzyże nie wielkie, aby tam w dni zaduszne osobliwie, i w rocznicę odprawiała modlitwy, żale swoje wynurzała.

Po odbytych pogrzebie, mąż lub żona sprawia objad dla kapłana i bractwa; dziewiątego dnia, odprawia się nabożeństwo, a co rok *anniuersarz*. Gdy męża umarłego pamiętka się obchodzi, niesie żona do cerkwi miskę, łyżkę i kieliszek. Przy obchodzie śmierci żony, albo innej kobiety, daje się kapłanowi *prymilka* czyli rańtuch; od mężczyzny zaś koszula.

W Krakowskiém i Sandomierskiém, w każdej wsi, jeden ze starych gospodarzy ma exortę przy pogrzebach, zwłaszcza gdy na *exportacyi* nie znajduje się ksiądz proboszcz. Kazania takie, wszystkich słuchaczów do łez rzewnych pobudzać zwykły. Mówca pospolicie dowodzi, że zmarły za życia nie zawinił nic takiego nikomu, coby mu przy zgonie darowaném być nie miało; a jeśliby kto miał jaką urazę, w imieniu jego, wszystkich znajomych, obecnych i nieobecnych przeprasza. Łatwo jest wnosić, że lubo w nieokrzesanych wyrazach, lecz uroczyście wyrzeczone prawdy z ust sąsiada, przyjaciela lub krewnego, dzielniejszy mieć mogą

wpływ na serca rolników, jak górna wymowa. Z *patryarchalnych* wieków pochodzić musi ten obyczaj, nam tylko właściwy; za granicą nie zdarza się o nim słyseć.

Widziałem podobny obrządek w Puławach. W okolicy Łowa, w obwodzie Gostyńskim, gdy brakuje mówcy, mężczyzny i kobiety, tę *religijną*, śmieie rzec można, powinność dopełniają. W innych miejscach, każdy niemal mówca, temi słowy kończy swoją przemowę: „teraz idźcie do domu, a pamiętajcie, nie oglądajcie się.” Słowa te są natchnieniem zabobonu, jakoby zmarły, za którym się kto ogląda, przychodził w nocy i straszyl.

Przejdźmy teraz do innych stanów. U mieszczan uboższych, albo w miasteczkach mniejszych, pogrzeby zbliżają się do pogrzebów u ludu; towarzyszą im wszakże bractwa, cech właściwy, częstokroć muzyka; u bogatszych okazałością i przepychem wyrównać pragną szlachcie. Dzieci pogrzebom, dziatki towarzyszyć zwykły, ażeby widziały, że je sprząta równie śmierć nieubłagana; ubrane w bieli, ustrojone w kwiaty: niewinności to godła. Podobnież chowaniu zwłok dziewicy, przytomne jój rówienniczki, a na trumnie wieniec, na drogę którą niesiono jój zwłoki, rzucano kwiaty, światło żałobne niemi strojono, i w grób kwiatom podobnej, równie prędko jak kwiaty niktającej, rzucano tę ostatnią dla niej ofiarę:

Miećcie kwiaty na grób ten, panny i młodzieńcy,
A jój szlachetne kości przyodziejcie wieńcy.

woła Jan Kochanowski w nagrobku dla swój Anny.

I wczasie pogrzebów prywatnych, osób znakomitszych, jak się zdaje podług opisów *Connora* Anglika, wydanych w 1696 r. w Londynie, nie tylko przy pogrzebach królów, zwykle postępowało trzech jeźdźców na koniach, z których jeden niósł miecz, drugi proporzec, a trzeci strzałę. Przy końcu nabożeństwa wbiegali ci jeźdźcy na koniach do kościoła, i o *katafalk* znaki niesione łamali. Naruszewicz w Tauryce, mówiąc o Germanach, powiada, że ten zwyczaj przodkowie nasi, będąc w pogaństwie, od nich przejęli.

Na pogrzeby prywatnych zsyłali królowie posłów. Na ich grobowcach zamieszczano proporce z herbami. Pełne są dawne pisma publiczne opisów przepychu i okazałości, na jakie się przesadzano, cześć zwłokom osób możnych oddając. Pogrzeb Józefa Poniatowskiego Hetm. W. Kor. Kasz. Krak. 1751 r. od 19 maja, odłożony do września, dla przygotowania, nastąpił w Stanisławowie; było 10 biskupów i sufraganów, 60 kanoników, 1275 księży łacińskich, 430 greckich; kanonikom przez 4 dni pogrzebu dawano po 5 dukatów, innym po 3 dukaty, przez 3 dni jeszcze po 1 dukacie; klasztory miały osobne donatywy, a księża, prócz opłaty, leguminy, wina, miody, piwa, wódkę, korzenie i inne potrawy w osobnych szopach pobierali. Stoły po refektarzach klasztornych były, a w zamku 12 stołów; na 1 obiad wychodziło 20 beczek wina węgierskiego, 11 burgundzkiego, szampańskiego i reńskiego, co trwało przez 5 dni. Ze 120 wielkich armat spiżowych dziedzicznych, przez 6 dni dawano ognia, i wyszło 4700 kamieni prochu.

Przejdźmy z kolei do pogrzebu królów naszych.

Kiedy ciało króla złożono na *katalfalku*, wjeżdza rycerz w zbroi cały na koniu, leci i kruszy berło o *katalfalk*, pięciu innych podobnie czyni z koroną, jabłkiem, mieczem, dzirydem i kopiją, wśród dział, trąb i cymbałów odgłosu.

Oto są niektóre opisy szczegółowe. Naruszewicz tak opisuje pogrzeb Kazimierza W. Cztery poczwórne wozy z końmi, suknem czarnem pokryte, 40 zbrojnych rycerzy na koniach przyodzianych suknem purpurowém, z których jedenastu niosło chorągwie księstw, dwunasty polską. Za niemi rycerz odziany w szaty królewskie na dzielnym stępaku, pod dywdykiem szkarłatnym, osobę Kazimierza wyobrażając; 600 ludzi z świecami po parze; każda świeca ważyła pół kamienia wosku; zakony duchowne, mary pełne materyi jedwabnych, złotogłowów i sukien, które na kościoły rozdzielone być miały; w kirze król z arcybiskupem, książętami i pierwszemi obywatelami. Wstępowano do kościołów, Ś. Franciszka, Panny Maryi i Ś. Trójcy, rozdając sztuki i postawy. Franciszkanom i Dominikanom dwie sztuk szkarłatu i złotogłowu, dwie sukna bruxelskiego różnych kolorów od 16 łokci dano. Przy mszach, prócz znacznej jałmużny w pieniądzach i świecach jarzących, gdy przyszło do ofiary, dwóch ludzi z wielkimi srebrnymi dzbankami, pełnemi groszy pragskich przystąpiło, wysypywali je na ołtarz, znowu je tąż monetą napełniając. Podskarbi szedł koło mar i ciskał po stronach pieniądze. Na wielkim ołtarzu, położono dwie sztuk jedwabnicy czerwonej, złotem przetykanéj, dwie przedniego sukna; komornik i podskarbi dwie nalewki srebrne z ręcznikiem i obrusem; stolnik z pod-

stolim cztery potężne srebrne półmiski; cześnik z podczaszym dzbany i kubki także; marszałek, czyli podkomorzy najlepszego z powodnych koni; podkoniuszy swego rycerza, na ulubionym królewskim rumaku wśród chorągwi siedzącego, ofiarował. Przy każdym ołtarzu były msze; wszędzie z dzbanów nabierano grosze srebrne na ofiarę. Gdy chorągwie starożytnym zwyczajem kruszono, taki płacz i lament powstał, jak gdyby z pogrzebem ukochanego króla, ojczyznę i polskie imię do tegoż grobu wniesiono.

Uczony W. A. Maciejowski tak nam kreśli opis pogrzebu Zygmunta Augusta: „Po odprawionój mszy żałobnej w kaplicy zamku tykocińskiego, dwudziestu czterech dworzan królewskich w kaptury ubranych, z lanemi świecami w ręku, których im udzielono ze skarbu, tudzież ubodzy w kaptach i ze świecami, wyprowadzili ciało. Wiozły je konie czarnem pokryte sukmem, na wozie także sukmem okrytym. Postępowała processya ze stu ubogich złożona, ze świecami zapalonemi w ręku, za nimi księża i kapelani królewscy, a za tymi p. Chorąży na koniu czarno ubranym. Za tym koń czarny postępował, unosząc na sobie herby królewskie; w około niego szli pieszo lokaje, za któremi dwoje pacholąt na koniach z szefelinami i rodelami (puklerzami). Następnie szedł wóz z królewskiem ciałem, po którym panowie radni następowali, z poczty swoimi. Przyjmowano ten konwoj uroczyście strzelaniem z dział i z ręcznej broni, w miejscach przez które przechodził, a gdzie się zatrzymał na noc, tam pilnowało je dwóch komorników królewskich, ośmiu drabantów, dwóch dworzan, dwóch jurgieltników. W War-

szawie okazałej przyjmowano ciało: tam bowiem wystąpiło dwustu ubogich i sześćdziesiąt dworzan ze świecami. Zamiast sukna, aksamitem czarnym przykryto wóz żałobny, i cechy wszystkie wystąpiły ze świecami, niosąc dziesięć mar złotogłowiem i aksamitem bogato ustrojonych. Wprowadzali ciało Biskupi i Opaci w ubiorze okazałym. Wchodząc do kościoła, ozdoby tronu niesiono przed ciałem, a postawiwszy obok niego chorągiew nadworną, śpiewano kondukt. Obok ciała stały i pieniądze na misach, które rozbrała lud ubogi jako jałmużnę. Po czterech kazaniach skończyło się nabożeństwo, a nastąpiło pilnowanie ciała w kościele.

„Do Krakowa gdy przybyło, czekali na ciało królewskie, u bramy floryańskiej, posłowie dworów zagranicznych, Biskupi i Opaci, tudzież cechy, mając trzydzieści mar złotogłowem pokrytych. Tamże stało koni trzydzieści, pod przykryciem jedwabnym, i chorągów ziemskich poczet wielki, we zbrojach czarnem pokrytych suknem, nakoniec ubodzy w kapach, i reszta processyi. Następnie uszykował się pochód cały szli, naprzód żacy szkolni, po nich duchowieństwo klasztorne i świeckie, ubodzy w kapach w liczbie sześciuset. Chorągowie ziemscy szli zaś podług starszeństwa. Zaczynały pochód młodsze ziemie, to jest niedawno z koroną połączone, kończyły go ziemie dawniejsze, a zakończyła chorągiew ziemi stołecznej. Pochód więc odbył się tym porządkiem: szła chorągiew zatorska, oświęcimska, chełmska, sanocka, halicka, przemyska, dobrzyńska, wieluńska, rawska, mazowiecka, płocka, bełska, lubelska, podolska,

lwowska, kujawska, łęczycka, sieradzka, kaliska, sandomierska, poznańska, krakowska. Za niemi chorągwie ziemlennych: pruska, pomorska, wołoska, inflantska i kurlandska, chorągiew nadworna wielkiego księstwa litewskiego i królestwa polskiego. Po chorągwiach prowadzono trzydzieści koni pod przykryciem jedwabnem, a jednego wiedziono pod czarnym aksamitem: za końmi prowadzono trzydzieści mar królewskich, po tych jechał mąż w kirysie na koniu czarno ubranym, niosąc miecz goły w ręce, obrócony ostrzem ku ziemi; za nim jechało pachole we zbroi całe, z tarczą, z drzewcem i proporcem ku ziemi; na którym stał z jednéj strony orzeł a z drugieję pogonia wymalowana. Za tymi jechał mąż w szacie królewskieję ubrany, a za tym panowie radni, ozdoby tronu niosąc, około których było sześciudziesiąt dworzan ze świecami zapalonymi. Nakoniec siostra królewska z fraucymerem, prowadzona przez posłów od zagranicznych dworów, a za nią rada miasta Krakowa postępowała. Gdy doszła processya do zamku krakowskiego, pomodliwszy się rozeszła się do domu. Nazajutrz był podobny obchód po mieście, z tą różnicą że ciała królewskiego już nie obwożono, ale tylko mary. Processya wstępowała do kościołów ś. Franciszka, do ś. Anny, do ś. Szczepana, ś. Troycy i powróciła do Zamku. W każdym z tych kościołów postawione były insze mary królewskie, u głowy ich i u nóg stały dwie misy pieniędzy dla rozebrania ich przez lud na ofiarę idący, resztę co zostało wysypali na ołtarz panowie radni stojący przy marach. Dnia trzeciego, w tymże porządku stanęli wszyscy na zamku króle-

wskim na nabożeństwo. We wszystkich kościołach bito we dzwony, aż do kazania przez księdza Biskupa odprawionego. Po kazaniu też same dzwony zaczęły dzwonić na nowo, po czém przytomni w kościele poszli na ofiarę. Podczas śpiewania *Pater noster*, mąż we zbroi wjechał do kościoła z drzewcem, a za nim Giermek. Wtedy to odbył się zwyczajny obrzęd, spadnienia z konia i łamania pieczęci.

Jest także godne uwagi ubranie pośmiertne ciała krolewskiego. Wtój mierze jeden tylko znam opis, podający szczególności zachowane przy włożeniu ciała króla Zygmunta Augusta do trumny. Podaję go z rękopisu ówczesnego, odmienny pisownię dawną. Ciało wszystko (powiedziano w tym opisie) obwiniono ceratą czyli płótnem woskowem, i włożono na nie koszulę flamandzką (z płótna flamandzkiego). Na koszulę giermak, na kształt rewerendy z adamaszku czerwonego; spinał suknię sznur złoty, opasując ciało. Na to wdziano albę z białej kitajki, a na tę dalmatykę złotogłową. Na wierzch tego wszystkiego ubioru włożono płaszcz z altembasu dobrego. Zawieszono u szyi łańcuch wartości dwóch set czerwonych złotych, przy którym wisiał krzyż dyamentami i rubinami osadzony. Na palce włożono dwa wielkie pierścienie, szmaragdowy i szafirowy. Ręce tak przystrojone, ozdobiono jeszcze jedwabnemi rękawiczkami, na które włożono blachownice żelazne. Nogi ubrano w buty złotogłowe, przy których były ostrogi pozłociste. Wisiał miecz u boku w srebrnej pochwie. Leżało obok ciała berło i jabłko. Głowa ubrana była w czapeczkę atlasu czerwonego, a na niej osadzono koronę. Trumnę wewnątrz obito

aksamitem czarnym. Na piersiach ciała umieszczono tabliczkę srebrną, pozłacaną, z napisem w języku łacińskim, wyrażającym co to był za człowiek którego ciało tak kosztownie ubrane pochowano.

„Żałobę po Zygmuncie I, podobnie opisał Bielski, jak ją niegdyś miał obchodzić naród; zgon Bolesława Chrobrego oplakując. Wnoszę stąd że od najdawniejszych czasów jednakowa była u nas żałoba po śmierci Monarchy. Powiada Bielski że przez cały rok żałobę noszono; że sromotą było i prostemu człeku, wyjść z domu bez czarnej sukni; że na pannach nie ujrzałeś ani wieńca, ani grania i muzyki; że biesiad ani tańców przez cały rok nie było. Podobnież oplakiwano i śmierć królowej: nawet na weselach nie grała muzyka: na ratuszu miejskim w Krakowie, ściany i stoły w izbach radnych czarnem były pokryte sukнем. Wszakże żałobę po królowej czyniono raczej z dobrej woli, bo z obowiązku, samego tylko snadź oplakiwano Monarchę. Po Granowskiej trzeciej żonie Władysława Jagiełły, nikt nie chodził w żałobie, jeno król sam, bo jęj nikt nie żałował. Noszono w czasie żałoby osobnego kroju suknie, które żałobnym ubiorem, tudzież żałobą nazywano. Odznaczały się suknie te, długimi kołnierzami i długimi rękawami. Na pogrzebie swego ojca, Zygmunt III król polski, królewiczowie i senatorowie, mieli kapy z sukna czarnego jak zakonnicy z kopicami na głowach, które się po trzy lub cztery łokcie włożyły po ziemi.

II.

POMIESZKANIA I DWORY PANÓW.

W pierwszych istnienia naszego wiekach, mówi uczony Łukasz Gołębiowski, polegając na świadectwie dziejopisów, nie możemy przypuszczać innych różnic pod względem pomieszkań, jak wiejskie chaty i zamki; pierwsze kmiotków bawiących się rolnictwem, drugie rycerstwa, możniejszych i królów samych były siedliskiem. Zaczęto wznosić miasta, i przybył niejako stan pośredni. Wojownicy lub mężowie stanu, otrzymywali posiadłości od monarchów, albo też wzbogacając się, nabywali je sami, a w chwili spoczynku, w podszlejszym wieku, lubili w nich przemieszkiwać, pierwój w bliższych stolicy, potem i w dalszych województwach: ztąd powstały wiejskie szlachty mieszkania, te zaś w miarę dostatków lub stopnia właścicieli, musiały być większe, okazalsze lub małe i skromne. Rząd krajowy i obyczaje zaszczyliły w Polakach gościnność i potrzebę życia obywatelskiego; samolubstwo, niedostępna skrytość i oddział że tak powiem od reszty świata, były im nieznanne; to sprawało potrzebę takich mieszkań, któreby nie tylko swych panów ale i większe czasem zjazdy, a zawsze kogoś przy-

bywającego swobodnie mieścili. Kraj nasz podlegał ze wszystkich stron, a mianowicie od Tatarów, napaści i spustoszeniom; ztąd konieczność miejsc obronnych, albo chwilowego poniekąd, w mniej kosztownych domach pobytu, których spalenia lub spustoszenia nie tyleby żałować przychodziło, i któreby łatwiej wznieść na nowo, albo do dawnego przywrócić stanu było można.

Kmiotków lepianek pozostały nam jeszcze starożytne wzory, w tych miejscach, gdzie dawnym i odwiecznym sposobem widzimy je stawiane, to ryte w ziemi, jak na Ukrainie, okna tylko i dach sterczą nad powierzchnią; to między dwa opłotki nalepioną gliną, wewnątrz i zewnątrz wymazane; to z krągłaków, gdzie większy lasów dostatek zbite, na mech kładzione, a kołeczkami nasterczone, oblepione i wybielone po wierzchu, miłszą i porządniejszą mające postać. Zawsze to jednak, technicznym wyrazem zwane, kurne chałupy, od dymu, kur po rusku. Wrzeciądź czyli łań u drzwi, zasuwka jedyném ich zamknięciem; sień, komora zimna, i ciepła jak łaźnia izba, całym jój podziałem. Nie ma tam okien, jeden tylko albo dwa bardzo szczupłe otwory, że przez nie głowę załédwie wystawić można, zasuwane deską, którą otwierają, gdy potrzeba światła, albo odezwać się do kogoś za domem wypada. Te otwory bywają w chałupach niektórych, opatrzone z smolnej sośniny, lub jedliny wystruganemi deszczułkami, przez które silniejszy jaskrawo przebija się promień, albo z zielonego szkła okrągłemi lub czworogrannemi, w ramę osadzonemi szybkami, zaparte. U Białorusinów kąt w wielkim poważaniu, u Litwinów

nie ma szczególnego względu na kąty; u nich próg czyli wnijscie do chaty, ma osobiwsze uszanowanie; drwa rąbać lub co nieczystego rozlać na progu wystrzegają się; albowiem ich amulety, czarodziejskie inkluzy, tudzież rzeczy Boskie, tam zakopywane były w dawnych czasach. Te są dwie cechy rozróżniające Rusinów od Litwinów. W izbie, piec, w przedniej części otwarty, służy do gotowania potraw; w tylniej, sklepiony z zasuwką do pieczenia chleba, a po zatkaniu do ogrzania izby; przy nim najulubieńsze siedzenie na ławie, kobiet, starców i dzieci, na nim ostatnich spoczynek i łoże, jeśli nie miękkie, ciepłe przynajmniej. Dym z pieca wybucha i rozsuwa się po całej izbie, w rzadszą od spodu, gęstsza od wierzchu kolumnę, wygryza oczy nienawykłym do niego i przypadkowo tam wchodzącym, czerni i pokostem żywicznym wewnątrz pociąga ściany, wypada zwierzchniem dachu otworem przez pułap, który zatykają szczelnie, gdy z resztą pozostałego dymu snadniej wysiedzieć można. Jeśli nie pali się w piecu, oświetają izbę łuczywem w długie wstęgi struganém, którego koniec jeden zapalwszy, drugi w szparę ściany wpychają, albo na przytykającym niemal do pieca, wiszącym kominie, utrzymują ogień. Kształt pomienionego kamina taki: Cylinder łubiany, nieco rozszerzony u spodu, końcem jednym aż na dach wychodzi, by dym wyprowadzał, u spodu na łańcuszkach lub prętach zawieszona kratka żelazna, na której ciągle przykładają się niewielkie drzazgi smolne; węgiel tworzący się i popiół opada na ziemię, czyli klepisko, stanowiące podłogę. Ławice w około, stół, a wkądzie coś nakształt łóżka czy tapcza-

na. W Litwie, przepierzenia czyli przepiętrowania izby w dzień do siedzenia i brania pokarmu, w nocy do speczynku licznej częstokroć rodziny przydatne, znajdują się. Szafa lub półki w niej, i na niej garki, miski rynki, łyżki, sól i chleb, osobno dzieża, miotła, ozóg, wiadro z wodą i kubkiem dla wszystkich wspólnym, na patyku osadzonym, konewka jedna i druga z przewiąsłem do ich noszenia, są sprzętem całym. Kolébka czyli niecki na sznurach zawieszona, służą do kołysania dzieci. Drzwi niskie, tak że się zginać potrzeba wchodząc i wychodząc, albo gdy się tego nie uważa, uderzyć o uszak głową. W komorze skrzynia, beczułka, łubianka, albo ze słomy kosz jaki pleciony z wiekiem, ruchomość kmiotków do ubioru świątecznego i bieliznę mieści, a na półkach, w solankach lub innych jakich naczyniach, zapasy jadalne. Sień, mianowicie zimą, a czasem i chałupa, mieści krom ludzi, więcej wygody potrzebującą krowę na ociełeniu, lub cielną, owcę, jagnię, świnkę z prosiętami lub wieprzka, gęsi, kaczki, psa i kota; poddasze zajmuje czujny kogut z swoją gromadką. Swietlicą nazywają chałupkę cokolwiek porządniejszą, nie dymną, z kominem wymurowanym, z oknami, wybieloną zewnątrz, czyli to z drzewa samego w kostkę, czy w mur pruski, pizę, albo glinę ze słomą, plewą lub szpilkami sosnowemi, czy z cegły surowej lub wypalonej postawioną. Pierwszych budowli są jeszcze gdzie niegdzie ślady w zapadlejszych stronach, drugie i pod sznur stawiane domy rolnicze, przecież coraz częściej widzieć się dają. Dom kowala, mielnika, or-

ganisty, proboszcza, ekonoma, zawsze się odznacza tém, że większy, porządniejszy, bardziej wygodny i lepij ubrany.

Mieszczan domki po mniejszych miasteczkach, albo tém się tylko różnią od chłopskich świetlic, że nie słomą ale dranicami lub gontami pokryte i drugi przydany im pokój, albo więcj się zbliżają do szlacheckich dworków. Żydowskie, czy na wsi czy w mieście, zwykle zajezdne domy, rzadko gdzie murowane i okazalsze, pospolicie drewniane, jak dawniej o dwóch zawsze izbach, z których pierwsza ogromna, gościnną była, druga już gospodarską tylko: po większych miastach celniejsze domy idą w równi z szlacheckimi budowlami.

Małj szlachty mieszkania, snopkami częstokroć poszywane, wcale się nie różniły od chłopskich chałup. Przed szlacheckim dworkiem atoli, musiały być koniecznie wrota wysokie, choć podwórze całe chróścianym płotem ogrodzone było. Nadto, szlachcica dworek miał dwie izby po rogach, a sień we środku; gdy przeciwnie, u chałupy, w Mazurach osobliwie, sień z czoła, za nią izba, w tyle komora. W województwach wielkopolskich, porządniejsze mają dworki, chłopi, sołtysi, holendrzy, aniżeli drobna szlachta mazowiecka.

Pomniejszych panów i szlachty majątnj dwory, najwięcej bywały drewniane we dwa piętra i w jedno, budowane w prosty czworogram, jak stodoły i szopy, rzadko kiedy ozdobniejsze. Jeżeli był gmach wielki, czy to murowany, czy drewniany i miał wedle siebie oficyny, pałacem się nazywał: jeżeli nie miał, a do tego pomiernj był wielkości,

zwał się dworem albo dworkiem, stósownie do swój rozległości; jeżeli murowany był, a do tego wystawiony na kopcu jakim i wodą oblany, lub fossami i wałami obwiedziony, nabywał imienia zamku.

Za Kazimierza W. dopiero zaczęli Polacy nabierać upodobania w murowanych gmachach. (Nar. t. 6) Kościelecki, pałac królewski czyli zamek w Krakowie z takim przepychem ozdobił, że cudzoziemcy nad nim się zastanawiali. (Pam. Niem. t. 4). Wielu zamków piękne budowy przypisują królowej Bonie, i jój nazywano mieszkaniem. Domy Polaków wsobie mieszczą specyałów gwałt, pisze Marya Kazimiera, t. j. obrazy, fraszki chińskie, porcelany. Za Augustów mianowicie drugiego, przejeśliśmy gust do budowy okazalszych mieszkań i gmachów.

Gmachy stawiano w dawnych czasach gruntowne, mocne, bezpieczne, nie szcędzono doboru materyałów, w drzewie, wapnie i cegle.

Powiedzmy jeszcze o pomieszkaniach możniejszych osób. Pałace pańskie, do dziś dnia jeszcze dające się widzieć, tu i owdzie, od pradziadów pomurowane, służyły wnukom i prawnukom z małą naprawą, zachowując kształt, w jakim przed wieki były stawiane. Nie widać było długo żadnej ruiny starych pałaców, i wywracania ich, a stawiania nowych. Te gmachy, jakie kto po swym ojcu w spadku otrzymał, i dla syna dostatecznym były mieszkaniem; nie znano jeszcze zbytków, ani szczególniejszych potrzebowano wygod. Pałace i zamki murowane, składały się pospolicie z dwóch

piętr, a rzadko gdzie ze trzech. Dopiero od połowy panowania Augusta III, gdy weszło w modę, synów pańskich i majątnęj szlachty, prosto ze szkół wysyłać za granicę dla nabycia poloru i dobrego smaku, powstał wstępną w kraju całym, do starodawnych struktur. Skoro panicz po śmierci ojca został majątności panem, najpierwszém jego przedsięwzięciem było, przerobić na nowy fason, albo i całkiem rozwalić odebrany po pradziadach pałac, zamek, dwór, a nowy kształtniejszy postawić. Odtąd zageęścili się po całym kraju fabryki pałaców murowanych, w kształcie i ozdobach z zagranicznymi walczących.

To wyjaśnia różnicę trwałości i mocy, dawnych i nowych budowli; pierwsze albowiem z taką rozważą, wytrwałością i dobozem wszystkiego stawiane; drugie częstokroć płocho, spieszenie, używając wszystkiego, co pod rękę wpadnie, albo co tańsze, pozornęj szukając oszczędności. Można się dziwić, że wkrótce nowe te gmachy przemieniają się w gruzy, kiedy dawne, wieki przetrwały i jeszcze by wieki przetrwać mogły? Nad ich skruszeniem więcj się mozolił dziedzie nowy, jak nad wystawieniem kletki świeżej.

Jeśli drewniane były domy, to dla trwałości dobierano modrzewiu; podwaliny były mocne, drzewo suche, wiązanie krzepkie i dach wysoki, czasem piętrzysty, z wielu w nim okienkami, zwykle gontami pokryty. Pałac, w nim kaplica, albo osobna, w pobliskości officyna kuchenna z mieszkaniem dla marszałka i kuchmistrza, i wszelkiemi dla nięj przynależącemi z tyłu zabudowaniami, officyna ogrodowa albo gościnną, częstokroć dwa jeszcze dalsze pawilony,

skarbiec albo lamus nieco na ustroniu, archiwum, na przeciwko lub opodal kurdegarda, przy niej turma czyli koza, stajnie, wozownie, masztalernie i dla sług mieszkania, kuźnia, miejsce gdzie pracują stolarze, siodlarze, malarze i inni rzemieślnicy, gdzie się uczy muzyka; w pewnym oddaleniu nad fossą przewety, brama okazała z górką i balkonami dla kapeli. Przy bramie furta do przechodzenia, gdy brama zamknięta; w niej krata, by po niej było postępować nie śmiało i most na arkadzie, albo zwodzony, jeśli zamek fossa otacza wokoło; sztachety, oparkanie; te były zwykle budowy. Na środku ogromnego dziedzińca, kompas lub sadzawka, z fontanną we środku, latarnie, słup z kółkiem, żelaznym, mosiężnym i srebrnym do przywiązywania koni, w miarę godności posłańca przybywającego z listami i dzwonek zwojujący na odebranie piwa, na obiady, wieczerze, znajdowały się koniecznie. Pałac sam, czyli to dół stanowił go jedynie, czyli miał jeszcze i gadę t. j. piętro, a czasem nawet i pół piętrze, ozdobiony był facyatą ustrojoną w herby i cyfry właściciela i właścicielki. Wystawa, front albo fronton wsparty na filarach, spoczywających na swój podstawie; później miejsce ich zajęły kolumny i główny portyk. Kramzaus czyli gzéms, krasień drzwi, w około domu szły gzymy, tudzież glify czyli węgły mularskie, okap rynnymi upewniony, ostrów czyli słup napełniony kolcami drewnianymi, do włożenia na dach służył. Starożytne domy, zewnątrz szczególną miały budowę; wieżyczki u możnych, z zegarem czyli godzinnikiem, narożniki, zwykle panieńskie mieszkanie, na wierzchu banie złociste, powietrzniki

blaszane, któremi były żurawie, kogutki, murzyny: od środka czasem szedł ambit czyli krużganek; po rogach były baryery, czyli ganki; koło wjazdu balasy, niekiedy łańcuchy u kamiennych zawieszono słupów, na wierzchu balustrady, balkony. W koło pałacu, albo od niego do główniejszych oficyn, chodniki czyli korytarze, z jednej strony otwarte, po wierzchu galerye.

Co do ozdób przydatkowych, że tak powiem: w dawnych wiekach, zbroja na ścianie jodłowej, jedyną i dostateczną bywała; gdy zbytek zaczął się wkradać, wysokie ściany zdobił kobierzec w Czarogrodzie dziany. Ten izby swe szumnie objął i potrzeby (bitwy) na ścianach malował; ów allegoryczne obrazy żywota ludzkiego, cnot i występków przedstawiał; inny, dom kazał malować zwierzyńcami i myśliwskimi gonitwami, lub stroił go w arabeski. Częściej wszakże spotykać było można rzędem w sali namalowanych, wszystkich Królów polskich; po refektarzach lub krużgankach, czyli korytarzach klasztornych, świętych zakonu, papieżów, biskupów; po domach szlacheckich familijne galerye. Tu szczerym złotogłowem, axamitem, adamaszkiem, atlasem obite były ściany, tu jaśniały makaty, opony, szpalerowe obicia, czyli gobeliny, wyobrażające przedmioty z historii świętej, lub inne jakie i w świetnych farbach naśladowujące zwodniczo malarski pędzel; owdzie szły bryty z materyi i włóczkowej roboty w kostkę, albo i całkiem haftowane obicia i meble.

Aż do końca panowania Sobieskiego, wyjąwszy bogaczów domy, kilka stołków drewnianych, dwie deski pokryte sien-

nikami, jedynym były sprzętem osób mierniejszego stanu, i dość majątnych nawet. Był zwyczaj w upały chłód czynić, posypując wierzbiną, grzybieniem, różą, jedliną siekaną, ajerem czyli tatarskiem zielem, pokrapiać dom octem, kadzić lebiodką, miętą, kadzidłem, jałowcem, lub mirrą, żywicą, omanem od komarów, później skórkami od jabłek, cukrem, bursztynem, różkami sybirskimi i innymi wonnościami.

Stopniowo wzmagaly się zbytki, a za nimi wykwinność i naśladownictwo obcej mody. Sprzęty starożytne i mocne, zamieniono na lekkie meble i świecidła.

Apteczka, najdawniejszych to czasów zabytek, ugruntowany na tém, że właściciel był ojcem rodziny, domowników i kmiotków swoich, czuwał nad ich potrzebami i zdrowiem. Wszakże ta część gospodarstwa domowego, była udziałem kobiet, pani krewnych, lub córek, albo poważnej ochmistrzyni. Lekarzy nie było, nie każde ich miejsce wreszcie posiadać mogło i może, a po ratunek udawano się do dworu: trzeba więc było mieć wielkie zapasy. Nadto, znana jest gościnność Polaków i potrzeba przyjmowania tylu osób; to przybywających trafunkowo, to umyślnie, częściowo, lub gromadnie w pewnych dniach, a zatem należało i do tego usposobić się, ażeby w chwili stanowczej nie brakowało niczego. Ztąd apteczki dwa rodzaje uważać należy: dla zdrowia i wygody lub przyjemności, czyli jako lekarstwa; drugie jako przysmaki.

Co do pierwszego: gospodyni mając Syreniusza, Marcina z Urzędowa lub inny zielnik, przewartowawszy go nieraz,

umiejąc go prawie na pamięć, a gdzie go nie było, z przepisów lub i z głowy bieglejsza, od wiosny aż do późnej jesieni, to na alembiku pędziła wody, wódki, smażyła sadła, zbierała tłustości, robiła dryakwie, octy, suszyła kwiaty, liście, owoce, korzenie. Z królestwa zwierzęcego, bywały wody i wódki z piesków młodych, zajączków, królików, bocianów i t. d. w alembik włożonych i wodą lub wódką nalaných; z roślin, od wonnej konwalii zacząwszy i róży aż do blawatków, dzięglu, ruty, piołunu, ile ich tylko znać która mogła, lub wyczytać, albo zasłyszeć od kogo. Nie zapomniano tu wody marcowej, z śniegu stopionej, pleć piękną utrzymującej, lub chroniącej od piegów, pierwszej wody deszczowej, albo wczasie grzmotów i piorunów zebranej. Sadła i tłustości, poczynając od ludzkiego, były psie, ze świń, gęsi, niedzwiedzi, borsuków, zajęcy, wilków i lisów. Dryakwie z wszelkich gadów: żab, węży, jaszczurek, śmielsze robiły w domu, albo sprowadzano weneckie. Octy, nade wszystko malinowe, konwaliowe, fiołkowe, porzeczkowe, berberysowe i t. p. być musiały koniecznie i zioła wszelkiego rodzaju: to całkowicie suszone, to części ich jakie, którym jedynie przyznawano skutek. Dziewczęta dworskie i z gromady, za nagrodą lub z rozkazu, oraz myśliwi, dostarczali wszystkiego.

Do apteczki przyjemnej i dla wygody tylko, należały wódki zaprawne, słodkie lub gorzkie, likwory, konfitury, soki, powidła, serki, pierniczki, makaroniki, owoce suszone, marynowane, wszelkie marynaty, wszelkie wety, lub co przekąską zwano, gomółki, krajanki i t. p. Jakiejże to biegłości

potrzeba było, ażeby to wszystko umieć, wszystko zrobić, wszystkiemu podolać? Matka uczyła córki, uczono się z książek, od sąsiadek; już umiejąca szła dopiero za mąż, przyzywała wręście zdolną osobę, ceniąc ją i nagradzając. Sklep pod kaplicą zaledwie mógł objąć te wszystkie zapasy, jak najlepiej uporządkowane, poznaczone, w butlach, słojach, workach, woreczkach, na mnogich pułkach, albo całe od wierzchu do spodu okrywając ściany. U mniej zamownych, nie tak liczne mających włości, szafka jedna lub dwie mieściły wszystko. Czy każda rzecz z tych leków pomagała zawsze, nie do nas należy śledzić; wszakże troskliwość ta o zdrowie poddanych i domowników, zaszczyt przynosiła sercu.

III.

BIESIADY I RODZAJE POŻYWIEŃIA.

Zbyteczną byłoby rzeczą, wyklądać, jakie zmiany, czas i wykształcenie zrządziły w trybie życia naszego narodu. Dotrwała w nas skłonność do biesiad stołowych, dochodząca aż do przebrania miary w użyciu jadła i napoju. Lecz ta wada naszego narodu, graniczy tak blisko z gościnnością i hojnością i z niej wypływa, a chociaż ubolewamy nad nią, przecież nie chcielibyśmy jęj zamienić za oziębłość i skąpstwo ludów germańskich.

Zbierzemy w krótkości, najbardziej używane potrawy w dawniejszych czasach.

Zupy: Barszcz, krupnik, rosół, kapuśniak, prawdziwie polskie to zupy. Pierwszy z rurą, mięsem wołowém i wieprzowém, słoninką, kiełbasą, kurą, naturalny lub zabieleny. Z szczawiu zupa kwaśna, podobnie z zająca, krwi gęsięj, wieprzowęj z słoninką w kostki, miszkulancya, zupa słodka, po klasztorach zwłaszcza dawana, z różnych jarzyn i mięsiwa, kur, kaczek dzikich, śmietaną zaprawna. Grochówka czyli zupa z grochu, z grzaneckami w kostkę i słoninką wędzoną. Chłodziec litewski, z boćwiny przegotowanęj

w kwasie, usiekanéj, zaprawnéj śmietaną. Famuła: środki chleba miałko utarte w wodzie warzyć i przebić, do tego jabłek lub gruszek przydać, soli i masła, będzie potrawa, którą famułą przodkowie nasi zwali. Wiśnianka, śliwianka: ugotowane owoce przetarte i zaprawne śmietaną; podobnymże sposobem zupa z pomidorów, zacierka z mąki, zupa z ryb od kozaków przejęta, uchą u nich zwana. Gdy nastąpiła kuchnia francuzka, zjawiły się dopiero, bulliony, zupy rumiane, białe, rosółki delikatne, menestra i rosół włoski, węgierski i t. p.

Potrawy mięsne: Po zupie następowała zwykle kielbasa, po tém sztuka mięsa wołowego w wodzie z pietruszką i solą gotowana, świeża albo z solonego mięsa czyli pekeflejszu, do chrzanu z octem lub śmietaną, ćwikły, ogórków, musztardy, sosu z cebuli, czosnku, fasoli, kartofli. Wszakże nie z samego tylko wołu bywała sztuka mięsa; po większych zwłaszcza domach i przy większém zebraniu, użyty na to bawół, tur, żubr i łoś; zwierzyna ta jednak dwie niedziel i więcej czasem potrzebowała, dopóki nie skruszeje. Wołu dobierano w najpiękniejszych gatunkach: wołoskich, młotańskich, podolskich, zastanawiających wielkością, karmionych na suchéj paszy, ukraińskich wołów, których dorodne plemię zaprowadził nam Stefan Batory, przeniosłszy je z Węgier i Siedmiogrodu. Brażne, czyli w browarach na braże karmione woły odrzucano, a przynajmniej nietyle ceniiono, że mięso ich czarne, za nadto bywało tłuste, nie tak jędrne; jałowicze zaś zbyt suche. Nie obszedł się po wielu domach obiad bez wendzonki wołowej, a w Wielkopolsce

baranięj i wieprzowęj, bez półgęsków, szynki czyli szoldry wieprzowęj, kopia albo łopatki wędzonej, solonęj. Musiał być równie bigos hultajski z kapustą, schabem, słoninką, kielbasą i pieczenią wołową, w zraziki pokrajaną, ulubiona polska potrawa. Za przysmak poczytywano wedle *Connora* kóz karpackich ogonki, łapy niedzwiedzia, chrapy łosia.

Pieczyste: pieczeń bywała wołowa, huzarska duszona, cieleca z nerką, barania z czosnkiem lub majeranem, z kociołką, wieprzowiny; z łosia, którego zwano magna bestia, potężna pieczeń; albo z jelenia, daniela, sarny, dzika; zajace, kroliki, prosięta, a z ptastwa prócz drobiu, gęsi dzikie, głuszcze, dropie, cietrzewie, pardwy na Rusi, wielkości gołębia kształtu zaś kuropatwy; kaczki dzikie, ceranki mianowicie, jarzabki, kuropatwy, przepiórki, słomki, bekasy, kuliki, chruściele, kwiczoły, jemioluchy, synogarlice, turkawki, przedtem krukawki zwane i jednostajne w swém odżywianiu się kukułki; niemniej czyże, krzywonosy, czeczotki, grabołuśki, śnieguły, pokrzywki, szczubiałeczki, drozdy, kosy, szpaki młode, i mile wiosnę zwiastujące skowronki, wszelkie drobne ptaszki, równie jak możnych tylko stoły zdobiące bażanty.

Potrawy z ryb: ryb w dniu postne spostrzegać się dawały następujące gatunki: sum, jesiotr, wizina, bolenie albo rapy; głowacze, certy suche i świeże, czeczugi do rodzaju łosiosia należące, flądry, sielawy, minogi i na wzór ich urządzone piskorze; sztokfisz, u kapucynów najlepiej gotowany; łosiosie gdy wielkie, zwane krukami; łosiosiostrągi, karpiołészczce, łokietnice, szczupaki, dzielone jak inne większe ry-

by na główne, podgłówne, misowe, półmiskowe, drobniejsze czyli zawiązki, warunki; sandacze, węgorze, miętuzy: których wątróbki bardziej od szczupakowych cenione. Krakowska mieszcza dostatnia przejadła fortunę na takowych łakociach i przysmaczkach. Okunie, leszcze, jazie, czyli jelce, karasie, liny, krąpie, płatarze, klenie, jazgarki, okleje, kiełbie, ślizie, płotki, brzany, perki, płatajki, obłączki, porsz, pomuch, amernice, świnki i kozy.

Leguminy: Leguminy czyli potrawy mączne lub z kaszy znano, następujące: kasza pszenna, żytnia nową zwaną, z zielonkawego czyli świdowatego ziarna, jęczmienna, zwykła i perłowa, jak dawniej gradowa, owsiana, hreczana, albo tatarczana, obwarzana, pospolita czyli grubsza, i drobna, jaglana z żółtego lub czarnego prosa, to jest brunatna, jajeczna, z manny, kartoflana. Kasza radomska i krakowska, najwięcej u nas była poszukiwana, taką sobie Anna Jagielonka do Warszawy przysyłać kazała.

Jarzyiny, owoce: ogrodowiny, jarzyny i warzywa, taki nam stawia szereg. Za czasów Zygmunta III już znane: pietruszka, kwaśna i słodka kapusta, cebula, czosnek, buraki, prosta i niemiecka rzepa, marchew, pasternak, groch, szczaw i szpinak. Zjawiły się w Polsce kartofle za Augusta III w ekonomicach królewskich, saskimi rolnikami osadzonych, którzy je z sobą przynieśli. Długo Polacy brzydzili się nimi, za szkodliwe je poczytywali zdrowiu, wmawiali to w pospólstwo księża nawet.

Sztuka wyrabiania ciast była jeszcze na bardzo niskiej

stopie, aż do epoki Augusta III i dla tego toruńskie pierniki i marcepany gdańskie, bardzo były w użyciu.

I możniejsi starali się niekiedy, ażeby uczta ich była zupełnie polska. W książce dawniej: „Skarb albo skarbiec rozmaitych sekretów” opisany jest bankiet prawdziwie polski, w osnowie następujący: „Za króla polskiego Władysława IV gdy kanclerz W. koronny Ossoliński po domowemu bankietował, wiedząc iż królestwo polskie z łaski boskiej ma obfitość i dostatek, tak dalece, że może się w bankietach polskich bez wszelkich drogich zapraw i kandymentów cudzoziemskich obejść, na pewny dowód i dokument, ten sławny i zacny senator, pokazał tego sposób i podał manierę. Umyślnie na to znacznych wiele panów i tak wiele posłów cudzoziemskich na ten czas będących, na taki zaprosiwszy bankiet, na którym tak wszystkich uraczył, utraktował, że nietylko z ukontentowaniem, ale też podziwieniem było pomienionych gości. Zastawiano pańsko i gęsto stoły okryto swojską, domową i dziką zwierzyną, ziemną, powietrzną i wodną, na tak wiele razy dawania: rosołami, pieczystymi, duszonemi, suszonemi, z rozmaitemi inwencyami potrawy, z saporami, pasztetami, ciastami, które zaprawiano zamiast szafranu, przedniemi krokosami; do podlewy soku wiśniowego zażywano: zamiast migdałów i pinołów, orzechami różnemi łupionemi zasypywano, na miejsce rozenków suchemi wiśniami i inszemi fruktami, z przednim miodem zamiast cukru przysmażanemi, zaś zamiast cytryn, cedrów, limanii, jabłka przednie w talarki i kostki krajano, bez kanaru miodami potoczniemi słodzono: zamiast pieprzu i imbiru, chrza-

nu, gorczycy i musztardy dodawano; zamiast oliwek i kaparów, grzybami suchymi, siekanemi i świeżemi okrywano, zamiast winnego octu, miodowego zażywano i innymi tym podobnemi, swojskimi bogato i do smaku przyprawiano kondymentami, jako lepiej być nie mogło. Co się zaś tyczy napojów, były piwa różne z różnych miejsc, przednie, wystałe i smakowite, jakie kto tylko chciał mieć do swego smaku: były wareckie, łowickie, końskowolskie, drzewieckie, brzezińskie, odrzywolskie i gielniowskie; miody także i lipce z różnych miejsc przednie, zamiast włoskiego wina; malinniki smakowite, były i wina polskie do jedzenia i picia z sandomierskich winnic, białe i czerwone. Wety potem stawiano z różnemi domowemi specyałami, inwencyą i rozrządzeniem, co tylko w tym się rodzi i znajduje kraju: zgoła było dobrze udatnie i poważnie.

Czacki Tadeusz lubił równie dawać obiady, wieczerze, podwieczorki, złożone z potraw i napojów podług niego ulubionych Jadwidze, Annie Jagiellonce i z tym podobnych ojezystych przysmaków.

Śniadania, podwieczorki, wieczerze. Z rana zaraz używane było grzane piwo z cukrem, z jajami lub imbirém, potem nastala kawa. Śniadanie stanowił bigos hultajski, zrazy, kielbasa, rzodkiew, masło, szynka, salcesony, ozory; kosztowniejsze zaś mnóstwo konfitur, cukrów i wina. Antypast zwano przysmaczek jaki przed samym obiadem dawany, a wszelkie łakocie papinką. Podwieczorek, składały frukta, ciasta, śmietana, kurczęta z sałatą. W Łobzowie podwieczorek był z owoców i konfektów. *Pamiętniki Caeta-*

niego 1596 roku. Kolacya od znoszonych wspólnie potraw na wieczerzę, u Łacinników tak zwana, była z samych tylko lekkich rzeczy: kotletów, kaszki, kurcząt, sałat, lub przysmaczków jakich; za jeden z takowych przysmaczków, poczytywano, kuropatwie nóżki nad świecą woskową w samych paluszkach przypiekane. Cała więc umiejętność kucharska wysilała się na obiady, gdzie najpożywniejsze i najwytworniejsze razem potrawy były użyte. Nie szczędził wtenczas pracy swój, nie szczędził z pańskiego kosztu dobry kucharz i pomniał: „że lepszy talar szkody, niż za półgroszka wstydu.”

Cukry Znajdował Beauplan, że cukry nasze nie tak były dobre jak francuzkie. Najokazalsze stały we środku z cukru lodowatego misternie robione: baszty, cyfry, herby, domy lub inne budowy. Im okazalsza była biesiada, tém wspanialsze były te massy cukrowe, stały one na taffi szklanej lub drewnianej, wyobrażały galeryę, szpaler ogrodowy, ulicę miejską, Parnas, Olimp.

Przedzielone były we środku serwisem srebrnym, zakończone małemi serwisikami i nie psuło to symetrii, pomnażało i owszem piękność widoku. W owych wiekach, złotnik robiący serwisy, cukiernik i kucharz nawet, w wysileniu swój sztuki, musiał być w utworach swych poetą, malarzem, heraldykiem, dziejopisem: ostatni przecież szczęśliwsi od pierwszego, że kiedy wyrabiający srebro jeden tylko mógł pochwycić przedmiot, oni do każdej zastosować się mogli okoliczności. Dawał im rady, myśli dostarczał marszałek, sekretarz, kapelan, guwerner, panicz ze szkół świeżo przybyły, córka domu, właściciel lub właścicielka, i w miarę ich

usposobienia, wyobrażeń ducha wieku, te przedstawienia sceniczne, że tak powiem, były trafne lub niezręczne. Przyjmowano-li monarchę w obywatelskim domu, hetmana, kanclerza? Cukry i potrawy ubrano w oznaki ich dostojęństw, świetniejsze ich czyny znajdowałaś wyobrażone, słupy zwyciężkie i bramy tryumfalne. Raczone kogo z wyższego rzędu duchowieństwa; wtenczas infuły, krzyże, pasterskie laski i same pobożne wizerunki jaśniały. Gdy częstowano upojonego rodowitością, więc herby i antenatów jego pochlebne godła, były w rzędzie. Kiedy ślubna uczta wszystko miłością zdawało się oddychać; jeśli pogrzebowa stypa, wszystko posepnością i zmarłego czynów uwielbieniem. Przybył poseł od Porty: na wyprawionój dla niego uczcie, zdziwiony ujrzał cały widok Stambułu i monarchę swego, wśród otaczającego go dworu. Tafle wysypane były piaskiem cukrowym różnego koloru, najczęściej zielonym, jako weselszym, kolorem nadziei; brzegi obwiedzione kratką z cukru, papieru białego lub złotego, w różne desenie ciętego i z zagranicy sprowadzonego, którego funt w sklepach korzennych po kilkanaście złotych przedawano: bo jeszcze wtenczas form do wybijania ich w kraju nieznano.

Kuchmistrze, kucharze. Przekonywają nas te opisy, że kucharska sztuka trudną była rzeczą, wielkiego poświęcenia się wymagała, nauki i długiego czasu, nim kto w niej udoskonalić się zdołał. Przechodzić trzeba koniecznie było stopnie, kuchcika, potem kucharza do potraw gotowanych, do pieczystego, pasztetnika, cukiernika, aniżeli kto kuchmistrem godzien był zostać. Pokąd była w dzieciństwie ta

sztuka, pokąd nie taka była wyszukaność, jeden kucharz z pomocnikami do wszystkiego wystarczał, i brał u wielkich panów po 300 tynfów, albo 300 złotych na rok, później 5, 6 i 8 czerwonych złotych na miesiąc. Dawniej był jeden, a następnie osobny do warzonych potraw i ten droższy, oddzielny do pieczystego, ten sam lub inny pasztetnikiem zwany, powinien był ciasta i leguminy wydawać; piekarz codziennie piekł świeże chleby żytnie, a później i bułki. Zjawili się kucharze cudzoziemcy, francuzkie mont-kochy, czyli górni kucharze. W oszczędniejszych domach, swego chłopaka przyuczonego cokolwiek do francuzkich potraw, nazwano Francuzem; lecz prawdziwi cudzoziemcy nie brali mniej jak po 12 dukatów miesięcznie, a częstokroć i drożej, godzili się do sześciu potraw codziennych dla samego tylko państwa i do wytworniejszych stołów; gdy państwa nie było w domu, ani zajrzeli do kuchni.

Kredens. Przejdźmy do kredensu i sposobu zastawiania stołów, do obyczajów i zwyczajów w czasie biesiad.

W sali jadalnej widywano przedtem zbiory sreber starożytnych, w piramidy na schodkach aż pod sufit ułożone. Kredens w końcu sali miał ogromny stół, uginający się pod ciężarem sreber; płótno którym był okryty, ćwieczkami w koło obite. Szafy kredensowe podobnie płótnem czerwonym, zielonem, lub pomarańczowem były okrywane; jak gdyby frankami jakimi. Stały w szafach lub na stole stosy wysokie mis, talerzy płytkich i głębokich półmisków.

Do kredensu miał tylko przystęp sam kredencarz i ci

którzy mu pomagają, zmywający i obcierający naczynia. Nikomu innemu wniknąć tam nie było wolno. Co potrzebném było, usługujący do stołu odbierali i podawali. Teraz kredens osobno jest przy jadalnym pokoju.

W dawniejszych czasach sprzęt wszelki stołowy był z kruszczu: u miernych stanów z cyny prostéj, gdańskiej, czyli angielskiej, u możniejszych ze srebra, u królów ze złota. Wyobrazenie jakiegokolwiek dawnych kredensów, da nam inwentarz sprzętów Aleksandra Jagiellończyka, przy testamencie tego króla pozostały, i kwit Anny królowny później małżonki Batorego, dany Fogelfedrowi po śmierci Zygmunta Augusta, na zabrane od niego rejestra wszelkich rzeczy monarchicznych. W pierwszym wyliczono 12 czarek, 2 miednice, jedna mniejsza z nalewką, 6 mis, 9 z herbem litewskim, 2 flasze srebrne z łańcuchami, 12 kubków, noga pod szklanę, przystawka srebrna: w drugim wspomniane kubki z wiekami, dwoiste norymberskiej roboty, punktowane, wybijane, szczerozłote, rzędowe nie rzędowe, czarki, kufle, kanwie, flasze, srebro białe miejscami pozłociste, salserki z wieczkami, trybowane z szmelcem, bez szmelcu, gładkie, wzorzyste, miednice i nalewki pozłociste, kredens z kośćciami, srebro śniadalne, także lichterze, kryształowe fontanny, zegary, snać do ozdoby stołu używane. Wanny w kredensie, cebrzyki stoły nawet, u Radziwiłłów i innych bywały ze srebra. Podczaszy, albo piwniczny miał osobną zagrodę, lub w teje się mieścił, u niego rozstawione były konwie do piwa, flasze srebrne, cynowe, miedziane, także puhary, roztruchany, później dzbany Hżeckie garncarskie, flasze garncowe od św.

Krzyża ze śrubami, szklenice; mogiłki, jezuitki. Szklanki kryształowe białe malowane, w kopertach czyli futerałach były chowane za ostatniego z Jagiellończyków, a jeśli puchar był kosztowny, jak darowany temu królowi przez biskupa Płockiego, i pokrowiec od niego równie ozdobny, piórami świetnymi papugi, wyklejony.

Stoly. Stoły pierwiastkowo na łokieć szerokie, dwanaście łokci długie, były na warownych nogach lub krzyżowanych legarach, w potrzebie przystawiano drugi i trzeci, lub mieszczono je we dwa rzędy, zamykając trzecim, albo i czwartym, tak że tylko zostawiono dostateczny otwór, dla wchodzić mających, lub dla służby, różną inną nadawano im postać, litery solenizanta lub solenizantki wyobrażającą, albo kilka stołów długich w równej od siebie odległości, w tej i przyległych mieszczono komnatach. Kościelecki Andrzej kasztelan wojnicki, podskarbi i rządca zup solnych, powróciwszy z zagranicy, jak wkrótkim opisie życia jego mamy, 1510 roku wprowadził pierwszy czworograniaste jadalne stoły, zastawienia ich sposób i ozdoby sal, a zamek monarszy z takim przepychem ozdobił, że się cudzoziemcy zastanawiali. Izby jadalne u Polaków gościnnych były tak wielkie, że i pięćdziesięciolokciowe miewały w sobie stoły. Sztuki z trzech łokci w kwadrat, przyniosły tę dogodność, że powiększać się dawały, lub zmniejszać w miarę potrzeby. Stoły okrągłe dobrze później nastąpiły, dla uniknienia zatargów o pierwszeństwo, przy takich bowiem wszyscy zdają się być sobie równi; wszakże jak u długich środkowe lub narożne miejsce było pierwszym, zniżało się kolejno, tak w okrą-

głych, gospodyni po obu stronach bliższe, więcej było znakomite i pożądane bardziej.

Serwisy: Serwisy na środku stołu na łokieć jeden przynajmniej wysokie: na $\frac{3}{4}$ łokcia u spodu szerokie, często-kroć większe daleko, wyobrażały jak i cukrowe, świątynią, altanę, ogród i drzewa, albo skromniejsze z balasów prostych lub wyginanych, wreszcie związanych z sobą, u góry na nich był kosz srebrny; w nim cytryny, pomarańcze nad temi kopuła, którą zdobił orzeł polski z rozpostartymi skrzydłami, geniusz lub co podobnego; wszystko to było srebrne, czasem i połączane. U Jana III była mnogość sreber misternej roboty, a wiele naczyń ze szczerego złota.

Tak na wielkich stołach i dziś jeszcze, lubo w innej postaci 500 i 1000 grzywien srebra ugina stoły. Stawiano na nich ogromne jaśniejących i wonnych kwiatów bukiety, albo wpuszczano pomiędzy sztuki stołów drzewa cytrynowe, pomarańczowe z owocem i kwiatem wonnym; wedle roku pory w wazonach wiśnie, śliwy, karłowe gruszki, jabłka, morele, brzośkwinie, winne krzewy, ananasy z wazonami, pysznym ich krzewem i koroną; zdobią je alabastry, marmury, brony dzwigające pełne owoców czary. Kiedy przodkowie nasi dość mieli na tém, że gmachy swe potrząsali ziołami, nakadzili jałowcem lub dębnikiem, skutecznym jak mówiono od powietrza, dziś wznoszą się urny lub kassolety z perfumami zapalonemi, wdzięczną ziejące wonność, tu jaśnieją rżnięte kryształy i w tabliczkach swego szlifowania, odbijają drogim kamieniom podobnie, blask światła.

Cecha uczt i gościnności dawniej. Rzućmy jeszcze oko na dawne obyczaje: Gościnność uczt polskich zasadą, a kształt rządu, życie obywatelskie, równość szlacheckiego stanu, należenie całej szlachty do wyboru urzędników, królów nawet, wskazywało potrzebę jój ujmowania. Ztąd najuboższych i majątniejszych przedtem, u kmiotka i pana, stół nakryty był zawsze obrusem, dywanem, kobiercem, stała fiasza z napojem i kubek lub czarka, leżał chleb i sól, ażeby nim gościa powitać; ztąd obyczaj powszechny całej sławiańskiej, przyjmowania gości w progu chlebem i solą; ztąd grzeczność i uprzejmość w przyjęciu, stwierdzona dawném przysłowiem:

Czapką, papką, i solą.

Ludzie, ludzi niewola. (ujmują sobie)

Ztąd one prośby i przymuszania do jadła i napoju w domach szlacheckich, nalegania i pewna wątpliwość, że musi być nie smaczna potrawa, kiedy jój gość pożywać nie raczy, upewnienia że nie zła, że ręką gospodyni samój, córki domu przyprawiona. Było to u nas, zachowało się dotąd u pobratymczych ludów.

Ztąd ów obyczaj, że nie do karczem, do zajezdnych domów, lecz prosto udawano się do dworu, znajomego czy nieznanego ziemianina, proboszcza, z którym wnet się tworzyła poufałość i każdy nie za natręctwo to uważał, lecz jak wyświadczoną sobie łaskę cenił i przyjmował najmiliej, ztąd powszechny zwyczaj zostawiania kilku miejsc próżnych u stołu, dla panów Zagórskich, czyli mogących jeszcze przy-

być i cudzoziemszczyzna tylko, skąpstwo miejskie, albo chęć zabawienia się swobodnie w dobraném towarzystwie sprawać mogła, że wrota domu zawierano wtenczas, gdy gospodarz i goście zamówieni siadali do stołu. Ztąd u możliwych otwarte biesiady, zapraszanie raz na zawsze do nich i ludzkość owa, że kto wszedł tylko z szablą u pasa, cześć, oddał gospodarzowi, miał prawo z nim u stołu zasiadać. Ztąd uczyły liczne z wszelkich powodów, w dnie świąteczne, uroczyste, w dzień imienin lub urodzin którego z członków plemienia, z powodów objęcia urzędu, przy nowosiedlinach, ślubach, pogrzebach. O którójkolwiek wręczcie porze przybyłeś w dom szlachecki, zawsze uraczony bywał; czekała cię najlepsza z obiadu zostawiona część, a przynajmniej choć jedna lub druga potrawa; w spiżarni dla ciebie oprawna już kura, a w rychłym zastawieniu pokarmu dla gościa, malował się porządek domu, wprawa i pośpiech sług, dobroć gospodarza i gospodyni. Tobie nawzajem było przyjemnie, jeśliś ich mógł zaprosić do siebie, zniewolić do przyjęcia drobnego jakiego upominku, obdarzyć czém domowników nie z przymusu, konieczności, lecz z własnej ochoty i wedle możności. Zaprosiłeś kogo? ten miał prawo kilku jeszcze znajomych lub przyjaciół w dom twój przyprowadzić, i to wszystko przewidzianém było i spodziewaném; a lubo gdy 12 lub 13 było wezwanych, okazuje się natomiast 70 lub 80 osób, nie robi to spóźnienia i nie tworzy nieładu ani zagniewa gospodarstwa, i źle było, jeśli dopiero o przyczynianiu myślić przychodziło; przeciwnie zaletą, gdy mimo to dostatek się okazał i przyzwoitość, a czego brakować

mogło wybaczone tak snadnie, jak gdyby mówiono sobie: *hanc veniam damusque petimusque vicissim*: o tę względnosc prosimy jaką sami pokażemy chętnie.

Lecz już są wszyscy, których oczekiwano i nadeszła pora, stół jak należało ubrany, kwiatami potrząśnięty (Réja wizerunek) gotowo do wydawania wkuchni, zagrzmiały trąby, lub huczne bębny, albo uderzono w dzwonek donośny około kuchni. Domownicy przez podstolego z laską poprzędzani, a później żołnierze z oficerem w bojowym szyku, przynieśli potrawy pierwszego dania. Marszałek znać daje, otworzono podwoje; z rejestru po starszeństwie czytają osoby, każdy wskazanej dla siebie podaje rękę i ku jadalnej izbie zmierzają. Czasem zostawiono to własnemu gości baczeniu; lecz tu pierwszeństwa ustępować i nie przyjmować go równie, nakazywała grzeczność i znajomość polityki, co niemałych korowodów stawało się przyczyną; niekiedy los wyciągnięty stanowi i dobór pary i miejsce zasiadania: pospolicie bowiem u stołu przeplatano mężczyzn kobietami, ażeby i tej lubiej przyjemności nie odejmować, rozmawiania każdemu to z jedną to z drugą sąsiadką.

Dawni Polacy z temi u jednego stołu nie chcieli siadać, którzy pokazali się niedbałymi o sławę swoją. Górnickiego dzieje str. 112: przed kłamecami obrus krajano; tak na względzie była uczciwość i tyle ją ceniono.

Śmieszniejszy, lecz nie nasz narodowy jest zwyczaj, gdzie po zamożnych domach rezydenci na trzy klasy byli podzieleni; pierwsi po polewce czyli wasser-zupie wstają od stołu, i zowią się rezydentami od zupy; druga klasa je sztukę

mięsa, trzecia sięga do mlecznej potrawy czyli milchspeisu. Tym milchspejem Kurlandczyków jest kwaśne mleko z serdelami dla państwa, ze śledziami prostemi dla rezydentów 3 klasy. Do pieczystego mają prawo tylko baronowstwo z rodziną i goście o 35 herbach.

U Polaków nie ma téj upokarzającej różnicy. Gość wszelki i najuboższy domownik, urodzenia dobrego i wychowania, gdy siada do stołu, zarówno z najpierwszym używa potrawy każdéj i napoju każdego, a dobra gospodyni czuwa baczném swém okiem, ażeby się każdemu dostało, i nikt nie odchodził bez dostatecznego nakarmienia, lub upośledzenia jakiego nie doznał.

Był-li dom tak szczęśliwy, że monarchę swego przyjmował, krzesło jego złociste stało pod baldachimem, a gospodarz służył u stołu.

Jeśli i na wieczerzy pozostawać mieli goście, między obiadem i kolacją nie było czasem przedziału jak na 2 godziny; do północy niekiedy i do dnia białego trwała uciecha. Twierdzi Beauplan, że w czasie sejmów kosztowały biesiady nieraz 50 do 60,000 złotych polskich; tak dalece Polacy nie żalowali na to nakładu, a za panowania Sasów, jak gdyby smutne losy ojczyzny w niepamięci za grzebać chciano, całe życie pędzono na wesołości i luszytkach.

O dawnych wydatkach stołowych udziela Ł. Gołębiowski wiadomość z rękopismu który był znajdował się w jego ręku p. t. *Rejestrum dispensatoris Anno 1630*, podpisanego przez kuchmistrza i szafarza króla Zygmunta III.

Rozchód ogólny na kuchnię królestwa od 1 kwietnia 1630,

do ostatniego grudnia tegoż roku, przez 9 miesięcy wynosił z 89,554—18. Na kuchnię królewiczów do Osieka od 1 stycznia do ostatniego marca, jak podpis Pawła Strzemeckiego poświadcza 5,850, co podług tablic w dziele Czackiego wyrównywa dziś, licząc ówczesny złoty po 2 gr. 27 i $152/164$ na kuchnię królewską 260,581 a 20. Na kuchnię królewiczów przez trzy miesiące 17,093 groszy 10, W suche dni i wилie przy niewielu rybach, dawano migdały, rozynki mniejsze i większe, figi i obarzanki. W ostatnie dni przed Wielkanocą, Bożem narodzeniem, w piątki, soboty suchedni i wилie, całkiem z postem. Cukru wychodziło na tydzień 24 funty, ryżu 6 do 8. Chleb rżany czyli żytni i biały kładziono do monarszego stołu. Spostrzegamy, że go rozdawano senatorom przy królu obecnym, a dla służących ludzi bywał chleb obroczy. Za napój wystale piwo garwolińskie. Żeby mieć wyobrażenie ile wychodziło w celniejszych zdarzeniach, wypisuję tu rozchód kuchenny na wielkanoc: mięsa wołowego ćwierci 4, cieląt 5, kapłonów 12, kur 22, kurcząt 18, baranów 6, cietrzewi 3, kuropatw i jarząbków par 5, kozołek młody, gęś tłusta, gołębi 15, kaczorów 4, zajac, indyk, głuszec, słoniny pół półcia, masła fasek podgórskich 5, cukru funtów 24, kmin, szczaw, barszcz, kapusta włoska.

Gdy Felicjan Potocki w 1681 roku poślubił córkę Jerzego Lubomirskiego marszałka W. i hetmana polnego koronnego, wspañiałość i dostatek w podziwienie wprawiały. Uczty sporządzało 75 kucharczów, 6 pasztetników, 4 cukierników Francuzów, nad któremi 4 kuchmistrzów było przełożonych. Cukry kosztowały dobrej monety, złp. 20,000.

Na same stoły rozchód był takowy; dzień mięsny: karmnych wołów 60, cieląt 300, baranów 500, kapłonów tucznych 3,000, dwornych 3,000, kur 8,000, kurcząt par 1,500, indyków młodych 1,500, gęsi karmnych 500, wieprzów karmnych 30, zajęcy 300, kóz dzikich 10, sarn 45, dzików 4, jarząbków par 1,000, kuropatw 1,000, ptaszków różnych 3,000, gęsi dzikich 100, kaczek dzikich 500, cyranek 300, dropiów 12. Legumina: słoniny polci 100, jaj kóp 300, masła fasek 75 i t. d. Korzenie i przyprawy: pieprzu kamieni 4, imbiru kamieni 3, szafranu funtów 5, cynamonu pół kamienia, ryżu kamieni 15, cukru kamieni 20, faryny kamieni 30, rozenków dużych kamieni 8, tyleż małych, kminu funtów 6, kasztanów kamieni 5, bronelli kamień, daktyli kamień, pistacyi kamień. Na post we wtorek, szczupaków głównych 100, podgłównych 100, łokietnych 200, półmiskowych 200, karpików ćwików 100, misnych 200, półmiskowych 500, karasiów wielkich 1,500, wielkich linów 500, sztokfiszu kamieni 10, płaterzów kamieni 3, minogów barył 3, łososi gdańskich 10, fląder kamieni 3, kaparów garcy 12, limonii 3,000, oliwek garcy 50, pomarańczy sztuk 500, cytryn świeżych 1,000, soku z cytryn garncy 6, oliwy kamieni 6, serdeli baryłek 10, sera holenderskiego kamieni 2, makaronu włoskiego kamień, octu winnego pipa. Z wędliny: szynek 60, ozorów wędzonych 200, salcesonów kamień. Szczegóły te wypisał Stanisław Czarniecki podstoli żytomirski, pod którego dyspozycją były te wszystkie uczty.

Z powyższych opisów dostrzegać możemy, że cechą uczt

polskich była pierwiastkowo prostota; tę mniej więcej posunąć możemy, aż do końca panowania Zygmunta III, dalej nastął coraz bardziej wygórowany zbytek, nakoniec od wstępu na tron Stanisława Augusta pewna wytworkność i wyszukaność. Główną zasadą sposobu życia Polaków gościnność; nie lubi Polak sam jeść, czyli u codziennego stołu, czyli kiedy ma co lepszego, ztąd rad niezmiernie gościowi; gdy nie ma rodziny, musi mieć domownika, rezydenta, wezwie proboszcza, z nimi pożywać i bawić się rozmową, jest mu przyjemnie. Uważmy i w niższych stanach, gdy kto bije wieprza, upoluje cokolwiek zwierzyny, ryb ułowi, ma jaką nowalijkę, zaprasza nawet na nią, albo rozsyła i podobnąz wyplacając mu się grzecznością. Ani to dla ujęcia albo dla jakichś widoków działa nasz ziomek: z mlekiem on wyssał niejako gościnność, od lat najmłodszych w domu rodzicielskim i wszędzie widział jój wzory, możeż kiedy jój odstąpić? Tak więc lubośmy przyjęli wszystkich niemal krajów potrawy i Rusi i Turków, i Szwedów i Niemców i Francuzów i Anglików i Włochów i Hiszpanów, zachowaliśmy narodowość naszą; dajemy pierwszeństwo potrawom ojezystym, tęsknimy do nich; za granicą przy najwyższych stołach sprzykrzy je sobie nasz ziomek, rad wróci do barszczu, kapuśniaku i bigosu. Moźniejsi w Paryżu mają kucharzy Polaków, wojskowi w Chantilli, Hiszpanii i Włoszech wyuczili krajowców, ażeby im gotowali ulubione im przysmaki. W sposobie raczenia odmienny równie bywa Polak, zawsze uprzejmy, otwarty, szczerzy, kogo do stołu wzywa, temu i przyjacielem jest razem. Nic nie po-

żałuje, gustu i najtrafniejszego rozrządzenia w potrzebie okaże dowód, nie szuka w tém chluby jak Francuz, ani dumy jak Hiszpan, ani Włochom podobnie rubaszny, i przestający na lekkich tylko przysmaczkach, nie tak oszczędny jak Szwajcar i Holender, nie lubi jeść tak tłusto jak Niemiec, ani zaprosiwszy kogo do oberży, za siebie tylko zapłacić, po zaproszonym wymagając równej opłaty, ani tak ponurym będzie jak Anglik i odpychającym kobiety, by pić i politykować snadniej; bez płci pięknej i grzeczności dla niej, niema dla Polaka uczyty. Nie będzie on częstował ciebie, wtenczas dopiero gdy twojej potrzebuje kreski. Któż u rodaka naszego, swój czy obcy? krewny czyli nie? przyjaciel czy przeciwnik? znajomy czy nieznajomy? wyższy czy niższy? nie znalazł otwartego stołu i dłoni, szczerego przyjęcia, zapomnienia uraz wszelkich? Ileż to razy częstował i tych, którzy mu nigdy na nic się nie zdadzą, których nigdy więcej nie ujrzy? Próznoby kto nam zarzucał uczyty sejmikowe; wszakże i wtenczas ktokolwiek bądź przyszedł obcy, choćby wiedziano że z nieprzychylnéj strony, kiedyż był odepchnięty? Albo czyliż wymagano, ażeby za to przedawał swe zdanie? Z chlubą to przyznać sobie możemy, przekazińy i dzieciom tę drogą puściznę, ten zwyczaj błogi.

Trunki i pijatyki. Piwo jak mniemają nazwane od picia. Słowianie znali napój ze słodu i nazywali go do wszelkich ofiar. Na uczcie Piasta, rozmnożone cudownie potrawy i piwo. Goty bałwochwalcze i na tamtym świecie obiecują sobie obfitość tego napoju. W XI wieku zaczęto do niego w Niemczech przydawać chmielu, i my to przejęliśmy. Bro-

wary wielko-polskie i szląskie nadewszystko słyngły. Dyploma 1067 r. już wspomina piwa podwójne. Ludgarda wielkie tego rodzaju w Kaliszu poczyniła zakłady, piwo i na dworach książąt używane było. Konrad syn księcia Głogowskiego, przez usilne krewnych zabiegi otrzymuje dostojęństwo w Salcburgu, przybywszy do Wiednia, gdy wypróbnł wiezione z sobą dość liczne beczki i dowiedział się, że w Salcburgu nie ma podobnego piwa, godności wyrzec się postanowił raczój, jak polskiego trunku i wrócił do domu. Zygmunt August 1551 r. pozwalając uczeńszym piwowarom Krzysztofowi Negelinowi i Ulrychowi, z poleceniem od Ferdynanda I, Cesarza przybyłym, brać rocznie przybytek z tych browarów, któreby ulepszyli, znacznie podniósł gatunki piwa, a za Stefana dla wzrostu krajowych fabryk zakazano piw zagranicznych. Wolno było je przywozić z ziem cudzych, gdy Zygmunt III władał; za Sasów po dworach panów mianowicie, dobre w Polsce były piwa.

Nie z jęczmiennego słodu albo z zboża mieszanego warzyć piwo, przepisał Firlój w 1573 r. pod stratą jego i winą 14 grzywien, tylko z czystój pszenicy i przedawać beczkę po gr. 30. Wszakże później dodawano żyto, jęczmień, orkisz, gdy robiono piwo.

Gdy nastaly inne trunki, piwo niższych klass tylko było napojem i tak przedrwiwano tych, którzy się udają za móżnych a dla niedostatku przestać muszą na najpośledniejszym trunku, wprowadzając następną rozmowę. Przyszedł śmieie do szynku, pyta go: jest wino? Jest panie, odpowie szynk. Macie małmazję? Mam; a macież Alikant? Mam

i petercyment. Przejdzie daléj i pyta: macieź miód na przedaj? Jest. Lipcu czy dostanie? Jest i lipiec u mnie; a piwo jestże dobre? Jest i to wareckie; a cienkusz jest? Jest i ten. Dajcieź mi cienkusu za szeląg.

Gatunki sławniejsze piwa są te: Krakowskie, a w 1543 r. już mamy wzmiankę o wareckiem i piątkowskiem. Wareckie piwo szczypiące, z koloru i smaku podobne do wina, rozchodziło się po całej Polsce. Grodziskie piwo i doktorowie pić nakazywali. Do dawniejszych piw należą: nowomiejskie, częstochowskie, garwolińskie, sądeckie, piotrkowskie, odrzywolskie, mazurek, zapewne mazowieckie.

Od 1564 r. wspominają łowickie, skierniewickie, głowaczowskie, białobrzegskie, gielniowskie, skaryszewskie, jeżowskie, drzewickie, końskowolskie, kazimierskie, brzezińskie, mławskie, zwolińskie; z obcych zaś czeskie, brandeburskie, hamburskie, szepo wrocławski, czarne pruskie, gdańskie i toruńskie, wszakże i nasze piwo szło do Niemiec.

Miód. Miód był trunkiem najcenniejszym na północy, nazwany Bogów napojem. Poezją dla jój przyjemności, miodem Odyna głoszone. W sagach nasze nazwisko miodu spostrzegamy dane temu trunkowi; co dowodzi żeśmy go z Norwegii, Islandyi, przez Szwecyą może przyjęli i wraz z trunkiem imie jego zachowali. W 1067 r. już wspomniane sycenie napojów i miód sycerą był nazwany. Kowieńskie miody, żmudzkie, ukraińskie, tomaszowskie, najbardziej były chwalone; dawne pieśni litewskie nuciły o nich, a lud w powszechności miód za lekarstwo poczytywał i poczytuje. U dworu królów za kończącego się rodu Jagieł-

łów, jeszcze wiele używano miodów. Są listy Zygmunta Augusta do starostów czyli dzierżawców litewskich, ażeby przystawiali do dworu miód pitny: „u nas piją, a wy, na rok (czas) naznaczany nie dostawiacie. Kromer wspomina o dobrych wiśniakach, maliniakach i miodach korzennych w Warszawie robionych; taxa miejska wzmiankuje o miodach na kształt siedmiogrodzkich, trójnych, poślednich. Wiśniak nazywano jeszcze kirsztrankiem. Nastaly lipce z czystego białego miodu, borowice i dereniaki na jagody tego rodzaju nalane.

Wódka w XIV wieku w Niemczech wynaleziona, aqua vitae, akwawitą zwana, że przedłużać miała życie; u nas gorzałką, horyłką od palenia. Z Niemiec przeniosło się jój używanie na północ; za Jana Olbrachta są spisy dochodów panującego z miast, tam i wódki przychód wymieniony. Wódka sprawiła zaniedbanie piwa. Robienie tych trunków dozwalane było miastom przywilejami, za własność je swoją w dobrach poczytywała szlachta. W domach partykularnych żony, trudniły się przysposobieniem wódek, a uprawiając je i kosztując zbyt często, rozpijały się niekiedy. Wódki różnych gatunków, stanowiły pierwszą zasadę apteczki domowej, były pod kluczem imościny; w wielu wszakże miejscach, a osobliwie w Litwie, nad likwory i zaprawne wódki, przenoszono czystą, a osobliwie starą.

Był czas, kiedy wina przodkowie nasi kosztowali w kościele tylko, w dzień niewiniątek. Aeneas Sylvius powiada: nie znają co winnice i wina rzadko kiedy używają Polacy.

Polubiliśmy wszakże wina zagraniczne i sprowadzać je zaczęliśmy obficie.

Tak więc wszelkie wina francuzkie, hiszpańskie, węgierskie, reńskie i włoskie, czerwone i białe, znalazły u nas przystęp: dzielono je na główne, podgłówne, połowiczne lekkie i wytrawne, stołowe pospolite i stare trącające już myszką. Co do koloru, jedni lubili złoty, drudzy zielonawy, tego samego gatunku który brzoskwiniowym zowią.

Dawni pili rogami: wyszedłszy na dziedziniec jeszcze zdrowie przyjacielskie spełniono, albo przychodzono do mieszkania gościa i wyzywano go, ażeby spełnił puhar.

Beauplan pisze że: wczasie obiadu Polacy piwo tylko piją, w ogromnych szklenicach, kładąc w nie grzanki chleba polane oliwą. Po uczcie zaczynają pić, idą kolejne kielichy od gospodarza, każdy leje sobie z srebrnej przy nim stojącej flaszki, którą gdy wypróżnił, wnet mu stawiają drugą. Po 4 lub 5 godzinach, jedni zasypiają, inni wychodzą i wracają do nowiej walki, ci rozprawiają o czynach wojennych, o dawnych ucztach i t. d. Często upijają się słudzy i muzykańci, kredencerze tylko trzeźwi, pilnują dostatków pańskich, nie wypuszczają z sług żadnego, aż srebra obliczą.

Polak gdy podchmieli sobie, jest szczodry, nic nie żąda, wszystko chętnie odda. Nie tylko to u możnych lub szlachty widzieć się daje, lecz u kmiotków nawet, i téj szczodroty ich nadużywają. Chłopiek pijany, mówi ksiądz Kito-wicz, nigdy nic nie odmawia, żydy lub oszusty proszą go wtenczas, o rzecz której najbardziej sobie życzą i otrzymu-

ją z łatwością. Nazajutrz gdy się wytrzeźwi, dziwi się jakim sposobem to wszystko od niego uzyskano.

Zwolna wzmagano się pijaństwo w Polsce, już było znaczne za Jana Kazimierza, a do najwyższego stopnia doszło za Sasów; świadczy to wiersz Krasickiego:

August Sas Polskę do reszty rozpoił.

Wiele smutnych wypadków z tego powodu przytoczyć można, ograniczę się na jednym.

Karol książę Radziwił wojewoda wileński, po pijanu strzelał do ludzi, różne psoty lub niedorzeczności kobietom i mężczyznom wyrządzał; potem rozdawał konie z rzędem bogatym, pasy kosztowne, pałasze, pistolety, zegarki, tabakierki, wsie dożywociem i klucze. Pac pisarz litewski gdy wczasy pijatyki wyzwał Radziwiłła na pojedynek, on go nawzajem dla postrachu, w śmiertelnej koszuli między księdzem i katem na plac wyprowadzić kazał, potem go poił na zgodę i Pac trzeciego dnia umarł.

Ł a ź n i e.

Za dawnych czasów polacy często używali parowych łaźni; żadne miasto, miasteczko, a częstokroć wieś nawet bez niej obejść się nie mogła. Łaźnie publiczne, balneum commune, puszczano łaźninikom w dzierżenie za umówioną opłatą.

U możnych łaźnie mieściły w sobie wszelką wytworność, przepych i wyszukaność. Oto jest opisanie pińczowskiéj łaźni; w rzadkiem dziełku starożytnym. „Łaźnie malowane,

wszystkie wierzchnice i przyniej cieplice, pieca kamionki nie widać, za tknięciem się czego, puszcza się deszcz z góró ścian, pawimentu. Posągi kamienne z dziwnymi sztukami: temu płynie mleko z piersi, ten pieska kamiennego, ale bardzo złego trzyma.”

Zygmunt I i syn jego Zygmunt August, któremu kąpiele parne, jako środek pokrzepienia zwątłonego zdrowia przepisali lekarze, używali łaźni, ale nie tak często. Stefan Batory, Siedmiogrodzanin i Zygmunt III Szwed, nie nawykli do nich, doświadczać ich nie chcieli. Utrzymywały się jednak pomiędzy ludem, a Kromer obyczaje polaków kreśląc, tak mówi: „Często łaźni ciepłych używać zwykli, równie w lecie, jak i w zimie, dla obmycia i opłókania ciał z potu. Oddzielnie w nich myją się kobiety od mężczyzn. Od czasów króla Zygmunta III zwyczaj ten ustawał i nareszcie wygasł zupełnie.

Ogrody.

Że dawno u nas znane są ogrody i wyższej sięgają starożytności, wątpliwém być niemoże. Potrzeba chłodu w upały, dawała powód zasadzania owych lip, które wieki przetrwały; pod których cieniem siadał Kochanowski, które opiewał. Z nich, z grabiny, pnących się roślin, chmielu, powoju i wina, robiono chłodniki. Obsadzano je przy kratkach z łąt, aby nie spadały na ziemię, dzelseminą, czyli hiszpańskim, katalońskim albo indyjskim jaśminem, gdy zakwitnie wonnego nader udzielającym zapachu, albo przyjemniejszą dla oka i węchu różą. Lecz niedość było w cie-

niu posiedzieć i przejść się w skwar nawet miło; ztąd powstały bindarzyki, czyli kryte ulice ogrodowe, to w szpaler obcinany u spodu i wierzchu, to boki tylko podcinane mające, których wierzchołkom swobodnie rosnąć dozwolano, a gałęzie przytykały do siebie wkrótce i nieprzebytecien utworzyły. Zakonnicy z Francyi i Włoch sprowadzani, pierwszymi byli założycielami ogrodów; oni pierwsze wytworniejsze i na tę ziemię przynieśli owoce; zakładali ogrody przy klasztorach, wkrótce zapewne uproszeni przy domach możniejszych osób, i powstały wirydarze, ogródki małe, wirydarzyki jeszcze mniejsze, dziardyny okazalsze; tu drzewa zasadzano w ulice, w cynek, albo piątkę, jak im się podobało wznosić się i rozrastać dając, albo w różne dziwaczne strzygąc formy. Utworzyły się nakoniec i rozgatunkowały ogrody na użytkowe i dla przyjemności tylko: w pierwszych ogrody warzywne, później folwarcznemi zwane, chmielniki, sady i ogrody fruktowe; do nich wnet przybyły basztany, winnice, figarnie, trebhauzy fruktowe i oranżerye.

Wraz z innemi krajami przechodziliśmy kolejną, to nudzącą jednostajnością smak wyprostowanych nlic, odpowiednich jak z jednéj tak z drugiejj strony kwater, rzniętych w darninie, lub sadzonych bukszpanami floresów, pomiędzy któremi, próżne miejsca wysypywano to piaskiem kolorowym, to konchami tłuczonymi; patrzaliśmy, jak gdzie indziej, na cięte różnym wizerunkiem drzewa, kapliczki, lub osóbki ślimaczkami i muszlami nalepione, patrzymy dziś

na swobodne ogrody naturalne, niekiedy wszakże skażone przesadą jaką, dzieciństwem, wymuszonnością.

Pierwsze gatunki jabłek i gruszek, pod różnemi nazwiskami wprowadzili do Polski, a najpierw podobno do Tyńca, Benedyktyni z Kluniaku i innych miejsc Francyi i Niemiec, które i dotąd są w okolicach Sandomierza, z kąd rozsyłano je w Mazowsze i Prussy, a teraz do Warszawy zwykle, gdzie dostateczny mają odbył przybyłe z owocami galary.

Leśne gruszki wtenczas do jedzenia przydatne dopiero, kiedy się uleżały, i dla tego zwane odleżałkami, przalkami, rodzinném są téj ziemi drzewem owocowem, zbiera je, układa w słomie i żywi się niemi lud prosty, zbywające od potrzeby suszy.

Jabłka: po leśnych, do kwaszenia kapusty używanych, najdawniejsze są daporty czyli deporty, dziś oportami zwane, które przez Cystersów do klasztoru lubuskiego za Bolesława księcia wrocławskiego sprowadzone i po innych stronach Polski powszechniły się.

Kwiaty lub zioła te są wspomniane od dawna: rozmaryn, hyzopy czyli józefki, boże drzewko, szałwia, ruta, mięta prosta i pieprzowa czyli angielska, melissa cytrynowa, majeran, cyprys, lawenda i konwalia, z których pędzono wódki; i z użytku swego głośne firlety, albo lichnis wronaria, zwana jeszcze kąkolnikiem, albo różyczką P. Maryi.

Przodkowie nasi starzy, póki bawełny nie mieli, suchego liścia firletki używali do knotów, i ztąd *lichnis* to jest knotną czyli knotownicą mianowany, powiada Syre-

niesz. Były jeszcze po dawnych ogrodach: nardy woniejące czyli szpikanardy, jaskier, czyli jaster, fiolle, zapewne fiołki, nogietek żółtofarbisty, bukszpany słoneczniki, piwonije, dziś jeszcze zdobią je tulipany, narcyzy i wszelkie cebulkowe kwiaty.

Ogrody sławniejsze wspominają: w Balicach pełen owoców i rzadkich w tym kraju winogron, fig, brzoskwiń i moreli, 1596.

Wąchock sławny był pięknością ogrodów za Starowolskiego, Lewartów z przyjemnego wielce ogrodu za Zygmunta Augusta; chwali Sarnicki górę zamkową w Czersku za czasów Bony królowej ogrodem przyozdobioną. Koło Pułtuska ogrody wspomina Święcicki. W Brześciu Litewskim piękny pałac królewski z ogrodem, mówi Starowolski. W Białym wspaniały ogród Radziwiłowski. W Golubiu nad Drwęcą piękny był ogród w r. 1655. Wielki ogród królewski w Kryszyńcu. W Jędrzejowie.

Gdzie winogrodnik nowy płot sprawił,
I rzędem smagle szczepy postawił.

Za Kazimirowskim pałacem, dziś gmachem biblioteki publicznej, mówi Jarzemski, jest ogród z płotem od Wisły, tam kwatkerki pełne ziół wonnych i kwiatów, fontanny marmurowe, posągi ze spiżu. Herkules lwa dusi, koń od węża kąsany, baszty z altanami pozłociste. W ogrodzie niższym jelenie się pasą, gęsi dzikie i łabędzie pływają, żórawie chodzą, krynica dodaje wody do sadzawki, kupidynek z strzałami, długie ławy, wytrysk wody, nad nim Neptun, altana

z gankiem malowana, obok niej stoi żołnierz wyrobiony z pika, rapirem, jak gdyby chciał powiedzieć: placu dotrymam; dalej kompas, do którego gdy się kto zbliży nieostrożnie, cień znika, wytryśnie woda i oblewa. Krużganki okryte drzewem owocowym, z marmuru żołnierz srogi z piką, delfin z otwartą paszczą, na nim chłopiątko z pałką w ręku, z marmuru kosztownie zrobione. Kwatery z najrzadszych ziół i kwiatów, wrogach jak gdyby z drzew sklepione baszty, dają schronienie i cień wczasie upałów. Z boku na górze misterny wiatrak, w różne miejsca prowadzący wodę. Na słupie koń z marmuru dziwnej roboty. Koło domu ogrodnika rozmaite drzewa cudzoziemskie, jako to: pomarańcze, figi, kasztany, kapary, oliwy, rapy, kardy, finoki, selery, angury, gwardy, ogórki, cytryny i sławne ziele tabaka.

K o n i e.

Polacy w koniach mieli upodobanie, posiadali w swym kraju konie dzikie, liczne stada, z różnych ziem sprowadzać je lubili, to dla poprawy ich plemienia, to dla okazałości i przepychu.

Nigdy królowie nasi nie okazali téj zniewieściałości, ażeby podobnie jak Francuzi po ulicach stolicy jeździć wołami. Mężni i mężnym panując, dzielniejszego potrzebowali bydłęcia, a spokojne woły rolnictwu tylko służyły, gminowi, albo do przewożenia zwłok jedynie wyższych osób użyte były: chód ich bowiem powolny, stosowny był do smętnego obrzędu. Za wstydliwego Bolesława, czytamy, że

dla przewiezienia ciała św. Salomei ze Skały do Franciszkanów, ośm wołów zaprzężono do wozu.

Polacy od najdawniejszych czasów mieli chęć do koni, lubili jeździć wierzchem, i w czasach wojny i w czasie pokoju, gdzie tylko się udali, prócz powozowych, wiele powoźnych za sobą prowadzili koni.

Nie ma kraju, któryby tak dzielne konie wydawał jak Polska, przyznaje nam Gracyan w opisie poselstwa Komendoniego. Konie polskie acz nie zbyt rosłe, pełne ognia, prędsze od tureckich, a piękniejsze i bardziej zwinne jak niemieckie; litewskie są pośledniejsze.

Ten zwierz szlachetny, do miejsc rodzinnych przywiązać się umie, zdaje się być wdzięcznym za doznawane ciągle dobrodziejstwa. Przybysław szlachcic, herbu Srzeniawa w krakowskiem, piękne snać utrzymywał stado; zubożony wojnami utracił je, przedawać go wreszcie musiał; już mu pozostał jeden tylko śliczny ogier białonózka; pozbawił go ktoś nielitościwy i tój pociechy ostatniej, a Przybysław nigdzie swój straty niemógł odszukać, nigdzie się o nią dopytać. Po niejakiem czasie, w obcej ziemi żyć nie mogąc, tęskniąc do własnej, porzuca uprowadzony białonózka Węgry, niebotycznych Karpatów przebywa łańcuch, a jak gdyby znał stan dobrego pana swojego i dawne chciał mu przywrócić dostatki, a tego co go wykradł, ukarać; wiedzie za sobą nieprzejrzaną okiem liczną stadninę, którą do siebie przywiązać, której panować umiał, wiedzie i staje, gdzie błogie dotąd przebywał chwile, gdzie żył swobodny. Ura-

dowany i zbogacony tak cudownie właściciel, miejsce to koniuszą górą nazwał i Bogu wzniosł tam świątynię.

W stadzie królewskim pielęgnowano ród koni arabskich.

Zygmunt August lubił mieszkać w Knyszynie, gdzie miał liczne stada najpiękniejszych koni; oprócz polskich, tureckie, neapolitańskie, hiszpańskie dzianety, mantuańskie i wybrane polskie zawodniki. W 1560 r. miał król do 2000, w 1565 r. do 3000 koni, i tak je lubił, że z trudnością komu z swych stajni darował konia.

Nieznalazłes wreszcie żadnego prawie domu obywatelskiego, gdzieby choć kilka sztuk stadniny nie utrzymywano, ażeby się z nich dochować pięknego konia jeźdźnego, i własnego chowu mieć dobre woźniki. Stada Czartoryskich, Potockich, Sanguszków, w późniejszych czasach były sławne. Stado Kandyby pułkownika na Ukrainie, wydawało konie białe, rosłe, lecz niezgrabne.

Sprzęty do koni, zwłaszcza wierzchowych są: arkan, do łowienia ich w stadzie czyli tabunie który zarzucają, konia przyduszą, na ziemię zwalą, a popuszczając go trochę i wskoczywszy na niego, gdy się zerwie, latają nim tyle po stepie, aż go zmęczą, do powolniejszego kroku zmuszą. Baldera, u kalwakatorów siodło z samąj uplecione słomy, grubym płótnem obszyte, na objeżdżanie źrebców. Czanka, drążek u munsztuka. Czaprak, czołdar z perskiego, przykrycie wełniane, kosmate na konia. Dek, derka, okrycie konia, ostatnie i złotolite bywały. Dywdyk na konia szarlatny, złotem upsztrzony, wzorzysty z bogatej materyi. Kantar gatunek munsztuka, kawecan na zrebce, krygowa uzda, wędzidło

do krygowania, kulbaka; maneż gdzie ucą na koniu jeździć czyli rejtszula, ujeżdżalnia munsztuk; popona, deka na konia; poprąg pas do podpinania kulbaki; ryngort pas wierzchni, którym się przymocowywa kulbaka. Rzęd na konie, przedtem kosztowny bywał. Siadzenie, siodło. Szekember z perska, czaprak z litój materyi, dłuższy od mituka, krótszy od dywdyka.

P o w o z y .

Im bardziej zbliżamy się do naszych czasów, tém większą postrzegamy zniewieściałość obyczajów, zaprowadzenie wygódek i zbytku w posłaniu, powozach i strojach, czego dawniej nie znano. Karety wielkich panów i królewskie od parady, po wierzchu rzeźbą, malowaniem chińskiem, koronami czyli bronzowemi lisztwami w ogniu suto złoceniemi, były ozdobione, w środku aksamitem i galonami złotemi lub fręzlami takiemiż wybijane, z oknami zwierciadlanemi. Niektóre powozy do wielkich publik, całkiem były z zwierciadłowych tafel, z tyłu z przodu i z boku w ramy bogate osadzonych. Do częstszego używania były karety suknem ponsowém, karmazynowém i galonkiem żółtym, albo włóczkowym białym okrażone, zewnątrz skórą czarną jachtową, na drewnianych pozłocistych ramach wyciągniętą, okryte; wierzch z takiejże skóry, czasem bronzową albo mosiężną koroną ozdobiony, częściej mosiężnemi, złoceniemi, dużemi ćwiekami obity. Pudło tak wysokie, że można było wniem stanąć, wisiało na grubych z rzemienia pasach, pomiędzy dragami dwoma, zadnią oś z przednią wiążącemi.

Na $\frac{3}{4}$ łokcia od ziemi osadzone pudło, zadnie koła wysokie, niziuchne przednie dla potoczystości; stangret najmniejszy pień, albo kamień omijać musiał, ażeby przednią osią lub pudłem o niego nie zawadził. Tylny koziół na osi z deszczek gładkich, taką farbą, jak drągi i koła pomalowanych, z obu stron dwoma skrzydłami ze skóry na prętach żelaznych rozpiętój, od rzucania z kół błota ochroniony, u tego kozła wisiał stopień drewniany na pasach rzemiennych, po którym lokaje, hajducy i pajucy wstępowali. Przedni koziół niski, że stangret siedząc, ledwie głową wznosił się nad konie. Tu była skrzynka, w której chował zgrzebło, szczotkę, trzepaczkę do koni, wszystko co mu było potrzeba, chleb i ser posiłek jego, gdy kilka godzin stać mu przyszło. Jakie wybicie karety wewnątrz, takie przykrycie kozła i zwało się czaprakiem. Tuż za kozłem znajdowała się deska, osadzona na drągach, pomalowana; paż, węgrynek, turezynek, albo murzynek na niej stawał i za ramiona stangreta się trzymał. Drzwi u pudła zamykały się klamkami żelaznymi, u których mosiężne trzonki, albo kółka. Przystawać powinny szczelnie, by nie puścić do nisko osadzonego powozu wody lub kału. Stopnie u karet niżej wisiały, niż pudło same; były one ze skóry z podeszwą drewnianą, na kolcach żelaznych, do drągów przybitych osadzone, mogły się cokolwiek uchylać w górę, gdy o co twardego zawadziły; lecz, kiedy brnęła kareta rzadkiem błotem, garnęły go stopnie pod siebie.

Wiadomo powszechnie że ojcowie nasi, siodła, szory, czapraki mieli bardzo kosztowne, wiele z nich jeszcze do-

chowało się w domach zamożnych i widzieliśmy piękne zabijki na zaprzeszlorocznej wystawie Starożytności naszych. Pierwsze wzmianki o karocach, korabiach, z czego potem zrobiły się karety, znajdujemy w Kromerze i odnoszą się do panowania Kazimierza Jagiellończyka. Ressorów nie znano aż do Augusta III.

Dwory królów i możnych.

Najpierwsze i jedyne może w dawnych czasach były dwory królewskie. Zaczęto wkrótce garnąć się do kanclerzów, by się obeznać z publicznymi sprawami; do dworu hetmanów, ażeby przez ich boku w ćwiczeniach wojskowych, w rycerskim ćwiczyć się rzemiośle. Wkrótce wszystkich możnych domy stały się licznych dworzan siedliskiem; wymagała bowiem tego ich duma, skłaniała i staropolska uprzejmość, że nie odmawiali proszącym o to, ażeby synów ich przy swym pomieścić boku, najmniejszy urzędnik wreszcie, szlachcic na wiosce, bez jednego przynajmniej dworskiego nie mógł się obejść; a dwory królów, dwory panów bogatych, nieprzeliczone mieściły tłumy. Dziś to wszystko zniknęło; nie ma już owych szumnych dworów, do przeszłości wszystko to należy: tém potrzebniejszy, tém ciekawszy będzie ten obraz.

Dwór Zygmunta I, składali kapelani, dworzanie, urzędnicy dworscy, officiales mensae, pokojowcy, chłopięta, trębacz, kuchmistrze, kucharze, kucheiki, piekarze, piwnicznych 7, odźwierny, przełożony służby dzienniej, łaźiebni-cy, familia obożna, dróżni czyli drażni do podróży użyci, myśliwi, masztalerze, kowal, krawiec, aptekarz.

Królowej Bony dwór, składał się z następujących osób, i z jój szkatuły snadź był opłacany: Mikołaj Wolski marszałek jój, tudzież Piotr Opaliński króla młodszego marszałek, trzech dworzan ugodzonych na sześć koni, pięciu na pięć, ośmiu na cztery, dziewięciu na trzy, czterech na dwa, w ogóle trzydzieści jeden dworzan.

Tomicki, młodzież dworu swego na trzy klasy dzielił: uboższych w krakowskim zamku w szkole utrzymywał na naukach, możniejszych u siebie w domu, najwyborniejszych z akademii biorąc dla nich nauczycieli; dorosłych z wielkich familii, posyłał za granicę.

Marszałkował u X. Ostrońskiego wojewoda jaki i brat 70000 pensyi rocznej, pniał było do 2000 na jego dworze.

Zamojski utrzymywał kilkunastu paziów, bardzo wielu szlachty, dwoistą gwardyą.

Dwór Stanisława Lubomirskiego powiada Laboureur, w podróży pani Guebriant, z 6000 sług i wojskowych składał się, a wczasie wojny 9000 osób miewał pod bronią. Dwór ten za czasów Władysława IV i Jana Kazimierza należał do największych.

Stanisław Czarniecki, podstarości żytomierski, tak nam go opisuje w dzienniku 1691 roku wydanym:

Prezydencya dworu, Andrzej Justimenti, kapelan, 2 bernardynów, marszałków 2, pisarzy pokojowych 4, sług rękodajnych jurgeltników 60, krajczych 4, srebrnych kozaków od srebra litego nazwanych 60, komornicy: natenczas komornikami nazywano młódź, których rejestr nie był zawarty, jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali, a byli z zacnych lu-

dzi szlachty polskiej i wielkich familii, z których to Ichmość wielu senatorów i godnych ludzi było. Ci samotwór służyli, ale de proprio, osobliwych sług swoich, powozy swoje, a niektórzy Ichmość i dworzan swoich chowali. Bywało jednak tych Ichmość około 40, mniej lub więcej.

Powinność była tych Ichmościów do króla Imci i senatorów w poselstwie jeździć, w drodze zaś sami przed karetą jezdzi; a czeladź za karetą, a na miejscu panu assystowali.

Przyjaciele: przyjaciół bardzo wiele zawsze przy boku Imci bywało, senatorów, urzędników powiatowych, dygnitarzów, między nimi książęta niektóre były: którym jednak ex humanitate, honorarya co ćwierć roku dawano po kilka tysięcy.

Pokojowi: prezydent pokojowych był JPan Morsztyn potem podczaszy sandomierski, który długo dosyć przydawał. Pokojowych zaś raz więcej, drugiraz mniej bywało; synów szlacheckich jednak, około 20 albo więcej było. Tych ćwiczenie codzienne z łukami, dzidami i kopijami, bywało do pierścienia: odmieniano im szaty jedwabne co ćwierć roku; futrą jednym, którzy byli w respekcie pańskim, egipskie baranki, drugim podlejszego respektu blamy lisie dawano.

Stajnia: koniuszych było 2, kawalkatorów 3.

Koni tureckich i rumaków polskich było na stajni sześćdziesiąt i tyleż masztalerzy, dragonii 200 i z swemi oficerami. Piechota węgierska nadworna pieniężna 400 ze swymi rotmistrzami.

Kapela zaciągniona in anno 1645 z cudzych krajów przez

Jana Babtystę włocho Filiponiego kalwakatora. Wszystkich muzyków i śpiewaków było 27.

Myślistwo: Cobym miał o myśliście pisać; łatwo się każdy domyślać może, co za myślistwo było u tak wielkiego pana, kiedy każdego dnia prawie nie było, żeby kto nie oddał smyczy chartów, albo swory ogarów, albo sokołów, albo rarogów, bo tam nie akceptowano jastrzębi; myśliwców jednak, sokolników i rarożników było 30.

Doktor, 2 aptekarzy, 2 cyrulików.

Kuchnia: kuchmistrzów szlachty 2, kucharzów Francuzów, Niemców i Polaków 12, pasztetników 3, piekarzy 4.

Zostawił w skarbcu cztery kroć sto tysięcy talarów i sto tysięcy czerwonych złotych, sukna różnego postawów 400, wina węgierskiego beczek 330, które nawiedzając ciało zmarłego pana goście wypili i 8 sad wina włoskiego.

Na uzupełnienie tego zarysu przytoczymy z dzieła Ł. Gołębiowskiego obraz dworów w różnych epokach.

Dwory były najwyższą dla młodzieży szkołą. Po skończeniu nauk, młodzian dla ostatecznego poloru i wprawy do służby cywilnej lub wojskowej, oddawany był przez ojca lub krewnych do jakiego dworu. Tam zamięłował religią: patrząc jak ją szanowali najznakomitsi w kraju mężowie, jak święcie dopełniali jej przepisy, a z obowiązku razem z państwem będąc na wszelkich nabożeństwach rannych, na mszy i pacierzach wieczornych, ciągle widząc skromność prawdziwą, pobożność wyższych, przywykał i sam do niej, głęboko i na cały wiek w umysł ją wpajał. Stał się moralnym, innych bowiem przed sobą nie miał wzorów, tylko

staropolskiej cnoty, szlachetności i we wszystkim ścisłej sprawiedliwości, dokładnego pełnienia swoich obowiązków. Dobrym nauczył się być obywatelem, przysłuchując się poważnym radnych panów rozmowóm, przejmując się tem, które ich ożywiało uczuciem; poszanowania dla tronu, przywiązania dla świętej króla osoby, miłością ojczyzny: dla krórej oni tak chętnie poświęcali dostatki i życie. Tu się oswajał młodzieniec z dawnemi kraju swego i innych państw dziejami, poznawał obecny stan rzeczy i kształt rządu, słysząc o tém codziennie i czytając najlepszych swoich i obcych pisarzy, w których dom każdy obfitował. Po dworach mnożyły się kopie najważniejszych rękopisów historycznych i politycznych: owe kroniki, kanclerskie akta Tomickiego i t. p. w wypadki i wzory, w styl i wymowę zamożne. Młodzież je przepisywała, obeznając się tym sposobem ze wszystkim, co jój wiedzieć należało, co i w dalszém życiu przydatném być mogło. Później upowszechniały się po dworach książki drukowane, z których korzystano wiele. Nigdy słowa nieprzystojnego nie usłyszał dworzanin i nic naganego nie ujrzał. Pan, pani, wszystkie osoby rodziny, wszyscy starsi, przybywający wszyscy, byli dla nich wzorem patryarchalnej prostoty z prawdziwą godnością złączonéj; jeśli trudnej może do zupełnego jój dosięgnięcia, do naśladowania zawsze przyjemnej. Jacy w najświetniejszej i najchlubniejszej epoce byli senatorowie u Rzymian, takimi byli panowie nasi i pomnieli, że dla młodzieży dworskiej, dla przyszłych kraju swego obywateli, powinni być przykładem, nauką. Do prawideł tak słodko, w tak pociągają-

cym sposobie, tak nieznacznie udzielanych, łączyła się wprawa: to przez używanie zdatniejszych do pism wszelkich, przez polecenia ważne, które tak szczęśliwi byli odbierać; a co do wojennój służby, przez ciągłe na dworach ćwiczenie się w rycerskim rzemiośle, gdzie przewodnikami bywali sławą okryci na turniejach i w licznych krajach mężowie; przez udział nakoniec osobisty w wyprawach przeciwko nieprzyjacielom. Takich dworzan wystawia nam Górnicki; takimi byli dworzanie królów naszych, książąt litewskich, Zbigniewa z Oleśnicy, Drzewieckiego, Tomickiego, Samuela Maciejowskiego, Hozyusza, Kromera, sławnego Tarnowskiego i Jana Zamojskiego, taka była epoka mniej więcej, aż do zgonu Stefana Batorego.

Lecz kiedy elekcyę królów, a z tą zgubną swobodą wzrastająca można-władzców duma, sprawiała, że z monarchą samym, że pomiędzy sobą poczeli iść w zapasy, dobijać się przewagi, zapominać o kraju, sobą i swemi tylko zajmować się widoki, a przynajmniej w sobie, swój rodzinie, swém znaczeniu, w ramieniu swém widzieć jedynie chcieli moc, dobro i potęgę kraju, jak było zacząwszy od wstępu na tron Zygmunta III, aż do końca dni zwycięzcy pod Wiedniem: dwory inną zaczęły przybierać postać, zyskiwały na liczbie, okazałości, na powierzchownej wystawie; co nam dowodzą wszelkie opisy, wjazdy posłów, orientalnym trącające przepychem i wspaniałością, jak pamiętny wjazd Ossolińskiego do Rzymu, każdego z wielkich posłów, i nieco późniejszy, tu wszakże mogący należeć w poselstwie do Turek Chomentowskiego, poszczególniony, jak następuje:

W tym i pan wsiadł na konia wkoło opasany,
 Młodszymi w cudzoziemskiej liberyi dworzany,
 Szli bieguni, szli pазie, karli i lokaje,
 Pachoły w srebrze cali, i jaką te kraje
 Swych herbów modą noszą; do wzrostu przybrana
 W aksamicie czerwonym, młódź szła koło pana.
 Na ostatek kommunik z przybraną czeladzi,
 Przypatrzeć się publice, choć pieszo szli, radzi.

Po dworach niknęły starożytne cnoty, zamiłowanie ogólnego dobra kraju, tworzyły się stronnictwa i dworzanie każdy tracił z oczu króla, ojczyznę, widział tylko Zebrzydowski, Radziwiłła, Jerzego Lubomirskiego; ich wielkości dziwił się i ślepem stawał się narzędziem, niebacznym służalcem, dzielił zatargi możnych, nieczne złych, błędne cnotliwych nawet i zapamiętał wspierał zamysły.

Prócz odwagi coraz mniejbys w nich dostrzegł prawdziwych cnot obywatelskich. Złe dochodziło, im dalej tém wyższego stopnia, często więc i słuszne są na dwory skargi, jako to w przysłowiu znaném powszechnie: „Cnota i pokora nie ma miejsca u dwora.”

Za Augustów dwory skazyły się całkowicie, już do nich przystosować można, co Włodek powiada, malując dworzanie i dworskie niewiasty, że to są: zęborki, okoleki, lekaroby, krawczywiaty, biegusy, pasibrzuchy, darmożady, piecuchy, bałamuty, świerzopki i świegoty, którym język jak na kołowrocie biega, storzypiętki, którzy półmiski u dworu oblizując i rozmowom pań u dworu przysłuchując się, różnemi wiadomościami język sobie pomazali i tém pomiędzy czela-

dział szermują i prostych nauką swą omamiają, swizdrygały, trzpioty.

Przebiegając dzieła i ulotne pisma z dawnych czasów, znajdujemy mnóstwo śladów hojności, zamożności, a nawet szalonej rozrzutności ówczesnych panów i biskupów. Utrzymywali liczne dwory, wojsko nadworne, wyprawiali biesiady, rozdawali hojne podarunki. Skąd na to wszystko starczyło w kraju rolniczym, nie przemysłowym, nie handlowym? Zdaje się przy tém że te wydatki możnych nie były skutkiem powszechnéj nędzy i nagromadzania się pieniędzy w ręce kilkudziesięciu osób. Bo i miasta były ludne i przemysłowe, i wieśniacy lepiej żywieni i odziani jak teraz. Pokój trwający bez przerwy lat dwieście i zakup naszego zboża i lnu do krajów zachodnich, zakłóconych wojnami, był jak się zdaje źródłem téj pomyślności powszechnéj.

Poselstwa.

Poselstwo do zagranicznych dworów odprawiali nasi Panowie kosztem własnym i z niezmiernym przepychem. Mamy opisy poselstwa księcia Zbarawskiego do Stambułu, Ossolińskiego Jerzego do Rzymu, Chomentowskiego także do Turcyi.

Przy wjeździe księcia Zbarawskiego szły piesze węgierskie chorągwie, ładownych 100 wozów z herbami Zbaraskich, dworscy, lekkiej jazdy chorągwie, 10 na wybór młodzieży błyszczących kamieniami i złotem; rzędy ich perłowe, haftowane czapraki; z pod gardł końskich zwieszały

się buńczuki, pryskała piana z złotych zakrzywianych czanek (górną część musztuka); za nimi postępowali krewni i synowie przyjaciół, w aksamitach szytych złotem i srebrem. Poseł jechał na dzielnym koniu w złotolitej sukni, tkwiła u kółka wysoka kita w pięknym dyamentowym spięciu. Sześciu dorodnych hajduków w aksamitnych germakach wstrzymywało żywość rwącego się dzianeta. Za nim 20 pacholąt w czerkieskim ubiorze niosło hełmy, paizę, sajdaki. Dalej 50 młodzieży w deliach rumelskich u tych z złotych tafek zwieszały się dyarbeckie łuki. Chorągiew petyhorców, sto sług książęcych w jedwabiu, 40 strzelców nadwornych na koniach, u nich pióra strusie i srebrne kanki, brzące u łuków srebrne pierścienie.

Poselstwo wielkie do Turek Chomentowskiego, za Augusta II, tak skreślone: „Zna koń że posła niesie, złotym igrą munsztukiem — aby przed panem, gdy jedna za drugą szły chorągwie, skinął buzdyganem.” Orszak poselski był 700 ludzi, jak wyszli z Polski.

Zbaraski 5 soroków soboli ofiarował Wezyrowi, zegar moguncki, w szkatule indyjskich 1000 koronatów. Dzaud-Barzy, w jaspisowem puzdrze 8 flasz srebrnych, w nich kamforę i wyborne soki, zegar także i 4 soroki soboli. Adze Janczarów zwierciadło duże w bursztynowych ramach, podobnyż serwis. Muftemu w szkatułce weneckiej z piany morskiej drogie wonie, paciórki z lapis-lazuli, szubę sobolą i zegarek w jasny kryształ oprawny. Koniuszemu Sultana dwie janczarek w hebanowych oprawach, smycz hartów podolskich z obrożami złotymi. Podskarbiemu tu-

lub moskiewski od cara Dymitra niegdyś darowany, sorok soboli i zegar oprawny w złotopiórój papudze; ta gdy powiewała skrzydłami, były godziny i kwadrans. Dowódcy spahów 2 złote puchary, zegarek oprawny w jaspis zielony, szubę złotolitą z rysiami. Kizlar Adze dozorczy kobiet, bursztynowe szachy, 2 tace złote do słodyczy, 2 kubki do kawy i do sorbetów. Hali Baszy admirałowi, piękne marmurki, 3 futra sobole, nalewkę i miednicę z białego bursztynu, kompas morski cudnie oprawny. Sędziakom i innym dworskim po soroku soboli, zegarki, naczynia srebrne i złote. Sułtance, duże zwierciadło w bursztynowych ramach, srebrny organ wydający najprzyjemniejsze tony. W pokojach sułtańskich komnaty wszystkie potrząśnięte były liściem różaném, liliami i innemi kwiatami wonnemi. Dary te były dla sułtana: wielka szkatułka srebrna auszpurgska, w niej od złota i srebra naczynia rozmaite; druga z bursztynu ryte na niej Dryada i inne morskie boginie, dwie ogromne kolumny z hakami do zawieszenia cesarskich łuków i saj-daków, potężne zwierciadło w srebrnolitych ramach, zegar wielki pozłacany wyrażający zodyak i bieg planet; w nim ułożone cymbały wydawały najmilsze dźwięki. Janczarów było 50, a każdy niósł po soroku soboli, albo kosztownych marmurków: były dalej ogromne brytany łamiące niedzwiedzie i dziki, białozory mające na głowie złotem haftowane hełmy, strzygące piórami jak gdyby na zórawia już godziły, wyżyły rzadkiej urody, na złotych smyczach, w złotolitych obrazach. Nowemu Wezyrowi dał poseł dwie szuby sobolowe i szkatułkę bursztynową w której 1000 koronatów. Ten

Wezyr przy rozstaniu dał księżęciu konia za 10000 dukatów u jednego Baszy przez posła targowanego, z bogatém siedzeniem i baryłę najprzedniejszego balsamu. Książę zdjął z palca kosztowny pierścień i ten ofiarował nawzajem. Wezyr dał jeszcze posłowi zegarek i przepyszny kaftan. Książę sobolową ferezyą swoje darował sekretarzowi Wezyra.

Dowody siły.

Znajdujemy dowody nadzwyczajnej siły w dawnych czasach, i tak:

Stanisław Ciołek, brat wojewody mazowieckiego dzieckiem jeszcze będąc, po jednym równiekiem na ręce piastował; dorosłszy, drzewo którego 20 ludzi niemogło podnieść, sam do młyna zaniósł i dzwon od 40 ludzi nie podniesiony, na wieżę wciągnął, dwie podkowy razem złożone łamał, szabel 12 związanych za końce wzięwszy jedną ręką z ziemi podniósł. O nim te jeszcze znajdują się szczegóły w rękopiśmie zamojskim: miecz jak powróż skręcał, węgiel w łaźni i ścianę wywalił, kadź wodą napełnioną do góry dnem wywracał, noże wielkie i grosze 2 palcami łamał, z drzewa surowego kiedy je ścisnął, sok pociekł, łyka bartników zrywał jak nici, kusze najtęższe samemi tylko rękami i nogami bez pomocy narzędzi wszelkich naciągał, z koła krótką szablą oznaczonego 12 ludzi sznurami nie mogło go ściągnąć; on szarpnąwszy nagle, sznury potargał, ludzi powyrwacał. Podczas wesela króla Kazimierza w Pradze z czeską wdową z Bogatna (Rokiczana) czecha silnego, chcące-

go go udusić, tak ścisnął, że ducha wyzionął. Umarł 1356 r. kiedy Tatarzy Włodzimierz opanowali, będąc od króla Kazimierza posłany opanować ten zamek.

Lacki Teodor pisarz polny za Zygmunta III zwiedził całą Europę, nadzwyczajnej siły w Malcie, Wenecyi i innych miejscach dał dowody, linę grubą od razu zrywał, kilku trzymających się ludzi ściśle jedną ręką od razu obalał, powóz poszóstny z góry rozpędzony, za koło porwawszy jedną ręką wstrzymał; dąbka byleby mógł objąć ręką, z korzeniem z ziemi wyrywał, dzikiego wołu schwywszy za rogi, rzucał nim o ziemię i kark mu ukrecał, chłopą stojącego nosił na dłoni. Taką miał przytém zręczność, iż oparłszy się o ścianę, potykał się z kilku osobami razem, tak ciął, że równego mu niebyło.

IV.

GRY I ZABAWY.

Wspomniemy teraz o zabawach i grach dawnych, dziś już prawie wyszłych z użycia.

Między zabawami ludowymi zasługują na wzmiankę konik Zwierzyniecki i Król Kurkowy. W oktawę Bożego Ciała w Krakowie, po ukończeniu processyi, wyjeżdza od strony Zwierzynca, człowiek po tatarsku ubrany w zawoju i złotych butach, z wielką buławą w rękę: niby na posuwistym rumaku lecz w rzeczy samój pieszo na drewnianym koniu, wspaniale przystrojonym, przy odgłosie muzyki trąb i kołtów. Rzuca się w to miejsce, gdzie jest największa gromada ludzi, a z tego powstaje ścisk, wrzawa i śmiechy. Po tém łączy się ze zgromadzeniem Włoczków, to jest flisów krakowskich trudniących się spławem drzewa na Wiśle, i zwykle taki jezdziec do ich cechu należy.

Jak wieść powszechna niesie, jak lud prosty utrzymuje, co i z historią zgadza się, około r. 1281, gdy Leszek Czarny panował, Tatarzy, po trzeci raz grasując w Polsce, aż pod sam Kraków podsunęli się, który już za Bolesława Wstydliwego dwakroć ogniem i mieczem pustoszyli. Wła-

śnie pod czas processyi Bożego Ciała, dano znać do miasta, że znaczny oddział téj hordy popełnia gwałty i rabunki na przedmieściach Zwierzyńca. Chwilowa trwoga ogarnęła umysły ludu; płacz i narzekanie kobiet, starców i dzieci rozległo się na około; myślano już zdać się na litość krwawych najeźdców, których pożoga i mordy, były jedynym hasłem, gdy w zdolnych do boju nawet zachwiało się męstwo. W tém jeden z pomiędzy Włoczków zwierzynieckich zagrzany odwagą bohatera, porywa za chorągiew, której dotąd jest godłem orzeł biały, i krzyknąwszy na swoich: „Za mną bracia! uderzmy na tych zbójców! gińmy, a nie-
dozwolmy im bezkarnie nachodzić ziemi naszéj!” obudza powszechny zapał, i na czele uzbrojonego ludu pospiesza na zwierzyniec. W kilku godzinach zasłano trupami nieprzyjaciół nadbrzeża Wisły, która się krwią ich zarumieniła; a waleczny dowódca, przystrojony od ludu w ubiór zabitego naczelnika pohańców, z tryumfem prowadzony do miasta, witany był z okrzykami radości, w tém samym prawie miejscu, przy wiślnéj niegdyś bramie, w którem się dzisiaj łączy z powracającą z processyi Włoczków chorągwią.

Dla wprawy do odpierania najeźdźców nieprzyjacielskich, była w Krakowie szkoła strzelecka. Od niepamiętnych czasów istniała, aż do ostatniego rozbioru Polski; ćwiczyła się w niéj młodzież pierwiastkowo do strzelania z łuków, kusz i t. p. narzędzi, a za wynalazkiem broni ognistéj z rusznic. Od władców Polski mieli nadane sobie przywileje, a król kurkowy pewne zaszczyty i swobody. Magistrat krakowski rozmaite przepisy udzielał dla tego stowarzyszenia.

W ustawach tych i urządzeniach zastrzeżono spokojność na zebraniu, porządek w strzelaniu do celu, to jest do kurka drewnianego, którego zbić należało, oraz nagrody dla wygrywających. W tydzień po oktawie Bożego Ciała, było główne strzelanie; kto ubił kurka, zostawał *królem kurkowym*, na cały rok wolny był od wszelkich podatków przez ten przeciąg czasu, i dostawał za nagrodę tak zwany klejnot, czyli sześć łokci *Purpuryanu*, to jest cienkiego sukna karmazynowego. Miejsce popisu zwało się Celestat, przy bramie niegdyś mikołajewskiej. Król kurkowy był oprócz tego wolny od ceł za sprowadzanie wina i innych towarów, co potem zamieniono na wynagrodzenie pieniężne 3000 złó. Skoro tylko obwołano króla kurkowego, powstały liczne okrzyki tryumfu, i natychmiast do domu obywatela, którego spotkał ten zaszczyt, wysłano straż honorową z wojska narodowego, która pilnowała porządku i nie dopuszczała natłoku gromadzącego się pospólstwa.

Ten, kto przed królem strzelał ostatni, to jest przed tym który do reszty ubił kurka: mianowany był marszałkiem dworu i nioś przed nim laskę marszałkowską czyli buławę.

Król dawał ucztę dla strzelców podług swojej woli; dla dwónastu zaś mężów i dyrektora bractwa, wyznaczana była ustawą pewna ilość garncy wina, miodu, pierników i potraw.

Wczasie strzelania do kurka, w osobnych na to izbach przy Celestacie, mnóstwo ciekawych zabawiało się w rozmaite gry; lecz nie o stawki pieniężne, tylko o miód, pierniki i orzechy. Wygrywający natychmiast spijał, lub zajał, za przyszłego króla zdrowie.

Cały Celestat, ganki, schody, przysionek gmachu strzeleckiego, zdobione były trofeami dawnych zwycięzców, to jest postrzelanemi tarczami, szczątkami kogutów zбитych, bronią szkoły gustownie ustawioną, klejnotami pańskimi, tudzież wotami srebrnemi i złotemi, które królowie kurkowi na wstępie rocznym panowania, w ofierze składać musieli.

Za czasów przebywania królów polskich w Krakowie, cała rodzina królewska, dwór, senatorowie i pierwsi urzędnicy państwa, z żonami bywali na tych obrzędach obecnemi i hojnie ich raczono.

W dzień obrzędu głównej uroczystości strzelectwa, wszystkie cechy z chorągwiami zeszły się na mszą śpiewaną do P. Maryi, w godzinach rannych, mając na czele dyrektora szkoły i 12 jej wybranych mężów. Po odbyciu religijnej ofiary i odśpiewaniu *Veni Creator*, cała parada wyszła z muzyką i kotłami, przy huku z dział i mozdzierzy ulicą mikołajewską do Celestatu.

Przodem (za dawnych czasów) biegli w strojach tureckich, perskich i tatarskich, tak zwani kozernicy, czyli lekka strzelba; którzy skakali, wyśpiewywali, krzyczeli różnemi głosy. Pewien staruszek 80 letni, zachował jeszcze w pamięci od swego dziada następującą piosenkę, która jak mówił, z czasów Zygmuntofskich ma pochodzić.

Piosnka braci kurkowych

śpiewana jeszcze za Augusta II w Krakowie.

Strofa I.

A dalejże kozernicy
Krześcic kurki u rusznicy,

Który postrzeli koguta
 Temu zabrzmi wdzięczna nuta;
 A kto kurka zbije
 Vivat król, niech żyje!

Strofa II.

A dalejże kozernicy,
 Wsypcie prochu do rusznicy
 Niech będzie suchy, siarczysty,
 Posuwisty i strzelnisty;
 A kto kurka zbije
 Vivat król niech żyje!

Strofa III.

A dalejże kozernicy
 Wbijcie kulkę do rusznicy
 Niechaj będzie okrągłuchna,
 Smagła jak weselna druchna;
 A kto kurka zbije
 Vivat król, niech żyje.

Strofa IV.

A dalejże kozernicy
 Wprawiajcież się do rusznicy,
 A gdy przyjdzie czubić Turka
 Popamięta pies na kurka
 Bóg da!.. te bestyje
 Król kurkowy zbije! i t. d.

Daléj postępowały cechy podług starszeństwa, otaczające bractwa kurkowe, za którem szli strzelcy poprzedzający samego króla, niosącego na piersiach, na srebrnym wielkim łańcuchu, kurka w złotéj koronie, którego miał dnia tego

zdać swojemu następcy. W końcu parady postępowały pojazdy sześciokonne panów polskich i urzędników krajowych.

Jak tylko kozernicy mający na czele cylarza, czyli Malika, ubranego po turecku, bogatego od złota, srebra, pereł i koralu, zbliżali się przed Celestat, uderzono znowu z dział i z mozdierzy, ogłaszając nijako bezkrolewie na kilka godzin; podczas którego senat złożony z starszyny zabrał miejsca, dla dawania wyroków o sprawności, ubiegających się o przyszłoroczne berło. Dachy, dymniki, okna pobliskich domów, całe podwala, począwszy od mikołajewskiej bramy aż do floryańskiej, napelnione były tłumami widzów, a skoro już ów kurek, wytrzymałszy tysięczne strzały, został nakoniec zbity; dano po trzeci raz ognia z dział i trębacz na wieży P. Maryi ogłosił mieszkańcom Krakowa imię nowego króla.

Tu dopiero król dawny zdał następcy swojemu znak piastowanej godności, to jest: zawdziął mu na szyję łańcuch z kurkiem, wypił za jego zdrowie puhar starego miodu, a dawny marszałek nowemu wręczył buławę. Okrzyki: „Niech żyje król” rozlegały się do koła i znowu cała parada ruszyła porządkiem w miasto, prowadząc N. Pana do domu, gdzie przyjmował magistrat i zgromadzenie strzeleckie hojną zwykle biesiadą. Kurek srebrny zostawał u króla rok cały.

Rząd Austryacki zniósł te sławną od wieków szkołę strzelecką i dotąd zostaje ona obumarłą. Ostatnim królem kurkowym był Stanisław Piątkowski, a zacny obywatel tutejszy Wojciech Bartynowski, który w ostatnich czasach był

starszym bractwa, zachowuje u siebie jego pamiątki, to jest: przywileje, kurka srebrnego, laskę marszałkowską i sztuciec Oraciewicza pasamonika krakowskiego.

Król pasterzy: W Kujawach ten jest obyczaj, że kto w dniu Zielonych Świątek, na miejsce umówione przypędzi bydło najwcześniej, jeśli pasterz, królem zostaje, gdy pasterka, otrzymuje dostojność królowej; kto zaś ostatni przypędzi, sam przez trzy dni, dopilnowaniem i pasieniem bydła zajmować się musi, kiedy młodzież cała oddaje się zabawom. Łatwo sobie wyobrazić, jakie tu zabiegi, ażeby wstać najranięj, jakie przygotowania, jaka radość; dzień cały albowiem poświęcony zabawie, uczcie, zapowrotem do wsi, nowa ich czeka uciecha, którą zwykle i gromada cała dzieli. Wolno im wtenczas powierzone sobie doić krowy, używać ile chcą mleka. Przynosi każdy coś z sobą do wspólnej biesiady. Tém większa ich radość, jeśli ta uroczystość na pierwszy dzień Maja przypada, śnać pierwiastkowo, przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa, do tego dnia była przywiązaną. Biorą z sobą świąteczną odzież w którą się ubierają tam na miejscu. Jeśli dwóch, lub trzech pasterzy razem się zchodzi, albo pasterek, trudność powstaje, komuby przyznać pierwszeństwo, kogoby królem, albo kogo królową mianować: oba te dostojeństwa albowiem konieczne potrzebne; kto pierwszy do naznaczonej dobieży mety, temu ją przyznają. Żeby wszelką wątpliwość usunąć i najściślejszy sprawiedliwości zachować wymiar, drogę przebiegać mianą, oznaczają kołeczkami, zakreślają początek jój, u mety z wieńcem stawia król, lub królowa, zgodnie

przyznany, albo przeszłorocznym dostojnym władcy; świadkami i sędziami, razem są wszyscy zebrani. Po obu stronach stoją ubiegający się, jeden drugiemu przeszkadzać niepowinien, ani żadnej popełniać zdrady.

Już tedy powszechna zgoda wyrzekła, kto królem, kto królową; znoszą im wszyscy podarki: królowi kwiaty i pióra, królowej wstążki i pierścienie. Monarcha odstępować kwiatów z nim panować mającym; dziewczęta je chwytają, co rychlej z nich robią wieńce, dla króla i królowej przeznaczone, dla siebie i chłopców bukiety, stroją kwiatami krzyż przyległy, posąg lub obraz świętego; zwykle bowiem wtenczas przy takim miejscu zbierać się radzi. Gdy się pleć piękna tém zajmuje, król uwieńczony ręką swą królowej, urzędników mianuje, marszałka dworu, kucharza; oznacza tych którzy drow przysposobić, wody przynieść, którzy im w zatrudnieniach pomagać mają. Każdy im przynosi swój zapas i powierza go chętnie. Inni tym czasem otaczają króla i królowę, zasiadają w cieniu, naśmiewają się trochę z opieszalego, to pocieszają go znowu, bawią się rozmową, powiastkami; gry, śpiewki i żarty wesołości dodają. Tak schodzą ranne chwile; zbliża się południe, staraniem kucharza i jego czeladzi, już się dowarza obiad smakowity; za marszałka skinieniem już na darninie zasłane długie obrusy chleb pokrajany, postawiane skopce z wodą zdrojową i mlekiem świeżym, innych bowiem trunków niewolno pić wtenczas. Gdy kurzące się misy w całej długości stanęły, bazona, (rodzaj trąby, czy fujary) przyzywa do uczy pasterzy i pasterki. Królowej i królowi pierwsze miejsca przy-

należą, bliższe ich urzędnikom z parami jakie sobie dobiórą; sadowią się inni potem, jak mogą; ostatecznie temu, co się opóźnił; przeto głodniejszym on nie będzie, chociaż ciągle żarcików bywa przedmiotem. Każdy ma swą łyżkę, jedzą wspólnie z bliższej misy, chleb jest talerzem, noży udzielają sobie nawzajem. Pokarmem ich zwykle wtenczas kasza z mlekiem, perki czyli kartofle, kluski i gęsi, albo inne mięsiwo. Gdy się uraczyli, spoczywają, a kucharz i pomocnicy jego tudzież marszałka, sprzęt wszelki gromadzą i oczyszczają.

Już się ku wieczorowi zabiera; stroją się wszyscy w świąteczną odzież; na miejsce zwiedłych nowe zrobiono wieńce i bukiety nowe; dobrano i muzykę, jaka się pomiędzy nimi znaleźć może, biegłych na piszczałkach, fujarze, bazonie. Trzoda pozostanie na paszy, jednego z niej tylko wyszukano wołu okazalszego, całkiem go okręcają i obszywają w płótno, rogi ubierają w kwiaty; nie pozna go pewnie gospodarz i wykupić się musi. Rozpoczyna się pochód tryumfalny.

Marszałek na czele, ręcznik przez siebie zawiesił; pistolet za pasem, bicz ma w ręku, za nim 12 pasterzy z biczami; pierwsza śpiewaczka, dwanaście za nią, koszyki z kwiatami w ręku mając, wólu prowadzą; królowa którą dwie dziewczki pod ręce utrzymują; król dwóch najstarszych pasterzy obok siebie mając i jeszcze dwónastu pastuszków z biczykami. Podewsią marszałek strzela z pistoletu; zaczyna się trzask z biczów, śpiewy to na przemiany, to razem; dziewczęta rzucają kwiaty pod nogi królowej. Z taką wesołością przy odgłosie muzyki, wszędzie przez gospoda-

rzów i gospodynie witani, stają przed sołtysem; tu wysypuje się grono dziewcząt z podarkami, tu nadbiega ludność wsi całej. Zgadują wołu, robią zakłady, isć mające na użytek pasterzy, po niejakim czasie odprowadzają to bydło do właściciela, który im datku nie szczędzi, sami z skrzypkiem i basetlistą spieszą do karczmy cieszyć się, odpocząć i pochulać przez trzy dni, to jedząc, to pijąc, to kujawiaka tańcząc; wieś cała przygląda się ich zabawom, dzieli je i podsyca, leniwy pastuch tymczasem z wiernych psów gromadą, sam bydła dopilnować musi; wieczorem dopiero na uczty przychodzi.

Kulig, Szlichtada. Tę ulubioną Polaków zabawę, to jest przejażdżkę zimową z rzadkim przepychem odbytą; dnia 20 stycznia 1695 r. w Warszawie, opisał Ludwik Klermont sekretarz królowej Maryi Kazimiry, Jana III małżonki. Wezwane znakomite osoby zjechały się do pałacu Daniłowiczów, gdzie później Biblioteka Załuskich była. O trzeciej z południa trębacze dali sygnał i cały orszak wyruszył, jak następuje: dwódziestu czterech Tatarów konno, ze służby królewicza Jakóba. Dziesięcioro sań po 4 konie jeden przed drugim, czyli jak zowią szydłem; na każdym sankach inna muzyka, to jest: żydzi z cymbałami, ukraińcy z teorbami, trębacze, fajfry, janczarowie zebrani z różnych dworów. Następowaly sanie, okryte perskimi kobiercami, albo lampartami, sobolami i różnymi drogiemi futrami. Konni było u każdym sań po cugu, strojnych w pióra, czuby, kokardy, kutasy, na każdym saniach państwo, po kilka osób płci obojój, a około sań, młodzież dworska konno.

Takich ekwipażów było sto siedm, trudno dać któremu z nich pierwszeństwo, bo wszystkie celowały doborem koni, kosztownością futer i liberyi, osobliwie hajduków. Nakoncu były sanki w kształcie Pegaza; siedziało w nich ośmiu młodzieńców, którzy rozrzucali wiersze, ułożone już dawniej przez Ustrzyckiego i Chrościńskiego. Zamykał tę paradę oddział drabantów. Wszyscy goście zajechali naprzód do dworu Sapieżyńskiego, potem do księżny Radziwiłłowej, siostry królewskiej, potem do Wojewody Potockiego, do młodego księcia Lubomirskiego, do pana kasztelana lubelskiego i do Ujazdowa. Gdzie tylko przybyli, zaraz gospodarz oddał klucz od piwnicy, a gospodyni od spiżarni. Każdemu z gości wolno było do uczęstowania brać wszystko podług woli. Wszędzie grała kapela: tańczono chwilkę i ruszano dalej. Ostatni zajazd był do Wilanowa, gdzie oboje królestwo Ichmość, byli gościom radzi z całego serca; częstowano wszystkich, a nawet służbę dworską; co trwało do późna. Cały orszak wracał przy pochodniach, których było ośmset.

Nie można się dziwić, że ta zabawa ludom północnym tak była upodobaną, ludom które piękną mają zimę, i dobrą w czasie tym drogę, na mrozy są wytrwałe, a obfitość zbiorów posiadając, gościnni przytem i lubiący wesołość; cały przeciąg czasu od świąt Bożego Narodzenia, aż do początku postu, uciechom poświęcali.

Były te zabawy nietylko w stolicy, lecz po całym kraju naszym, od niepamiętnych zapewne przed Sobieskim czasów. Trwały, pokąd jeszcze błogie za Stanisława Augusta

służyły chwile. Cała okolica, powiat cały, województwo i kraj, od jednego do drugiego końca w ruch były przywiezione. Układali szlichtadę, czyli kuligi i porządkowali; zwykle celniejsi z pomiędzy młodzieży, réj pośród niej wiódący. Do zmowy téj, nadania większego życia, przyjemności i delikatniejszego powabu, acz skrycie poniekąd, przykładaly się dziewczęta, czasem i matki, lubiące jeszcze pohulać; to dla siebie, to dla swoich. Rozpisaną była cała kolég, gdzie się mają zaczynać, gdzie jak długo trwać, gdzie kończyć nareszcie te uciechy ¹⁾.

Tak więc u przewódcy swojego zbierała się młodzież, przesadzając się na kształtny zaprząg, saneczki, dobrze ubranych ludzi. Muzyka była na zawołaniu. Ruszano w dom najpierwszy, gdzie dużo było dziewcząt, albo je sproszono, z powinszowaniem świąt szczęśliwych. Zmrokiem przyjechać kazał obyczaj; przy świetle kagańców i pochodni lskiły się brylantami, okolice całe i lasy nastrzępione śniegiem, lub srebrem oblane; skrzypiały przemykające się lekko sanice, odzywał się zdala tentent koni, jak gdyby szwadron jazdy był w pełnym pochodzie; brzęk dzwonek różnogłośnych i kólek nawieszanych, odgłos muzyki, w takt odzywające się trzaskania biczem zręcznych powozicieli, okrzyki wesołych już się dawały słyszeć, gdy tylko co na wieś wjeżdżali. Wybiegali kmiotki i całe ich rodziny, ze

¹⁾ Laskę z kulą u wierzchu odsyłano od domu do domu zwołując kulig. Od pomienionój buławy i nazwisko kuligu ma pochodzić.

snu oczucone, przypatrywać się z uśmiechem temu widokowi; wylatywały i odzywały się psy wszystkie całej wioski; z tak powiększającym się coraz szumem i hukiem, w otwartą wpadano bramę i zajeżdżano przed mieszkanie gospodarza. Wychodził na przeciw gości, witał uprzejmie, wprowadzał, gdzie czekała żona i dziewice już do tańca postrojone. Po wstępnych grzecznościach i pozdrowieniach, ożywiała się coraz bardziej rozmowa, częstowano ochoczo; ludziom i koniom rad był gospodarz i miejsca obmyślił. Zaczynały się tańce.

Przez okna niezawarte okiennicami, jaśniejącego od światła domu, zdala z początku, coraz bliżej potem, przypatrywały się dziewczęta i dzieci, przez starszych tulone, z wioski za kuligiem nadbiegłe; przerywano je coraz kielichami za zdrowie uprzejmego i łaskawego gospodarza, wymieniając zawsze jego dostojęństwo; za zdrowie rodziny to ogólnie, to częściowo, za zdrowie dobrych sąsiadów i gości miłych. Doczekano się tym sposobem, na gwałt przyrzędzonój, obfitej wieszczy, po której znowu następowały płaśy, śpiewy, do białego dnia nieraz, spoczynek utrudzonych nareszcie, bez wytworkności przyjęty, gdzie i jak można było. Tymczasem przysposobiono się do śniadania lub obiadu następnego; wybrano się nareszcie w podróż, bo trzeba było jechać z niemi: a jeśli gospodarz nie mógł, jechała przynajmniej żona z córkami, w dom drugi z kolei; tak wszędzie zabierając z sobą rodzinę u której gościli. Powiększał się kulig coraz bardziej, przybywało panien, mężatek, coraz więcej młodzieży, sanek, ochoty. Gdzie ma-

jętniejsi, bardziej uprzejmi, tam i kilka dni zabawiono, a chwile dniowe nabożeństwu z rana, wzajemnym po stancyi odwiedzinom, śniadaniu, obiadowi, rozmowom poufałym, śmiechom, żarcikom, i różnym grom społeczeńskim poświęcano; to obmyślano polowanie różnego rodzaju na grubego zwierzca, na ptastwo, jakie nas i zimą nie odstępuje, to połów ryb, a zabawom tym towarzyszyły niekiedy i kobiety śmielsze, lub śmiałemi nieodmawiającami prośb i grzecznemi okazać się chcące, albo zostawały z sobą i bawiły w domu z gospodynią, jej rodziną, niepolującemi mężczyznami: wyręczały właścicielkę w bawieniu gości, w trudach, w przysposobieniu wszelkiem z ujmującą ochotą i życzliwością lubą. Innym razem popisywano się nie bez chluby, przed osobami przybyłemi swoją stadniną, wierzchowemi końmi, bydelkiem, bronią, wszystkiemi co mogło bawić i zajmować; a wtenczas z ręcznie pochwalić i znawcą się okazać, było przyjemną rzeczą i wspólnem wszystkich staraniem, by utrzymywać wesołość, ażeby i goście byli zadowoleni i gospodarz uradowany i wdzięczny.

Tam imieniny, tu urodziny, tu inna jaka okoliczność była odwiedzenia chwilą i powodem; rozchodził się nareszcie odgłos zaczętej uciechy, ostrzegał sąsiadów że i do nich zawita ta swawolna gromada, do przysposobienia się, baczną gospodynię skłaniał. Któryż dom wreszcie obywatelski, u nas próżen był zapasów, do uraczenia mało wymagających najezdników, względnych na stan każdego, okazujących, i rzetelnie okazujących, że są najszcześliwsi z tak dobrego przyjęcia? Dług wzajemności, było wreszcie tylko, kiedy się na-

wzajem łącząc z gronem, chwil mile spędzonych i grzeczności doznawało się wszędzie. Posiadano niezbyt łatwą sztukę, jak ukołysać miłość własną, rozjaśnić zachmurzone czoło, radości udzielać i samym jój doznawać.

Dzielił te zabawy i kapłan i rycerz i poważny obywatel, i mąż sędziwy, a wszyscy byli weseli; wszelka chmurka znikwała tak łatwo przy dobrej woli, za wdaniem się osób zręcznych. Tu ostrzeżono wcześniej, tu wpadano znienacka, to w zwykłych, to w najstrojniejszych ubiorach, to w zręcznie dobranych maskach, a zawsze czyli to najwspanialszém, czy najskromniejszym ugoszczeniem, chętnie zadowolnili się goście. Jeśli przenikano, że gdzie coś brakować może, w najdelikatniejszy sposób ten zwierzyny, ten ryb nadesłał, lub trunków jakich, sanie wręście pełne były zapasów, które nieznacznie wpływały w ręce kucharzy, posługaczy, a przy odjeździe, domownicy byli obficie udarowani. Zachodziłali trudność w noclegu, karczma, folwark, dom proboszcza, organisty, kmiotków chałupy, obite wnet kobiercami, przystrojone, każdej rodzinie, każdej gromadzie dawały schronienie, albo noc całą strawiono na tańcach; ro-zjeżdżano się z rana.

Kto widział chociażby cień jeszcze tych zabaw, przyzna z rozrzewnieniem, jak ludzki, jak uprzejmy, gościnnie, dobroduszny był ten naród; rodzina to jedna zdawała się jakoby, weseląca się razem, używająca darów swój błogięj ziemi. Ta gromada, podobna do alpejskiej śnieżnicy, wzrastająca coraz bardziej, gdzie spadała, to dla tego jedynie, ażeby we-

sołość pomnożyć, starożytny obyczaj zachować, serca zbliżyć, wspólnych uciech doznawać, nie zaś klęski nanosić.

Łowy, polowanie, myśliwstwo. Szlachetna to zabawa, i lubili ją Polacy, a posiadając kraj zamożny w lasy, obfitujący we wszelką zwierzynę, z upodobaniem i zapałem oddawali się téj rozrywce. Na łowach zatwardziały się już i tak silne i krzepkie przodków naszych ciała, przywykali oni do niewygód, znojów i ostrój pory roku. Trafiając pociskiem rozjuszzonego żubra, dzika, niedźwiedzia, lub sarnę polotną, chyżego jelenia, łosia, skorego zająca, a nawet małego ptaszynę, wprawiali się, jak ugodzić w serce najezdніка, jak śmiertelny cios mu zadać.

Opisanie łowów w dawnych czasach, przechodziłoby zakres tego zarysu. Były wielkie knieje, a w nich mnóstwo rozmaitego zwierza; zamożne dwory posiadały mnóstwo myśliwych i psów; polowano z sokołem i jastrzębiem, ostawiano sieciami i parkanami; dziś już prawie nieznane było w powszechnym zwyczajaju. Monarchowie i wielcy panowie wyprawiali wspaniałe polowania, których opisy pozostały w ówczesnych pamiętnikach. Panujący, nadając majątki, wyłączali dla siebie prawo polowania na grubą zwierzynę, a przynajmniej na żubry i rysie. Z początku była kara śmierci na chłopów, jeżeli odważyli się polować; lecz ją zniesiono za Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Są opisy wszelkich łowów posuniętych aż do niesłychanego zbytku, i tak w roku 1761, kiedy Radziwiłł chciał uczcić monarchę swego sutem polowaniem, gdzie niegdyś były pola, stały lasy; zwierz mnogi z głębi Litwy przybył, jak gdyby czaro-

dziejską zaklętą mocą; przestrzeń cała między Szulcem i Ujazdowem na to wskazana, ogrodzoną została, a wszędzie polyskiwały herby właściciela i napisy rozmaite. Tysiące sań i koni sprowadzały zaproszonych i usłudze ich poświęcone osoby; zielona żelazna altana, gdzie są łaźienki dzisiaj, na wszystkie strony otwarta, od dzikiego zwierza kolczystymi rogatkami broniona, wewnątrz aksamitem zielonym wybita, spód krzyżakami wysłany mająca; dla króla, królewicza i przedniejszych osób wystawioną była; dla dam i kawalerów szedł amfiteatr z obu stron, a góry przyległe ciekawym ludem zupełnie były okryte. Za danym z rogów i trąb myśliwskich znakiem, puszczone 8 łosiów, 3 niedźwiedzi, 25 wilków, 23 dzików, psy wyuczone i kierujący nimi dojeżdźdźcy, zwierza napędzali przed altanę. Niepodobna opisać wrzawy, jaka się rozlegała po tej kniei cudownie wzrosłej, te rozliczne mnogich psów naszczekiwania, to zbliżone, to oddalone, odzywające się coraz, a coraz rozmaicie trąby, trzaskanie harapów, łamanie się chrustów, rzenie wyścigających się koni, zajadłość zwierza, ustawiczne strzały, przez echo powtarzane jeszcze, odgłosy myśliwych, trwoga i krzyki i radość niewiast, gdy co ujrzały, gdy kto luby sławą się okrył.

Nie raz, zapamiętałe oddawanie się tej namiętności, posuwano aż do smutnych ostateczności, które życiem całem oplakiwać musieli. Na polowaniach, które dla panów tylko miały być uciechą, dla niższych i podległych im trudem jedynie, łatwo sobie wyobrazić: że pierwszy strzał, wyłącznym ich był przywilejem, pokąd nie nasycili

się tą roskeszą. Niebaczny myśliwy, zdarzało się że pierwej od pana swego wystrzelił; pan zapalczywy tracił przytomność, strzelał do niego i słał go trupem. Zostawała niešťczęśliwą żona i dziatki; los ich opatrzył sownie; lecz męźa, lecz ojca wrócić im nie zdołał, i nie raz to z boleścią serca wyrzucał sobie.

Tu i owdzie w lasach litewskich mianowicie w Pińszczyźnie zdarzają się jeszcze nieco większe polowania.

Maski.

Maski, czyli tak zwani wówczas maskary, używane były często na weselach: Wybierano przedmiot, jaki wyobrazić chciano i stósownie do tego przebierano się, następował tych masek postęć tryumfalny, wśród zachwyconego podobnym widokiem ludu, tłumu dworzana i gości.

Na weselu Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana koronnego z Gryzeldą synowicą Stefana Batorego, na krakowskim rynku także widowisko było. Rozpoczął je Mikołaj Wolski, miecznik koronny po murzyńsku z poczem swym przebrany, jechał na wozie pozłocistym, z przodu panna kształtu pięknego, herbem Zamoyskich domu podparta, z tyłu orzeł biały w koronie z napisem greckim: „Stephanos.” Za panną szli męźowie po murzyńsku w pancerzach i wieńcach, za nimi słoń, na grzbiecie którego wieża, a z niej ognie sztuczne. *Welum* złote nieśli jadący na 3 wielbłądach murzyni, przygrywało ośmiu trębaczy. Mikołaj Zebrzydowski jechał na wozie, ciągnionym przez Dzień i Noc dwanaście dzieci wystawiających Godziny dnia, biało, dwa-

naście jako nocne Godziny w czarnych były ozdobach atłasowych szatach, z rozsianymi po nich złotymi gwiazdami. Pierwsze po prawej, drugie po lewej stronie łańcuszkami z sobą połączone zegarki miały na głowie: powoźnikiem był czas z zegarem podobnie. Sam Zebrzydowski wyrażał Saturna z siwą brodą, kosą w jednej ręce, z banią złotą w drugiej. Za tym wyjechał na plac Stanisław Miński, na wozie siedział Jowisz i Minerwa, trzymając gniazdo w którym był orzeł biały; powóz toczył się na kulach obłokiem z bawelny wyrobionym okryty, ciągnęło go trzy orły. Jowisz rzucał pioruny; nieszczęściem zapalił swój obłok i zaledwie bożek i bogini z wozu zdołali uciec; wszakże ogień zgaszono prędko. Wtém pokazał się na 4 sferach toczący się powóz; na każdej z tych sfer, były trzy znaki niebieskiego zodiaku, a na wozie Jowisz, ciągnęło go 4 satyrów. Za Jowiszem postępował rycerz w postaci Argunta, króla Beocyi, trzymając w lewej ręce tarczę, na której były dwa pola białe i żółte; w prawej ręce dzierżał dwa jabłka, to je ciskał i chwycił, to nogą w górę podbijał. Stanisław Żółkiewski, wojewoda bełzki, był pod postacią Dyanny myśliwej. Ubiór jego zielony; obok niego czternaście nimf wiodło charty, ogary i dwóch jeleni. Dalej naśladowanie tryumfu Stefana Batorego, przygotowane od książąt Słuckich. Wytoczono bramę tryumfalną okazałą ze stósownym napisem; przez nią postępowało kilkadziesiąt ludzi porządnie ubranych, trębacze, proporce, albo znaki wojenne, jazda z rotmistrzami swemi, na czele ich giermkowie, dalej przepyszna piechota z pozłocistemi szefeliny po staroświecku, i trzy wozy, na

których obrazy 3 letnich zwycięstw przebytych, rzek i t. d. następowały wozy, na których pancerze, zbroje, tarcze, oszczepy i inne bronie; dalej więźnie i niewiasta wystawiająca inflantską ziemię w wieńcu zielonym; potem szli mistrze obrzędów i ludzie porządek czyniący. Pokazał się nareszcie powóz tryumfalny najokazalszy i najwyższy ze wszystkich, przez cztery białe konie ciągniony, na przedzie orzeł biały i mąż na koniu z łukiem, za nim dziewica, w prawej ręce trzymająca wieniec, w lewej kłos, w tyle wozu trzy kopie przywiązane łańcuszkami, z których wychodził spory łańcuch; tym osoba wyobrażająca najznakomitszego więźnia przywiązana była, dalej mnóstwo niby znakomitych więźniów, między niemi postępowały białogłowy z lampami, z których osobliwie perfumy wychodziły, nakoniec szli muzycanci przybrani w wieńce. Po tym tryumfie pokazał się Joachim Osiecki, siedział na wozie sześciokonnym, ze skrzydłami jako Kupido, z kędzierzawą głową, zawiązanemi oczyma, sajdakiem na ramieniu, przy wozie szły młode chłopcy, śpiewając precudnie: z obu stron koło wozu świece lane gorzały, z których piękne pokazywały się fajerwerki. Cały ten pochód zamykał powóz Jana i Piotra Myszkowskich. Wyobrażał on konchę morską, ciągnioną przez dwóch wielorybów; z oczu i paszczy ich perfumy na lud cisnący się zewsząd tryskały. Na koniec siedziała cudnej urody pięknie ubrana dziewica, wyobrażająca Wenereę. Przed powozem postępowała muzyka pięknie i kosztownie ubrana. Za powozem jechali dwaj patronowie, trzymając jabłko złote z napisem: najpiękniejszej, (te potem hetman pannie młodej

oddał); za tymi szło dwunastu lokajów w czerwone, białe i niebieskie atłasy ubranych, nakoniec cztery konie powodne, w okazałych czaprakach, prowadzone przez cztery białogłowy kosztownie przybrane.

W Pińszczyźnie i innych stronach Litwy, za mojej pomnę młodości; pisze Łukasz Gołębiowski, że w dniu 1 tego miesiąca, na błoniu gdzie się lud zbiera do zabawy, drzewo zielone zakopywano, w różnofarbne wstążki ubrane. Przybywały dziewczęta, mężatki, chłopcy, i ludność cała, na czele mając hożą dziewicę, która tę boginią wyobrażała; wieniec zielony zdobił jej skronie, gałązki brzożowe, aż do stóp ją okrywały. Śpiewano piosnki, w których często się powtarzało: o Maja! Maja! i tańczowano w około drzewa. Pospolicie tę uroczystość obchodzą teraz na Zielone Świątki. Dziewkę przystrojoną ubierają w suknię kształt płaszcza mającą, uplecioną z samych gałązek brzożowych. Otoczywszy ją inne dziewczęta, chodzą po wsi, skaczą i śpiewają.

Muzyka dawna.

Był niegdyś używany w naszym języku wyraz, gędźba, gędzieć, gędziebny, gędać; zamiast wyrazów tych, które własnością są naszą, używamy dziś pochwyconych z obcego języka; muzzka, muzyk, muzyczny i t. p. Wtedy mówiono gędziebne naczynie, co teraz oddajemy wyrazem instrument muzyczny. Tak pisze Mączyński, podobnie i Krescencyusz na 269 str. powiada: z cyprysu bywają deski, z których czynią gędziebne naczynia. Mówiło się niegdyś gędzieć, zamiast grać. Rysiński o przysłowiaach powiada; sam sobie gęde,

sam wesół będę. Ślad tego pozostał jeszcze w wyrazach, gajda, gęśla.

Wyższe udoskonalenie i śmielsze niejako rozwinięcie muzyki dawniej w naszym kraju, zakreślić możemy od Zygmunta III, może nieco pierwej. Ten król w muzyce wielkie miał upodobanie. Z ruchunków Wołłowicza 1613 roku widzimy, że mieścił u dworu 3 trębaczy, 11 bębniistów; prócz tego zapewne kapela jego włoska: od 1596 kosztowała rocznie 12,000 szkodów.

Znajdujemy wzmiankę w najdawniejszych kronikarzach, że książęta i królowie nasi mieli upodobanie w muzyce i na nią znaczne koszta łożyli. Podobnie Biskupi, utrzymywali muzykę kościelną przy katedrach, a możni panowie, liczne orkiestry na dworach swoich.

W muzycznych zbiorach katedr, kollegiat, i opactw można wiele czerpać i dochodzić wiadomości o muzykach naszych, tak naprzykład tyniecki klasztor posiadał w tym rodzaju skarby, muzykę od czasów Kazimierza Wielkiego, (patrz Szczygielski Fenecia). Trzebaby śledzić opisy ślubów, pogrzebów, wjazdów i innych uroczystości, pamiętniki podróżujących, a nawet zarzucone kantyczki i kancyonały z nutami, a znalazłoby się niewątpliwie cokolwiek jeszcze nieznanych szczegółów.

Ubiór dawnych muzyków był następujący: u dworu Zygmunta Augusta, dla Sobka mistrza na organach, widzimy użyty: purpuryn, adamaszek i sztumel, wszystko zielonego koloru. Patrz rachunki za tego króla w rękopiśmie Działyńskiego. Chłopięta kapeli królewskiej za Zygmunta III

chodzili w falendyszu lazurowym, albo kirze, z sznurkami i pętlcami, w futrach lisich i błamach szlamowych, mieli kołpaki i pasy. Później w Krakowie zwyczajny ich ubiór był polski: żupan, kuntusz z rękawami zarzucanemi, pas na kontuszu i karabela przy boku. Nie mogli nosić uczniowie na wierzchu pasa, ani rękawów zarzuconych, ani oreża, aż dopiero po przypuszczeniu ich do grona artystów.

Instrumenta muzyczne dzielą się na strunowe i dęte, pierwsze są brzdąkane albo smyczkowe, dęte zaś albo metalowe albo drewniane, z dziurkami lub bez dziurek. Przejść tu wszystkie wypada, o których jakakolwiek jest wzmianka w pisarzach naszych, które widać, że były u nas używane.

Instrumenta strunowe brzdąkane. Bandura, bandurka, przerobiona to nazwa z włoskiego Pandora, gatunek lutni kozackiej, ukraińcom pospolitej, z krótką szyją, na której brzdąkaniem śpiewom towarzyszyć zwykli. Była i piosneczka do niej zastosowana.

Moja bandurka z samoho złota,
Kto na niej zahruje, bere ochota i t.d.

Bardon, lutnia, narzędzie bardzo dawne z strónami z kruscu, której głos w starożytności za najprzyjemniejszy był poczytany. Tak tłumacz Horacego, Kochanowski powiada:

Lutnia widz tańców i pieśni uczonych,
Lutnia ochłoda myśli utrapionych!
Ta serca miękczy swym głosem przyjemnym,
Bogom podziemnym.

Przy jój głosie poeci swe rymy śpiewali. Była i archilutnia, może dla wdzięczniejszego jedynie głosu tak nazwana.

Cytra, cytara, lira, narzędzie muzyczne, cythara zwane u Rzymian, gdy była większa, z greckiego lirą ją zwano, albo barbiton o siedmiu stronach miedzianych, najspodobniejsze do wydawania smutnych tonów.

Dremla, dromla, drumla, sabaudzka, węgierska, cygańska.

Teorban, bardziej udoskonalona bandurka.

Bałaabajka ruska i od naszych niegdyś kozaków do towarzyszenia śpiewom używana.

Skrzypce u nas przedtem nazzwane były giga. Nazwa giga zapewne wynikło z wyrazu gęga, gęda, gędba; z zło-wiańskiego gęga przeszło do niemieckiego gejga, a zniemieckiego znowu przetworzyło się u nas na giga, a nawet gajda. W naszym kraju od najdawniejszych czasów skrzypce są upowszechnione; nie było albowiem karczmy, która-by swego nie miała skrzypka, Są także od dawna znane u nas skrzypczki, zwane oktawką: takich najwięcej używają do grania z dudami.

Trudno dowiedzieć się w którym czasie i w jakim kościele, pierwszy raz w naszym kraju odezwały się organy; to pewna, że ich wprowadzenie, odległych zasięga wieków. Do organ należą: pozytywa, pozytywki, harmonijka, eoli-melodicon, kuranty, kuranciki, które pewną liczbę sztuk odgrywają, umieszczone będąc w zegarach, szafach, toaletkach i t. p.

Nieznane już, lub u ludu pozostałe tylko, lecz przez naszych pisarzy wspomniane, są następujące.

Cynek dęty instrument, czyli piszczałka podobna do kornetu.

Obyczaje.

Piszczele, lutniarskie piszczele, piszczałka jodłowa.

Surmy, gatunek piszczałek z wielkimi dziurami krzykliwych.

Dudy, zwane jeszcze kobzą lub kozą, narzędzie dawne i pospolite bardzo i teraz u ludu widzieć się daje. Dudziarz dmie w piszczałkę przyprawioną do skórzanego worka, który gniecie pod pachą, aby głosu i tonu dobył.

Kornet, narzędzie rogowe zakrzywione różnej wielkości, do głośnego trąbienia używane. Co w muzyce rogami sprawić można, dowodziła rogowa muzyka wydoskonalona w Rossyi. Grający na tém narzędziu kornecista, a robiący je rogownik był zwany. Wargocki i inni wspominają ten instrument.

Multanki, multanka, rodzaj dudy, mającej nazwisko od Mołdawii czyli Multan, skotopasy pospolicie jęj używali. Jest to bączek z przyprawami kilką, a najwięcej siedmiu piszczałkami.

Rodzaje muzyki. Muzyka podzieliła się na wieśniaczą, dworską czyli pokojową, kościelną i wojenną.

1. Wieśniacza obejmowała piosneczki i tańce, do nięj należały instrumenta: skrzypczki, drumla, piszczałki, dudy czyli koza, basy, cembaly. Na Rusi bandurka, bałabajka, multanki, w których celowali niektórzy jak powiedziano:

nad wszystkie multanki
Kiedy grasz Węda zabywając Ranki.

2. Dworska składała się z instrumentów smyczkowych i dętych w ilości znacznej: wygrywała symfonie, rotule (ro-

dzaj muzyki baletowej) różne tańce, a czasem towarzyszyła śpiewowi. Do pokojowej należały także, bandurka (pandora) lutnia, cytra, arfa, później gitara, klawikord, klawicymbał i t. p.

3. Muzyka kościelna w Polsce. Od najdawniejszych czasów była na wysokim stopniu doskonałości muzyka w rozmaitych kościołach i katedrach, jak świadczą archiwa. Było wiele kompozycji kościelnych narodowych, oczem przekonywają papiery ich przechowane. Pobożni przodkowie nasi, użycie muzyki do samych niejako religijnych obrzędów zastusować chcieli, zboczeniem poniekąd mniemając, poświęcenie jej światowym zabawom. Tak znajdujemy w Miaskowskiego zbiorze rytmów:

Przez ziemskie trąby, choć i złotem lite,
I bawołowy kornet i sowite
Pomorty, cytry, skrzypki, arfy krzywe,
Organy, lutnie i języki żywe;
Nadzieja jest w Bogu
Nie w wojennym rogu.

Chętnie udzielali możni swych muzyk na uroczystości religijne, przy zgonie całe swe muzyki odkazywali kościołom. Wolni muzykanci czyli uchowi, równie mszę niedzielną, świąteczną i odpustową, po wielu kościołach grywali darmo, częstowani za to.

Piękny był zwyczaj w Krakowie, o którym nas Caetani opisując swe poselstwo do Polski naucza. Przed brzaskiem zorzy cokolwiek, odzywa się ze wszystkich wież krakowskich kościelnych słodka muzyka fletów i innych dętych in-

strumentów, jutrzeńkę witając, a raczej Twórcę zorzy, słońca i wszech rzeczy. Wielu Polaków przed wschodem słońca wstaje, idą do kościoła modlić się, słuchać mszy świętej.

Wczasie uczyt jakiej wytworkniejszej, przygrywała muzyka, śpiewając i pieśni jakie na pochwałę gości i gospodarza, ulubione śpiewki stołowe, dając applauzy, gdy szły kolejne kielichy, co razem było hasłem odezwania się armat. Czyli to wieczor trawiono w domu, czy używano przechadzki, godzinę albo dwie brzmiała muzyka na sali lub w ogrodzie; gdy obmyślano podwieczorek w przyjemnej posiadzie jakiej, lub używano przejazdki po wodzie i tu na oddzielnym statku, lub w ukrytym gdzie miejscu odezwała się kapela wdzięcznie, a echo czyli raczej wolny pociąg spokojnego powietrza mile przedłużał jej tony. Muzyką na ganku lub tryumfalnej bramie, witano znakomitego i pożądanego wielce gościa; muzyka nieraz całą noc towarzyszyła wesółym tańcom i jeszcze odjeżdżających żegnała.

Jeżeli zmęczono się tańcem i odetchnąć chciano, lub przerwać zanadto zagęszczone kielichy poobjednią zajmujące porę, śpiew przyjemny zaczynały kobiety:

Jedna w tém która śmielsza słodkiem głosem zacznie,
To tego, to owego ruszywszy nieznacznie,
Oni zaś powtarzają za nią owe słowa,
Które śpiewa powoli gładka białogłowa.

Uzupełniamy tę wiadomość z pism Ł. Gołębiowskiego zebraną, wyjątkiem z najnowszego dzieła p. M. Karassowskiego, obejmującego pogląd na dzieje, teatru, opery, a zarazem i muzyki w Polsce; od najdawniejszych czasów.

Prócz instrumentów używanych pospolicie w owe czasy, z wprowadzeniem do kraju obcych muzyków, weszło z nimi i wiele innych, pomału zgubny wpływ na swojskie wywierających. Już w XVII wieku skrzypce i cymbały doszły pierwszeństwa. Gornicki wymaga, ażeby dworzanie jego, oprócz języków i pisma był muzykiem, iżby albo śpiewać albo grać na lutni umiał. A jak w inném miejscu tenże pisarz powiada (Rozmowa), młodź słano do Włoch dla uczenia się dobrego grania na tym instrumencie. Pokazuje się więc, iż Polacy lutnię nadzwyczajnie lubili, wszędzie też ją w historycznych wzmiankach spotkać można. Wespazyan Kochowski poeta z XVII wieku w swoich *Lirykach* wydanych 1674 r. tak ją opowiada:

Lutni moja ulubiona,
Lutni wdzięczna złoto strona,
Kto twe cnoty, kto przymioty,
Kto wychwali dźwięk twój złoty.

W połowie XV wieku mieszkało już na Kazimierzu w Krakowie wielu takich grajków, do których imiona dodają *Lutniści*. Widać, iż liczba muzyków w tém mieście musiała być znaczną, skoro stanowili osobny cech, a nawet posiadali jedną z bram Krakowskich jak inne cechy, nazwaną bramą Muzyków. W łada szlacheckim domku bywał trzymany bandurzysta lub do lutni węgrynek; a panowie oprócz tego utrzymywali na swoich dworach orkiestry, do których aż z Włoch sprowadzali muzyków, płacąc im rocznie niekiedy po 6,000 talarów.

Szanowna i poważna Akademia Krakowska, posiadała

w swym gronie nauczycieli i mistrzów do nauczania muzyki. Sebestyan z Fulsztyna inaczej Fulsztyńskim zwany, żyjący jeszcze za panowania Zygmunta Augusta, był może najuczestszym muzykiem jakim z dawnych czasów pochłubić się możemy.

Wychowaniec Herburtów, wszedłszy później do stanu duchownego, był następnie profesorem w Akademii Krakowskiej i tamże zajmując się głównie śpiewem horalnym, pisał wiele dzieł o sztuce muzycznej. Marcin ze Lwowa (Martinus Leopolda) zmarły 1589 r. uczeń wyż wspomnianego Sebestyana, był organistą i mistrzem nadwornej kapeli Zygmunta Augusta. O nim to wbrew swemu zwyczajowi, Starowolski obszerniej mówi w rozdziale LVI *in elogiiis Centum illustrium Poloniae Scriptorum*, gdzie między innymi pisze: że lubo wielu jego ziomków co się w Rzymie ćwiczyli, a nawet nowe instrumenta muzyczne wynaleźli, jako to: Krzysztof Kicker, Adam Warka i Mosiążek, pragnęli mu wyrównać, lecz żaden jednakże do téj sławy w Polsce nie przyszedł co Marcin, którego prócz domowej nauki pobieraną w Akademii Krakowskiej od Sebestyana Fulsztyńskiego, nie miał obcego nauczyciela. Tenże Starowolski w przypisku do tegoż żywota kładzie, iż najwięksi w Polsce kompozytorowie muzyki byli: Paligonus, Zleuscus, Krzysztof Kicker i Brandus Posnaniensis Soc. Jesu Teolog. Wacław z Szamotuł, znakomity muzyk z XVI wieku, był mistrzem kapeli Zygmunta Augusta; celował w kompozycjach kościelnych. Sławny nawet kronikarz Marcin Kromer urodzony 1512, zmarły 1589 r. biegłym był także

w muzyce, jak się pokazuje z rzadkiego dzieła: *Musica figurata, Martino Cromero Bieczensi auctore. Impressum Cracoviae per Hieronimum Victorem. A. D. 1534.* O wszystkich tych muzykach i wielu innych, historia krótkie i niedokładne czyni wzmianki, a ich dzieł ukazać nam nie może. W nielicznych u nas księgozbiorach prywatnych albo klasztornych, możeby się co znalazło, lecz przystęp do nich utrudniony rozmaitemi przeszkodami. W tym względzie ażeby przeszłość naszą muzyczną wyświęcić i stanowczo określić, pozostaje nam wiele do zrobienia. Dzięki Józefowi Cichoickiemu, o jednym z najznakomitszych z tamtęj epoki mistrzów o Mikołaju Gomółce, mamy nieco dokładniejszą wiadomość, gdyż Cichoicki w roku 1838 wydał 10 Psalmów Jana Kochanowskiego z liczby 150, do jakich Gomółka muzykę układał. *Melodye na Psalterz ofiarowane Jegomości Xiędzu Piotrowi Myszkowskiemu Biskupowi Krakowskiemu panu mnie miłościwemu, w Krakowie u Łazarzowój, roku pańskiego 1580.*

Gomółka musiał zapewne wiele innych dzieł pisać, bo po wydaniu owego Psalterza, żył jeszcze lat 29; lecz gdy natenczas nie było tak upowszechnione sztycharstwo nut jak dzisiaj, po upadku przy kościołach i klasztorach burs, czyli szkółek śpiewu a z temi i kościelną muzyki, w niepamięci zagięły. Niektórzy historycy datę urodzenia Mikołaja Gomółki kładą około roku 1564; w takim razie, miałby lat szesnaście gdy Psalterz swój drukował, co zdaje się rzeczą niepodobną do prawdy. Przypuszczać więc należy, iż kilkanaście lat wcześniej musiał przyjść na świat.

Współczesny Palerstyny, we włoszech także ucząc się muzyki, styl jego naśladował i niewiele w nauce mu ustępował; zmarł zaś w Chorawli gdzie był proboszczem w 1609 roku.

Za Zygmunta III, zaczęło się w wielu miejscach rozmnażać tak nazwane *bractwo literackie*, a szczególnie w Krakowskim i na Rusi Czerwonój. Stowarzyszenie to i inne *Roratystów*, którego ślady już w XIV wieku napotkać można, zawiązała pobożność; przypuszczano zaś do niego li tylko ludzi piśmiennych, umiejących czytać: *literati*, ztąd tak nazwane było. Bartłomiej Zimoricz lwowskiemu związkowi literatów dzieło swe: *Vilibus illustribus civitatis Leopoliensis* przypisując, tak o niem powiada: iż trwało za jego czasów bractwo to ku rozmnażaniu światła i pobożności; iż w tém gronie połączeni najznakomitsi obywatele dowodzili że razem dobrimi i uczonemi ludzmi być można. Oni zwłaszcza w zimie, wykonywali muzyczne na rozmaitych narzędziach ćwiczenia. Oni wyżsi nad ciemny lud pospolity, kształcili obyczaje współziomków, wspierali ojczyznę radami, miasto budowlami zdobili. W rękopiśmie Komonieckiego *Chronographia Żywca*, jest pod r. 1608, iż do tego miasteczka bractwa *literatów* wprowadzone było; a że nie inny był jego obowiązek, jak tylko aby w święta i niedziele msze ranne chorałem śpiewane były. Ten sam zwyczaj dotąd jest w Warszawie zachowany, i te msze literackimi zwane.

Tańce polskie pod względem muzyki.

Taniec polski, jak mniema Kurpiński w tygodniku muzycznym, nie zdaje się wynikać z tańca ludu prostego. Po-

ważny ów taniec, więcej do marszu tryumfalnego podobny, nie gminu lecz wyższych osób jest utworem, wziął on zapewne początek na dworze królów. Co do muzyki, czy nie powstała z hiszpańskiego Fondango, z którym wielkie w toku harmonii ma podobieństwo. Dawny styl jego przebija w pieśni:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Koleďować małemu.

powiada Karpiński i słusznie: przodkowie nasi albowiem tam z całym życiem swem jak i z zabawą łączyli religijność. W XVII wieku wspomniany taniec był jeszcze ulubiony. Muzyka tańca polskiego, obok marcyalnego rytmu ma w sobie słodycz i prostotę, przypominającą rycerstwo i wiejskość: jest poważną i wspaniałą, obok pewnej uroczystości, więcej jak inne tańce może mieć sztuki muzycznej, oryginalności w mierze i spadku.

Śpiewy historyczne narodowe.

Polacy mają śpiewy religijne i światowe, które są pamiątką znakomitych wypadków. Pieśni o Matce Boskiej Czeťochowskiej wzmiankują o Tatarach, Szwedach, morowem powietrzu i różnych utrapieniach: światowe niegdyś o Ludgardzie, Zawiszy czarnym, Witoldzie i Zygmuncie WW. książętach litewskich, później o kozakach, wodzach polskich, Janie III pod Wiedniem, o dobrych czasach za Sasów.

Omuzyce wieśniaczej i pieśniach upowszechnionych.

Muzykę wieśniaczą, to pod względem śpiewek w rozmaitych zdarzeniach używanych, to pod względem muzyki do tańca uważać należy. I płasom wszakże, u ludu zwłaszcza, śpiewki towarzyszyć zwykły. Nadto są upowszechnione w całej, że tak powiem, narodu polskiego massie, niektóre pieśni: czyli to przyjęte od ludu i po szczęśliwem przez narodowych rymotwórców naszych schwyceniu i przybraniu w świetniejszą szatę, wytworniejszy dyalekt, do wyższych przechodzące stanów; czyli jako utwór wznioślejszych społeczeństw lecz do powszechnego i niższych osób trafiający smaku, też same uczucia malujący, stopniowo z salonów złoćistych i do poziomój ulatujący strzechy; jak owe obłoczki letnie, niepodobne straszliwym chmurom, które z obcych i dalekich stron napływają miotane groźnym wichrem, lecz dobroczynne i ciche.

Okoliczna tylko wydała je ziemia, nasze tylko wyssało je słońce, a łagodnym i ledwie znacznym powiewem, naszych jakoby ust tchnieniem, to się lekko coraz bardziej w górę wznoszą, to własną poniekąd mocą niżej się coraz osuwają, i skwar zbytni mile chłodzą, orzeźwiają i rozweselają zarówno strojną dziewicę, jak ogorzałą lecz powabną wieśniaczkę. Śpiewek niemało przy opisie ludu różnych stron umieszczono, tu ogólne tylko rzucimy spostrzeżenia, w nióssek z tąd wyciągnięty, i główne stanowiący zarysy podamy, przydając i nasze nad tem uwagi.

U krakowiaków prosta wesołość i dziarskość maluje się

w ich muzyce i śpiewkach, z małym odcieniowaniem. Tanczone śpiewki krakowiaków na $\frac{2}{4}$ mają więcej rzutności, góralskie tegoż tempa nazywają z węgierska. Między Częstochową a Wieluniem, krakowszczyzna miesza się z wielkopolszczyzną, odtąd ku Grodziskowi nikną tańce na $\frac{2}{4}$, dają się tylko słyszeć tempa na 3. Wielkopolskie wieśniaki i nadgraniczni Szlązacy, nawet Niemcy, dwojaki mają tańiec, jeden powolny na $\frac{3}{4}$ podobny do Poloneza, ale z żywszym ruchem, drugi bardzo żywy na $\frac{3}{8}$ który zowią Mazurem; lecz nie jest to jeszcze prawdziwy styl Mazurka. Wieśniacy lubią coraz nowe piosneczki do tańcowania, podobnie jak świat wielki nową zawsze muzykę; u tamtych kto je komponuje, niewiadomo. Na weselu kmiotków, gdy pierwsza para w tańcu jest podeszłego wieku, muzyka gra dawnego tańca; lecz młoda para nie rada, kiedy jej nie zagrają nowszego. Wieśniacy powyższych okolic nietylko przy zabawie i tańcach lecz i przy najcięższej pracy śpiewają. Rolnik orze przyśpiewując bydłociu, dziewczka żnie, kopie, ścina trawę, nócąc tańiec z ostatniego święta, parobek ocierając pot z czoła intonuje: o da da da, da da da da; pastery grają na dutkach wierzbowych lub piszczałce za 3 grosze, często wykrzykując silnie, zwyczajne: u ho ho ho W skwarze żniwa, od rana ku wieczorowi, trwają chóry pieśni rozmaitych.

W lubelskim i ku Lwowu, żywość tonów stopniami wolnieje. Już tam niema tyle ruchu, nie śpiewają tak w polu, nie bawią się, dumają raczej. Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, mało tańców usłyszysz wesołych: jeśli mają dosyć ży-

wości, to przez nagłe skoki tonów do górnjej oktawy, lub wykrzyknienie tonu wysokiego i spadek raptem w ton dolny. Podolskie i Pobereżskie pieśni zbliżają się do serbskich i weselsze nieco, Wołyńskie i Rusi czerwonej do Krakowiaków, lecz smutniejsze. Śpiewy Ukraińców mężkie, swobodne i żywe, pełne obrazów, czucia, zapału, nadto znacjonują się spokojnem i religijnem poddaniem się opatrności.

Litewskie śpiewy znękanie i najuboższe co do harmonii. Zmudz ma piosnek mnóstwo, charakterem ich smutek, żal i pewna melancholia; te nawet, które miłostki opiewać zwykły, nie odstępują od tój cechy; to narzeka w nich śpiewający na srogość kochanki, albo nieużytość przeciwnego mu losu, to stawia obrazy nieszczęść, choroby, nędzy, niewoli, śmierci. Żałobna monotonia tych śpiewów, bardziej jeszcze smutek natęża.

Leon Rogalski w tygodniku wileńskim 8 str. 255 podał nam jeszcze pieśń Zmudzką swago tłumaczenia, która nam duch tój poezyi objawia:

Siedziała w borze sliczna dziewica,
 W warkocz splotała swe włosy,
 Łzy powiększały piękność jój lica,
 Z łkaniem łajała losy.
 Usta różane z żalem otwiera,
 Wte słowa wdzięcznie zanuci;
 Matki już niema, któż póság zbiera?
 Kto moją dolą się kłóci?
 Niema już ojca, by część zgromadził,
 I dał co chowa w stodole;

Niema już brata, by przeprowadził,
 Do kochanego przez pole,
 Niemam już siostry, coby przy ślubie
 Była przysięgi méj świadkiem,
 Niemam i krewnych, podległa zgubie
 Pędzą potrzeby ostatkiem...
 Lecz czegoż płaczę? matką mi słońce
 Zorza kochanem mi bratem,
 Księżyc mi ojcem, a gwiazdy lśniące
 Siostrami memi... dość na tém.
 Jeszcze nie wszystko dla mnie zginęło,
 Jeszcze nie jestem zgubiona;
 Bowiem w opiekę niebo mię wzięło,
 A gdzież jest lepsza obrona.

Z cząstkowych spostrzeżeń Kurpiński wyprowadza ten ogólny wniosek, że Polska dzieli się na dwie części muzykalne; na kraj śpiewek wesołych i smutnych. Od Krakowa i okolic prowadząc linią do Grodziska, z tąd przez Poznań i Gniezno aż po za Warszawę, odtąd znowu przez Sandomierz w krakowskie, utworzy się, choć z krzywych linii trójkąt, obejmujący śpiewki wesołe. Od Lublina aż do Lwowa, ztamtąd na Wołyń i Podole udawszy się, całą Ruś obejmując, znajdujemy kraj śpiewek smutnych.

Zagłębmy się w przeszłość, rzućmy oko na miejscowe okoliczności, a dostrzeżemy, co kolejną wieków mogło wpływać na tę różnicę. Polski lud, jeśli doznawał nieszczęść, te były że tak powiem przelotne i przemijające tylko, ruski i litewski, zalewie kiedy znał chwile swobody, częstszego doznawał napadu Turków, Tatarów, Kozaków i wszelkiéj

dziczy, srozsze i nigdy prawie nie ustajace klęski ponosil; tam pokonany niekiedy i zwalczony, lecz powstajacy znowu, tu znekanym i ujarzmionym; rząd tam łagodniejszy, tu surowszy; tam prywatnych właścicieli ograniczona cokolwiek przecie, tu niczem nieutrzymana, ani powściągnięta władza; oświecenie tam większe, tu żadne prawie; handel, rękodzieła i rzemiosła tam kwitnące, tu ledwie znane, albo z dzikszymi jeszcze od nich prowadzone, w niczem do kultury ich nie mogąc się przyłożyć, przez samo sąsiedztwo i pochodzące ztąd stosunki; przez oddalenie od stolicy kraju wreszcie, zawsze wyższego poluru źródła, i kapłani tam świetlejsi, tu w prostactwie i gburowatości; nadto zagnieżdzeni obficie i w korzeniach żydzi prędzej ten lud rozpoili, wysysali go chciwiej, i do zwierzęcej niemal dzikości przywiedli; tak że upośledzony i zniweczony, w gorzałce tylko szukał cierpień i trosk swych zapomnienia, a smutny i posępny zawsze, smutno i posępnie śpiewał, i taniec jego samotny, jak naprzykład w kozaczku, szafu tylko raczej był oznaką, nie zaś społeczeńskiej z przymileniem się płci drugiej zabawy, jak w tańcu polskim, krakowiaku, mazurze i wszelkich obertasach.

Tak więc trzy główne śpiewek tanecznych i muzyki do nich są charaktery; krakowiak, mazur, kozak. W Polsce właściwej śpiewki i tańce wiejskie żywą i miłą wesołością odznaczają się, nad wszystkie miejskie tańce w Europie. Ruskie i Litewskie dumki mają widocznie melancholią, utworzyły one śpiewki historyczne i smutno miłosne.

V.

WYCHOWANIE I SZKOŁY

Początkowe wychowanie od niemowlęstwa, nie mogło o wiele różnić się od terazniejszego postępowania z dziećmi, zwłaszcza w średnim stanie szlacheckim i włościańskim. Zasluguje na wspomnienie dawny pobożny obyczaj. Gdy dziecko poczęło jeść, najprzód przed podaniem pokarmu, czyniono rączkami jego znak Krzyża Ś. na czole, piersiach i ramionach, a gdy dziecko poczęło wymawiać słowa, natychmiast uczono je pacierza, nie pozwalając mu żadnego pokosztowania pokarmu, póki się przynajmniej nie przeżegnało, a starszemu, póki choć jakiej części pacierza nie nauczy się na pamięć. Niektóre matki włościańskiego stanu, od pierwszych lat, dawały niemowlętom po kropki wódki, mając to uprzedzenie, że gdy tego trunku kosztować będzie z dzieciństwa, potem dorosłszy obrzydzi go sobie, ale to wielka nieprawda; bo wyrastali z takich dzieci główni pijacy i głupcy.

W trybie życia naszego ludu, mała bardzo zmiana zaszła, w ciągu ostatniego stulecia, i to tylko na gorsze, bo w mieszkaniach, jadle i odzieży rozpowszechniła się większa nę-

dza. W stanach wyższych, był przed stu laty zwyczaj dawania sznurówki dziewczynkom już od piątego roku życia. Za czasem przekonano się o jego szkodliwości i zarzucono go zupełnie. Ubiory dziewczyn stósowały się do ówczesnej mody, która mało obchodzić może czytelników. Chłopczyków strojono w żupan bławatny i kontusz sukienny, który miał od ramion rękawy rozcinane, nie na ręce zadziewane, ale w tył na krzyż pod pas założone. Pas był z materyi jaśniejszej jedwabnej, na nogach pończochy białe niciane, trzewiki z czarnej skórki cielęcjej; włosy w warkocz splecione, na głowie kapelusz albo czapka. W zimie na wierzchu nosiły dzieci szubki lekkim futrem podszyte. Jeżeli dawny nasz strój poważny był i uroczysty dla osób sędziwego wieku, to dosyć dziwnie wyglądał na małych dzieciach, a nawet utrudniał ich swobodne igraszki.

Około siódmego lub osmego roku, oddawano chłopców do szkół publicznych, lecz że musiały już umieć czytać i trochę pisać, przeto zdarzało się zwłaszcza u szlachty uboższej, że za spóźnieniem tej elementarnej edukacji opóźniała się i szkolna. W miastach, w szkołce początkowej parafialnej uczono samych chłopców, dziewczęta zaś oddawano do niewiast statecznych i tam uczyły się czytania, dzierzgania pończoch i szycia. Edukacja córek mieszczan i szlachty pomiernego mienia, na tém się ograniczała. Więksi panowie jeszcze za rządu Sasów, zaczęli trzymać w domach swoich ochmistrzynie i metrów do córek. W powszechném użyciu były kary cielesne, dyscyplina, różga, albo plasenta: było to coś podobnego do klapki skórzanjej, którą

za omyłki w czytaniu i niedokładne umienie lekcyi, bito w rękę. Starszych chłopców karano kańczugiem.

Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parafialnej, a ten mało gdzie używany. Kiedy który chłopiec nieprzyzwoicie się w szkole sprawił, tedy oskarżony, musiał się sam dobrowolnie położyć na stolku na środku szkoły postawionym: tam każdy współstudent zdjawszy bót z nogi, uderzył go raz cholewą, i to była kara wstydzająca, nie boląca, przewinieniu równa.

Przekrzesanych chłopców w szkole parafialnej w pierwszych rudymentach łaciny, oddawano do szkół publicznych, jezuickich lub pijarskich, które bywały tak liczne, że nie w jednej znajdowało się po tysiącu studentów. Wszyscy mieszczenie, szlachta i panowie najwięksi, oddawali dzieci swoje do szkół; edukacya i karność dla wszystkich była równa, bez względu na panicza i chudego pachółka, na szlachcica i mieszczanina, albo chłopka. Paniczowie co do szkolnych obowiązków z najuboższymi zrównani, mieli jednak tę wyższość, że zasiadali w szkole pierwsze ławy: chyba że się który źle uczył, to poszedł do ławki osłój. Była to ława przy piecu, dla tych, którzy się uczyć nie chcieli; a jeżeli i taka degradacya nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki, oprowadzono go w takiej koronie po wszystkich szkołach wołając za nim: *asinus asinorum in saecula saeculorum*, do której a nieznośnej hańby bardzo rzadko przychodziło; bo jeżeli który doszedł korony słomianej, już się tak poccił i mozolił nad książką, że oprowadzenia uniknął;

i wkrótce się z ławicy osłej wydobył, abdykowawszy słomianą koronę kołkowi, na którym zawsze wisiała, wiele razy głowy do niej nie było. Zapatrywali się na nią leniwi do nauki, jak na straszdyło, chętni zaś, jak na figiel dla śmiechu wymyślony.

Nauka dzieliła się na szkoły. Pierwsza szkoła u Jezuitów zwała się infima i dzieliła się na dwie, na infimę *Minorum* i na infimę *Majorum*; lubo w obydwóch niemal jedna była nauka, zgadzać *adjectiolum cum substantivo*, i *casus nominum cum temporibus et modis verborum*, z tą tylko różnicą, iż w infimie mniejszej, wybierali takie składy co łatwiejsze, w infimie większej co trudniejsze, i druga różnica, że drobniejsze dzieci przychodzące do szkół, oddawano do infimy mniejszej, a sporsze do infimy większej. U Pijarów szkoła tego stopnia zwała się *Parwq*; uczono w niej jednej, tego samego co w dwóch infimach u Jezuitów. Po *Parwie* następowała *Grammatyka*, od której począwszy aż do końca, jedno było tak u Pijarów jak u Jezuitów szkół stopniowanie, to jest: „Grammatyka, Syntaktyka, Poetyka, Retoryka, Filozofia i Theologia,” do której z trudna studenci postępowali, chyba ci, którzy już w szkołach do stanu duchownego czuli powołanie; którzy zaś nie mieli tego ducha, kończyli szkoły na filozofii, a często na retoryce. „Grammatyka,” uczyła składać małe i krótkie sensa prostymi wyrażeniami. „Syntaktyka,” podawała sposoby, jak mowę prostą, okrasić rozmaitemi figurami i zręcznemi słowy. „Poetyka,” uczyła *quantitatem* (iloćczasu) łacińskich słów, które się krótko, a które przeciągło wymawiać po-

winny: także pisania wierszy łacińskich i polskich, przez które się dowcip rozprzestrzenił, a tak już z łaciną w syntaktyce przetartą, z dowcipem w poetyce rozprzestrzonym, uczeń postępował do retoryki, sztuki dobrego i długiego w jakiej materji mówienia i wyrażenia myśli swoich, bądź ustnie, bądź na piśmie. Co jako każdemu człowiekowi, w jakim kolwiek sposobie życia zostającemu, jest wielce potrzebne, tak też edukacya młodzieży szkolnej to za najpierwszy cel miała i do niego wszystkie swoje usiłowania zwracała. „Filozofia,” dzieliła się w szkołach tak pijarskich jak jezuickich, na *dyalektykę, fizykę, logikę i metafizykę*, dla niektórych zaś studentów, kilka razy w tydzień po godzinie dawano *matematykę*.

W akademiach publicznych, czyli jeneralnych, jako to: Krakowskiej, Zamojskiej i Wileńskiej, prócz nauk dopiero wyliczonych, były nadto: Nauka *matematyki* wszelkiego rodzaju, *astrologii, geografii, geometryi, kosmografii*, do tego *jurisprudencyi, medycyny*, i zwały się te akademie *universitates*. Co się tycze filozofii, téj Patryarchów było dwóch, Arystoteles i S. Tomasz, ponieważ na wszystkich dysputach, nie tłumaczyli się inaczej walczący z sobą, tylko albo *juxta mentem Aristotelis*, albo *juxta mentem divi Thomae* (podług Arystotelesa, albo podług S. Tomasza).

Około roku 1749, wszczęła się wielka kłótnia między Pijarami i Jezuitami, o systemat Kopernika, gdyż Pijarzy odważyli się wydrukować wyjątki z dzieł Kopernika: dowodzące, że się ziemia obraca, a słońce stoi. W tém miejscu nie podobna przemilczeć uwagi, na jak niskim stopniu szko-

ły ówczesne, a mianowicie Jezuickie utrzymywały oświatę, kiedy prawdę więcéj jak od stu lat upowszechnioną w całej Europie, tajono przed umysłem młodzieży i dopiero wystąpił z nią ks. Konarski, pierwszy wielki reformator edukacyi szkolnej. Oprócz nauk wymienionych powyżéj, uczono w pewnych godzinach języków niemieckiego i francuzkiego, tudzież matematyki, ale nie były to obowiązujące wykłady; zostawiano je dowolności uczniów.

Jedna tylko łacina, a raczéj konstrukcyja, do wszelkiego języka zdalna, była celem natężenia pracy nauczycielów; tak tego doglądano, że nawet professor kiedy niedbale uczył, od swojej zwierzchności odbierał nagane: albo był od uczenia szkół oddalony i do innéj niższej funkcyi obruceny. Nauczycielów szkólnych, którzy w niższych szkołach uczyli, nazywano *magistrami*, i ci byli klerycy za zwyczaj *minorum ordinum*. W wyższych szkołach nauczycielów, począwszy od rethoryki nazywano *Patrami*, a to z przyczyny, iż w tych szkołach dający lekcyé już byli kapłani.

Nie dosyć było na lekcyi w szkole dawanéj i na profesorze czyli nauczycielu szkolnym: byli inni, nazwani dyrektorami, którzy w jednych stancyach z studentami mieszkali, tam im lekcyé szkolną od profesora zadaną tłumaczyli, powtarzali i do zrozumienia jéj oraz nauczenia się dopomagali; z stancyi do szkoły i z szkoły do stancyi studentów swoich odprowadzali; na rekreacye lub jakie nawiedziiny, zawsze z nimi chodzili. Zgoła zawsze ich na oku mieli. Akiedy studentów zaprowadzili do szkoły, sami szli do swojej. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni od ojców.

Trzeci gatunek studentów był: chłopcy służący, ubogich rodziców synowie, najwięcej szlacheccy, u synów pańskich i majątniejszej szlachty na służbie będący; ci służąc panom swoim, czasem z nimi do szkół chodzili i częstokroć ich w nauce przewyższali. Posługą ich było: panięciu u którego lub u których chłopiec służył, a przytém i panu dyrektorowi łożko posłać, izbę zamieść, suknie i buty wyche- dożyć, do stołu służyć, książki za panięciem do szkoły i ze szkoły nosić, i pójść po sprawunki gdzie posłano. Tym sposobem bardzo wiele edukowało się ubogich szlacheckich synów i wychodziło na wielkich ludzi.

Książdz Kitowicz gani zaprowadzenie konwiktów szlacheckiego dla bogatszych uczniów. „Krzywda edukacyi publicznej stała się dwoista, raz, iż co lepsi profesorowie dawani bywali do konwiktów, a do szkół ordynaryjnych podlejsi; druga, że dyrektorowie i chłopcy służący stracili sposób uczenia się w konwiktach, albowiem niepotrzebowano dyrektorów; a ich powinność zastępowali profesorowie, bez przerwy mieszkając, jadając i przestawając z konwiktorem, na ody jak w tureckim seraju podzielonemi. Nie potrzebowano też i chłopców, bo na ich miejsce przyjęto lokajów, po jednemu do czterech.” Oda, jest to wielka sala, mająca po obu stronach komórki w których były dwa łożka i dwa stoliki, bez drzwi, firankami zasłonię. Co dwie ody była trzecia stancya dla Pijara, w końcu zaś stancya dla profesora najstarszego.

Czwarty gatunek studentów był kalefaktorowie. Byli to chłopcy sporzy po lat 20 i więcej mający, którzy powin-

ność mieli w piecach palić, drwa rąbać, i jeżeli który student zasłużył na karę, wymierzał ją kalefaktor w końcu zapiecka za zasłoną, nie zaś professor, a to dla tego, żeby przystojność względem innych studentów zachowaną była. Do jednego pieca, albo do dwóch, był jeden kalefaktor, na którego zapłatę i na drwa składali się studenci możniejsi, a resztę, gdy mała kollekta była, opatrowali z kollegium Jezuiti i Pijarowie, dając mu przytém wikt z niedojadków refektarzowych. Narąbawszy dREW i napaliwszy w piecu, resztę czasu kalefaktor z innymi studentami obracał na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwyczaj dowcipu tępego będących, rzadko który dostał się do wyższych szkół, lecz nauczywszy się czytać, pisać i cokolwiek liznąwszy łaciny, porzucał szkoły, udając się do innego jakiego sposobu życia.

O dyrektorach to jeszcze mam przydać, iż dwojacy byli: jedni rocznie płatni, którzy służyli jakiemu panięciu, albo też i kilku jednych rodziców synom, szlacheckiego lub miéjskiego stanu; drudzy, którzy miewali pod swoją dyrekcją zbieraną drużynę chudych pachołków, od których brali zapłatę kwartalną po kilka złotych na kwartał od jednego, a czasem też i obiady z kolei. Kondycye takie, czyli partye studentów, zazwyczaj rozdawał dyrektorom ksiądz prefekt szkół, doskonalszym lepsze, podlejszym podlejsze. Tacy dyrektorowie jako ubodzy, byle się skromnie i bez noty sprawowali, mieli wolność assistować za družbów, i oratorów do oddawania wieńca pannie młodéj, która to ceremonia jeszcze za moich czasów (mówi Kitowicz) trwała, ale

już tylko między pospółstwem; usunięto ją z domów szlacheckich i miejskich znaczniejszych. Za usługę na weselu taki pan družba bierał talar bity i chustkę od panny młodej, co dla chudego pacholka było niezłą gradką. Urządzało się także tacy chudzi dyrektorowie za pisarzy cechowych po wielkich miastach, do różnych cechów, osobliwie rzeźnickiego, piekarskiego i szewckiego, jako najludniejszych, mających zatem dosyć do czynienia na schadzkiach swoich. Samo przyjmowanie do terminowania uczniów i wyzwalanie tychże na czeladników lub majstrów, często się trafiające, potrzebowało pisarza, któryby te dzieje cechowe mądrze i pięknym charakterem napisać umiał. Było zaś, według ludzi nie uczonych, mądrze, kiedy patent lub list wypisany był niezrozumiale, a pięknym charakterem, dużemi literami, a brzegi jego wieńcem z malarskiego złota wyklejone.

Nie poprzestawano na karach, lecz współubieganiem się o pierwszeństwo podniecali nauczyciele chęć do nauki. Połowa jedna szkoły walczyła o miejsce przeciw drugiej, a która więcej zyskała pochwał tak zwanych *laudes* to ustępowała miejsce swoich drugiej. Były także między uczniami hierarchie urzędnicze, dyktator, imperator, audytorowie, audytor audytorów i cenzor. Dyktatorem zostawał ten z uczniów, który rozwiązać zdołał taką zadaną kwestyę, na którą cała szkoła odpowiedzieć nie umiała, miał on ten przywilej, że od żadnego z urzędników szkolnych nie zależał, tylko od samego profesora i swoje laudy mógł darować jednej lub drugiej stronie, a że ich miał tysiącami, przeto zwycięstwo od niego zależało. Ten przy-

wilój przynosił mu w zysku różne podarunki od współuczniów w cukierkach, jabłkach i tym podobnych drobiazgach. Imperator (w późniejszych czasach zwano go Prezesem klasy) był zazwyczaj syn bogatszego szlachcica lub mieszczanina, lecz obok tego, musiał dobrze uczyć się i sprawować.

Wakacye szkolne trwały przez miesiąc Sierpień, na ten czas, uczniowie rozjeżdżali się do domów. O zabawach studenckich nie wiele wspomnę, były po większej części te same co i teraz, prócz zaniechanój od dawna bitwy w palcatty, czyli w kije, któremi nazwyczajali się do robienia szabłą, tak potrzebną nieuchronnie na burzliwych sejmikach i zjazdach. Dla wprawy w łacinę, była w używaniu tabliczka zwana *nota linguae*. Naznaczano ją temu, który wymówił słowo po polsku podczas godzin szkolnych, nie zaś po łacinie. Tabliczka ta przebiegała z ręki do ręki, u kogo została na ostatku ten karą odpokutował za wszystkich. W wyższych klassach w syntaktyce i poetyce pisali uczniowie deklamacye, dyalogi, rozprawy, na kształt sejmowych, a później w konwikkie grywali komedye i tragedye. W tym celu, Bohomolec Jezuita, napisał zbiór komedyi z Moliera przerobionych, z których usunął role kobiecie, żeby konwiktowicze grywać je mogli.

Gorliwie przestrzegano przytém nabożeństwa i odbywania wszelkich obrzędów religijnych. W tym celu, wprawiano młodzież szkolną przez sobotnie exorty w szkołach i w wigilie świąt uroczystych. Dawano także co miesiąc kartki, z krótką sentencyą, do jakiej enoty zachęcają, od świętego jakiego podaną, którego świętego student odbie-

rający kartkę, powinien był mieć cały miesiąc za patrona, wzywając pomocy jego do téj cnoty, którą sentencya w kartce zawierała. Zgoła, oprócz nabożeństw powszechnych i publicznych w kościołach, spowiedzi miesięcznych, które oprócz jednéj choroby, pod karą odbywać koniecznie trzeba było, wszelkimi sposobami w pobożność i bojaźń Boską wprawiano. Miano bowiem to za nieomylną prawdę, iż chociażby młodzież miała rozum naukami najbardziej oświecony, jeżeli w sercu niéma zaszczeptionej i dobrze wkorzenionej bojaźni Boskiej z innemi zdaniem religii, na nic dobrego nie wyjdzie, tylko na łotrów, frantów, oszustów i obywateli krajowi najszkodliwszych.

Studenci przywłaszczyli sobie ten sam przywilej, jaki miała Akademia Krakowska; że tak uczniów jak profesorów, w sprawie osobistej, nie wolno było pociągać do żadnego sądu, tylko do zwierzchności szkolnej. Przywłaszczenie, było powodem wielu gorszących nadużyć a nawet gwałtów, które w owéj smutnej epoce bezrządu, uchodziły bezkarnie. Żydzi najgorszego od nich doznawali prześladowania i jak oparzeni uciekali przed niemi. Pomędzy szkołami Jezuickimi i Pijarskimi panowała niechęć, którą częstokroć sami profesorowie nierozważnie podniecali. Gdzie tylko spotkali się, czy na przechadzce; czy na ślizgawce na Wiśle, zaraz wszczynają się walki, na pięście, kije, a między dyrektorami nawet i na szable. Z takich bójek nieraz zawiązywała się nienawiść między obywatelami, trwająca i w dojrzałym wieku, pomnażająca żywioły niezgody i nierządu w kraju.

VI.

ZAKONY I DUCHOWIEŃSTWO.

Pomiędzy zakonami pierwsze miejsce trzymali Jezuici, po nich Pijarowie, po tych Missyonarze, Ś. Wincentego a Paulo, za niemi Kapucyni i Reformaci.

Jezuici, zdawna od wprowadzenia tego zakonu do Polski, byli w pierwszym względzie u panów, których łaskę umieli sobie zyskiwać, już to przez nabożeństwo regularnie bardzo odprawiane w swoich kościołach, już przez uczenie w szkołach, którym to sposobem stawali się potrzebnymi całemu krajowi. Mina ich przytém przez pół poważna i skromna, wiele im u wszystkich dawała poważania. Ćwicząc swoich nowicyuszów w cnotach zakonnych i chrześciańskich, niezapominali oraz dawać im lekcyi w obyczajności świeckiej, jako to: w ochędóstwie około siebie, w gestach, w mowie, w chodzie, zgola w każdym ruszeniu ciała. Zakonnicy ci mieli szczególne zajęcia, któremi się od innych różnili. Nawiedzać chorych pod murami, albo w gnojach jęczących, pocieszać ich duchowną nauką i niedostatek doczesny jałmużną wspierać, były to cnoty, jak bardzo w innych osobach rzadkie, tak Jezuitom pospolite i niemal właściwe, do

których przydać należy assystowanie zbrodniarzom do śmierci, na placu publicznym odbieranój: lubo co się tyczy tego rodzaju usługi duchownój, na czas ją Jezuitom inni zakonnicy odbierali, kiedy więzień o innego zakonnika, zamiast Jezuity, upraszał, co się jednak rzadko trafiało. Fórtta także jezuiicka, ubóstwem napelniona, co obiad i co wiewczerza posiłek temuż dająca, przyczyniła Jezuitom szacunku publicznego. Naostatek szlachectwo i bogactwa, były jedną z największych przyczyn, że Jezuitów więcéj nad inne wszystkie zakony poważano. Jezuiaci mając młodzież w swojój edukacyi, pociągali do swego zakonu subjekta, czyli dowcipy, co najlepsze, a osobliwie szlacheckiego rodu, w których mogli przebierać jak ogrodnicy w szczepach. Aby tylko iskierkę skłonności do duchownego stanu postrzegli w dzieciuchu jakim, mającym rozum żywy, już oni tak około niego deptali, aż go do swego zakonu namówili; a lubo wielu z takowych, bardziej nabechtanych, lub fraszkami dziecinnemi, jako to: ciastkami, sucharkami cukierkami, fruktami złudzonych, niż prawdziwém od serca powołaniem pociągnionych, za dojściem wieku młodzieńskiego najgwałtowniejszym burzom namiętności podlegającego, z tego zakonu występowało: wiele atoli było, którzy pierwszój młodości szturmy, za pomocą duchownych sposobów szczęśliwie zwyciężywszy, utrzymali się w nim pobożnie, aż do końca. Z stanu szlacheckiego, przyjmowali aspirantów, z dwóch powodów: albo z rozumu, chociaż ten niebył celujący nad miarę, to go szlachectwo nadstawiało; albo z pożytku, kiedy niedostatek talentów, rodzice powołanego

doplacali znacznemi ofiarowanemi zakonowi summami, lub w inny sposób świadczonemi dobrodziejstwami, i ten drugi sposób służył nie tylko dla młodych, ale też i dla starych, nawet zgrzybiałego wieku ludzi.

Widzieliśmy nieraz kasztelanów, wojewodów, biskupów, na schyłku wieku swego opuszczających świat, przyjmowanych do zakonu juzuickiego z wnioskiem statysięcznym, a tacy do niczego więcej nie byli używani, tylko do konfesyonałów i wyższej nie piastowali godności, jak ministrowską, która u Jezuitów toż samo znaczyła, co po innych zakonach Wikary, albo podprzeor.

Z plebejuszów kto był przyjęty, to z samego rozumu, i musiał w nim nad innych celować; z miernym dowcipem nie szlachciec z trudna bardzo mógł się weisnąć za furtę jezuicką, chyba że albo był cudzoziemcem, np. Niemcem, Francuzem, to dla języka był przyjęty, gdyż Jezuiści starali się w wszelkim rodzaju nauk i języków, jakie w kraju polskim były w używaniu, mieć swoje subiekta; albo był jakim artystą, np: muzykantem, gdyż mając wszędzie przy kolegiach kapele, chcieli żeby ksiądz prefekt bursy (tak nazywali zgromadzenie swoich muzyków), znał się na muzyce, i nie był tylko pro forma prefektem; albo nareszcie musiał być synem jakiego bogacza w mieście; od którego mogli się spodziewać szczodrobliwości; albo synem burmistrza lub radcy miast główniejszych. Gdyż oni mocno się o to starali, aby ze wszystkimi celniejszemi stanami mieli jakoweś związki i zachowanie; mieli tedy pokrewieństwo przez wielką liczbę szlachty z wszystkimi województwami; przez

magistratowych synów z magistratami, a przez inne osoby, dopiero wyliczone, związek polityczny ze wszystkimi stanami. Co razem wzięte na uwagę, z innymi przymiotami do siebie pociągającymi, różniło ich od wszystkich zakonów i stawiało w pierwszém poważaniu, bardzo wysoko.

Pijarowie na początku panowania Augusta III, jeszcze byli dosyć mali, w prostocie zakonnej chodząc podług ustaw swego patryarchy, świętego Józefa Kalasancjusza, nauczali tylko dzieci małe katechizmu i pierwszych rudymentów łaciny, kończąc szkoły swoje na retoryce. Lecz Konarscy, trzój bracia rodzeni, dali popęd temu zakonowi, w którym po kilka razy kolejno byli prowincyałami, a będąc ludźmi umysłu wysokiego, chwycili się tych wszystkich środków, które zakonowi ich wziętość, a im sławę zjednać mogły. Najprzód tedy do szkół, przedtém małych tylko, dla samych dzieci, przydali teologią i filozofią; potem otworzyli konwikt dla paniać; potem chwycili się nowych opinii filozoficznych, które też dla zyskania większego względu u niektórych dam polskich, w wielu księgach przełożyli na polski język. Wymyślili oni pierwszy kalendarzyk polityczny, przedtém w Polsce nie znany, a za zjawieniem swoim, Pijarom wielki zysk i powab przynoszący tak długo, póki nie spowszechniał i póki się takież u Jezuitów i Grölla księgarza nie znalazł. Konarski zaś najmłodszy z braci, pióro zakonne obróciwszy do materji statystycznych, którém wojował mocno przeciw liberum veto, zjednał sobie u pierwszych panów, wielką wziętość; po Konarskich zaś, to nad poprawą publicznój edukacyi, to nad polityką pracujących, Samuel

niejaki wsławił się wielce amboną i nauką retoryki, tak, iż miany był za najlepszego w czasie swoim kaznodzieję, a kto się chciał pochwalić z umiejętności krasomowskiej, dosyć mu było powiedzieć, że słuchał retoryki pod Samuelem.

Ci tedy trzój Konarscy i czwarty Samuel, byli pierwszymi filarami, na których podniosła się w górę z niskości swojej sława zakonu pijarskiego.

Zgromadzenie Ś. Wincentego a Paulo, po Jezuitach i Pijarach, z Paryża do Polski sprowadzone, już pod panowaniem Augusta, było znacznie w Polsce i Litwie rozszerzone; trzymali oni w niektórych miejscach curam animarum, a w niektórych byli tylko przełożonymi i professorami seminaryów pozakładanych dla świeckich kleryków, od różnych biskupów dobrami opatrzonych. Najpierwszym zaś ich powołaniem było i jest, odprawiać missye po różnych miastach, miasteczkach i wsiach, do których kiedy są zaproszeni, kosztem swoim własnym też misye odbywają, a to dla tego, żeby wzywać do winnicy Chrystusowej tych pracowników, nikt z przyczyny kosztu nie miał wstrętu. Na tych missyach nauczają oni małych dzieci i pospólstwa, katechizmu; żarliwemi kazaniami nawracają grzeszników do pokuty i spowiedzią sakramentalną oczyszczają sumienia. Najsławniejszym był z tego zgromadzenia missyonarzem, za czasów Augusta III Sikorski; głos miał wielce donośny i dzwięczny, mimikę żarliwą i przenikającą, styl prosty, retorycznymi wdziękami nieokraszony; wzbu-
dzał jednak w słuchaczu uczucia, jakie chciał, płacz,

żał, miłość ku Bogu, rozrzewnienie, obrzydzenie grzechów.

Kapucyni i Reformáci, w szacunku publicznym po Misyjonarzach pierwsze trzymali miejsce. Zakon kapucyński w początkach panowania Augusta III, ledwo miał trzy klasztory formalne, w Warszawie, w Lublinie i w Uściługu na Wołyniu. Lecz ku końcowi panowania Augusta III, znacznie się powiększył. W tym jednak obyczajów odmianę uczynili, że przedtém nie wysyłali na kwestę, ale tylko tém się żywili co im szczodroblivość dobrodziejów przysłała do klasztoru. Lecz gdy po wielu klasztorach zaniechano im dosyłać żywności, muszą teraz obyczajem innych zakonów żebrzących, wysyłać na kwestę; przy wielkich atoli miastach, jako to: w Warszawie i Lublinie obywatele katolicy a nawet i dyssydenci, tyle im przysyłają żywności i rozmaitej jałmużny pieniężnej, iż się bez kwesty obywają. Kapucyni, prócz nauk duchownemu stanowi przyzwoitych, jakimi są: teologia, filozofia i retoryka, uczą się zaraz, wyszedłszy z nowicyatu, kucharstwa i ogrodnictwa; dla tego też w ich ogrodach frukta, kwiaty, najprzedniejsze i potrawy najsmaczniejsze. Między potrawami, sztokfisz kapucyński był najsławniejszy, a to podobno dla tego, iż w innych kuchniach sprawić się z tą rybą tak dobrze jak Kapucyni, nie umiano. Królowa musiała go mieć zawsze na swym stole, ile razy był dla Kapucynów gotowany i koniecznie nie w innym naczyniu, tylko w porcy zakonnej, co rozumiem nie czyniła dla dogodzenia smakowi, bo kuchnia Augusta III w całej Europie była najwykwintniej-

szą, ale jako pani wielce pobożna, chciała mieć jakąś częśćkę zasługi duchownej, z poreyi zakonnój nad królewski swój stół wyżej szacowanėj.

Zakon reformacki, w ostrości zaraz idzie po kapucyńskim; obyczaj tego zakonu zawsze skromne i w ściślej obserwie zostające, nie podlegały żadnej odmianie i dotychczas nie podlegają. Nabożeństwem regularnem, missyami, kapelanami, usługami duchowemi bardzo punktualnemi, jedną sobie u wszelkiego ludzi stanu miłość i poważanie tak dalece, że z pomiędzy wszystkich zakonników Ś. Franciszka, wyjąwszy Kapucynów, im pierwszeństwo szacunku dać należy. A przytem oprócz cnot duchownych przez ludźność domową, na jaką zebrać się może ubóstwo zakonne, przyjacioł sobie zjednać umieją. U nich tak jak u Kapucynów, niedojadki refektarskie, z obiadu i z wieczerzy, rozdają u furty ubogim. Wstępuje do ich zakonu bardzo wiele młodzieży różnej kondycyi, a nawet i szlacheckiej.

Dominikanie byli zawsze i są dobrzy szkolnicy, dobrzy spowiednicy i dobrzy kaznodzieje, ten ostatni przymiot jest piętnem ich zakonu, piszącego się: *ordo praedicatorum*. Dominikański prowincyał, ma się lepiej od wszystkich innych prowincyałów (wyjąwszy jezuickiego), wozi się po wizytach karetą czterokonną, za którą jedzie wóz z rzeczami do wygody podróznój należącemi, także czterokonny, przed karetą jedzie konno brat konwers zakonnik, a czasem i drugi jaki słuźalec świecki; wszystkie klasztory składają się prowincyałowi na pewną pensyą, i każdy konwent w czasie bawienia jego u siebie, podejmuje go swym kosztem.

Swieckie duchowieństwo prawie nie różni się od tego czem było dawniej, nie wiele zatem powiemy o niém.

Wielu biskupów zachowując suknię właściwą stanowi swemu, nie używali niemieckiej sukni i zarazem zachowali obyczajność dawną i pobożność; sami częstokroć odprawiali ordynacye, czyli święcenia kapłańskie, katechizmy publiczne, kazania, exorty przed bierznowaniem, częstém bywały ich zajęciem; ofiarę ołtarza niemal co dzień w kaplicach swoich pałacowych, a w dniu uroczyste w publicznych kościołach odprawiali. Posty jedni na oleju, drudzy na maśle zachowywali. Jeżeli który dla słabości zdrowia musiał w dni postne używać mięsa, jadł go samotnie, nie dając innym w takiej przygodzie nie będącym, źle przystósowanego przykładu. Dyecezye po większej części sami osobiście wizytowali, a niektórzy z nich we wszystkich sprawach okazując dawną chrześcijańską pobożność, stoły nawet swoje, acz pańskie i gościowi otwarte, duchowną lekcją zaprawiali. Takimi zaś byli: Szembek prymas, który prócz cnót dopiero wyliczonych, miał jeszcze i te, że wszędzie, gdzie się tylko obracał, gromadę ubóstwa hojnemi jałmużnami nęconą, za sobą prowadził, a oprócz żebraków jawnych, wielu potrzebnych sekretną jałmużną wspierał, srebrom nawet swoim, gdy pod ręką pieniędzy nie miał, nie przepuszczał. Wyżycki arcybiskup lwowski; Zienkowicz biskup wileński; Kobielski biskup łucki; Sierakowski biskup przemyski, potem arcybiskup lwowski: ten regularnie codzień słuchał jednéj mszy przed swoją, a po swojej

znowu jednej mszy cudzej był słuchaczem. Gdy mu w chorobie doktorowie zakazali maślnych potraw i olejnych, chcąc go tym sposobem przymusić do mięsa, kazał tylko sobie potrawy samą solą przyprawiane dawać.

Równym był naśladowcą pobożności swego poprzednika, Kierski, po Sierakowskim biskup przemyski, lubo nie tak ścisły w postach, jako też po Kobielskim na katedrę łucką wyniesiony Wołowicz. Słynieł Załuscy bracia, z których jeden sufragan płocki, nie mając dosyć na doskonałości biskupiej, został Jezuitą, i w tym zakonie świątobliwego dokończył życia, zapisał Jezuitom wieś Kobyłkę pod Warszawą i w niej kosztowny wyfundował kościół; drugi, biskup Kijowski, mąż niemniej świątobliwością, jako też nauką sławny, z pomocą brata swego fundator Biblioteki Warszawskiej. Był on w Kollegiacie Warszawskiej proboszczem i w niej z okazji jakowej nadzwyczajnej uroczystości lub nabożeństwa opowiadacz słowa Bożego. Do tych należy Hilzen, biskup zmudzki, nietylko w swojej katedrze, ale też w różnych innych kościołach ambony zaszczycający. Można jeszcze do tego rzędu biskupów nabożnych, przydać Grabowskiego, biskupa warmińskiego.

Prócz wyliczonych dopiero biskupów, było wielu innych mądrych, skromnych, poważnych, powołaniu swemu doskonale odpowiadających. Mówią pospolicie, że suknia nie ma nic do obyczajów; oj ma, i bardzo wiele! Skoro duchowni zaczęli nosić niemiecką suknię, zaczęli powoli dyspensować się od pacierzy i od służby ołtarza; na końcu panowania Augusta III wielu już było biskupów, którzy

rzadko, ledwo kilka razy w rok, do służby ołtarza przystępowali; ordynacye, czyli święcenia księży i sakrament bierzmowania na sufraganów, a sądy dyecezalne na audytorów spuściwszy, sami się rozrywkami, publikami i chwytaniem dworskich faworów zatrudniali.

VII.

PALESTRA I SĄDY.

Imieniem palestry w Polsce oznacza się stan ludzi prawnych, z których jedni są patronami i służą w sprawach prawującym się osobom; drudzy wpisują do ksiąg publicznych i z nich wypisują dekreta, manifesta, relacye pozwów i inne tranzakcye, czyli kontrakty publiczne, o kupno i sprzedaż dóbr, o zastawy lub arędy tychże, o zeznanie długów na dobrach, o zapisywanie żonom posagów, lub kwitowanie z nich; także przyjmują do ksiąg przywileje królewskie na starostwa, urzędy koronne i ziemskie, otrzymane, zgoła rozmaite różnych gatunków pisma. Takowa palestra, dzieliła się na regentów, susceptantów i feryantów, który ostatni gatunek składali młodzi ludzie dla edukacyi, lub też dla dalszej w tej professyi promocyi do palestry udający się. Sądy, czyli Magistraty, którym ta dwiasta palestra służyła, były te: assessorya koronna i litewska, referendarya koronna i litewska, sądy marszałkowskie, przy boku króla tylko odprawujące się, trybunał koronny w Piotrkowie i Lublinie, trybunał litewski w Wilnie i Grodnie, Kommissya skarbowa i wojskowa w Radomiu,

sądy podkomorskie czyli graniczne, które jako też kondescencye nie miały *fixum locum*, ani regularnych kadeneyi ale tam i wtedy odbywane bywały, gdzie i kiedy za dekretem trybunalskim, ziemskim lub grodzkim, od stron prawujących się sprowadzane były. Kiedy szło o granice między dobrami ziemskimi a ziemskimi, lub duchownemi i ziemskimi, sędzią był podkomorzy lub komornik graniczny, jakiegokolwiek województwa, lub powiatu. Kiedy szło o inną jaką do dóbr pretensyą, np. o działy między sukcesorami, o rachunek z zastawy lub arendy, o zniesienie długów—używano do takich spraw samych sędziów ziemskich lub grodzkich, komorników ziemskich, burgrabiów grodzkich, albo subdelegatów, co jest jeszcze mniej od burgrabiego, i takowe sądy nazywano: „Kondescencyami.”

A kiedy szła sprawa między dobrami ziemskimi i królewskimi, t. j. z dóbr stołowych królewskich, z starostwa, albo wsi królewskiej, lub z miasta królewskiego, bądź z szlachcicem, bądź duchownym: już takowy sąd, czy o granicę czy o inną pretensyą, nie nazywał się kondescencyą, ale kommissyą, dla tego, że sobie strony kommissarzów, jacy się której podobali, w równej z obu stron liczbie nominowały; do granic jednak sypania, prócz kommissarzów, musiał być koniecznie wezwany jaki podkomorzy, lub komornik graniczny.

Oprucz tych sądów i magistratów, bywał jeszcze jeden sąd w wielkich sprawach, a taki nazywał się sądem polubownym czyli kompromissem, kiedy strony mające z sobą interes, odstępując od wszelkich sądów ordynaryjnych, spra-

wie swojej przywoitych, zdawały się na przyjaciół i tych sobie za sędziów obierały; uroczystem wyznaniem przed księgami publicznymi, że wyrokowi takowych sędziów, nieodmiennie posłusznymi będą. Dekret kompromissowy był wyrokiem ostatecznym. Zdarzyły się jednak przykłady, że i takie wyroki acz podług praw niecofnione, pękały w trybunałach, kiedy dekret kompromissarski jawnie i oczywiście przeciwko prawom do rzeczy służącym, był napisany. Albo choć prawnie, lecz o rzecz cudzą, między dwiema walczącemi, do trzeciego nie wezwanego należąca, jako to na przykład między opiekunami i kredytorami, o substancją dzieci niedorosłych. W tych sądach, młodzież szlachecka sama tylko mając do nich przystęp, uczyła się praw ojczy-
stych, formowała się na sędziów; a że ten zawód jest zyskowny i poważany, wiele chudych pacholców, aplikując się szczerze do niego, przychodziło do znacznych substancyi i wysokich honorów. Gdy przeciwnie, synowie mających rodziców, na edukacją oddani, pracy nie lubiący, strawiwszy lat kilka w palestrze na rozpuście i próżnowaniu, z pustemi workami i łbami, częstokroć do domu powracali. Palestra suknią i ogarnięciem nie różniła się od osób innego rozmaitego stanu, dla tego w téj mierze nie mam co o nich zostawić potomności. Palestra trybunalska formowała z siebie osobną klasę, dystyngującą się od innej palestry grodzkiej i ziemskiej, a to pochodziło z przywilejów bezpieczeństwa i powagi nadanej trybunałom od królów i stanów rzeczypospolitój. Nadużywając tego przywileju, nieraz palestra burzyła się naprzeciw samym deputa-

żom, nie przychodząc na ratusz, i nie chcąc stawać w sprawach, gdy który z mecenasów słowem uszczypliwem od marszałka lub innego deputata został obrażony. Instygatorowie skrzynkowi trybunalsey, do odbierania grzywien w każdym trybunale, byli dwaj; jednemu ten urząd z swoich przyjaciół albo służących dawał prezydent, drugiemu marszałek. Ci pospolicie te urzędy przedawali palestrantom, bierali za niego od 50 do 100 czerwonych złotych, miarkując podwyższenie lub niżenie ceny podług rejestrów województw, jakie na zaczynający się trybunał następowały, i deputatów jak byli możni. Jeżeli rejestra przychodziły z województw bogatych, jeżeli deputaci byli możni, a osobliwie marszałek jeżeli był z wielkich panów, to instygatorya skrzynkowa była droższa. Jeżeli przypadaly rejestra województw ubogich, albo deputaci byli z pomierniej szlachty, lub mała ich liczba, dla której przestanków częstych w sądzie spodziwać się należało, na końcu, jeżeli marszałek był z pomiernych panów, to instygatorya skrzynkowa była tańsza. Kiedy miano kogo skarać grzywnami znacznemi, a nie był pewny do zapłacenia, instygator przestrzeżony od trybunału, przed publikacją dekretu przydawał mu wartość tak do stancyi jako do osoby. Jeden żołnierz lub więcej według potrzeby pilnował stancyi, a drugi żołnierz wszędzie chodził za osobą na grzywny wskazaną, gdziekolwiek się ta obróciła. Tak zwanych *instygatorów* bezpieczeństwa, była powinność przynosić w dni sądowe na ratusz rano i po obiedzie, prezydentowi krzyż i łaskę marszałkowską, odnosić do stancyi każdego też insignia, obchodzić co noc

kolejno z runtem domy szynkowe, aby się w nich kłótnie i pijatyki całonocne nie działy. Jeżeli dano znać instygatorowi securitatis o rozpoczętej gdzie bitwie i rąbaninie, obowiązkiem jego było, co prędzej tam z runtem pospieszyć i zdybanych na takowém gwałceniu publicznego bezpieczeństwa i spokojności do kordygardy zabierać. Kiedy się bitwa wszczęła między palestrą lub osobami charakter obywatelski mającemi, do takiej nie mieszał się instygator, gdyż tacy jako mający zakład odpowiedni, zapozwani do sądu, prawa dotrzymali. Instygator skrzynkowy bierał pensyi miesięcznej najwięcej czerwonych złotych 8, instygator securitatis, czerwonych złotych 4 i ten ostatni żywił się u stołu prezydenta lub marszałka z ich służącemi, kiedy ci panowie byli hojni. Więc, że instygatora bezpieczeństwa, prócz pensyi szczupłej nie miała innych dochodów, przeto też jój żaden z palestry nie kupował, chyba chudy pacholek, najczęściej szlachcic na bruku siedzący, albo dworak bez służby, między któremi zdarzało się wielu, bardzo poczciwie, podług przepisu prawa swój urząd sprawujących.

Woźnych przy trybunale piotrkowskim bywało po trzech, najwięcej po czterech; w lubelskim trybunale po czterech i po pięciu; zasłużeński po między nimi trzymał wokandę, czyli registr spraw. Jeżeli umiał czytać, sam sobie czytał; jeżeli nie umiał, instygator mu czytał, a on toż samo głosem donośnym oddawał, a przewracając słowa niedobrze usłyszane lub nierozumiane częstokroć, stawał się okazywać gwałtownego śmiechu. Tak jednego razu w Lublinie, zamiast wpisu przeczytanego sobie od instygatora: Jego-

mość pan Kapenhauzen, przeciw Jegomości panu Rościszewskiemu; woźny wykrzyknął, Jegomość pan kiej i błazen, przeciwko Imci panu Rościszewskiemu.

Woźny jeden przywoływał i odwoływał sessye trybunalskie; woźny ogłaszał kondemnaty, na niestawających do sprawy wypadające, co też było powinnością i innych woźnych mniejszych sądów, jako też kładzenie pozwów i dawania roków czyli terminów.

Gdy miał być w trybunale czytany dekret śmierci, poprzedzała takowa ceremonia: marszałek wołał na woźnego: woźny otworz drzwi! Jeżeli były wtenczas otwarte; woźny je zamykał. Gdy drugi raz marszałek zawołał, woźny zamknij drzwi, woźny je otwierał, i tak do trzeciego razu czyniona była ta sprzeczność rozkazów z wykonaniem, zawsze z mocnym szelestem w otwieraniu i zamykaniu. Na jakiby koniec był postanowiony taki obyczaj, dochodzę mojem zdaniem, iż stanowiciele kar śmiertelnych, chcieli przez to wyrazić, z jaką ciężkością przychodzi im odbierać życie człowiekowi, że gdy się w takowym razie znajdują, miłosierdzie walczące z sprawiedliwością, wprawia ich w jakoś zmysłów pomieszanie. Czyli też, ażeby tym łoskotem, przerażającym ucho, sprawili wzdręgnięcie w sercu, i przerażenie do pokuty winowajcy, czasem do ostatniego momentu zatwardziałego. Ostatnia pobudka jest poniekąd słuszną.

Rok, to jest pozew słowny, dawany bywa, kiedy kto wykroczy przeciw powadze sądu, albo pod bokiem jego popelni jaki występki kary godny.

Slużalce palestrancy, z któremi często się łączyli deputacy i dworscy różnych pacyentów, zaraz po zagajeniu trybunału schodzili się pod ratusz. Tam, po dwóch w uformowaném od innych kole, bili się w kije, które podług osób bijących się, starszych lub młodszych, bywały cieńsze i grubsze, pospolicie świdwowe i dąbczaki; najcieńsze dla młodych chłopców jak palce, najgrubsze dla wąsalów jak kosztur, albo pałka chłopska, wszystkie nazywały się palcatami. Gdy już obeszła każdego kolej, ten który wszystkich wybił, pó zręczném robieniu palcatem, uznany był marszałkiem koła. Po nim drugi w sztuce pierwszemu bliższy, vice-marszałkiem, trzeci instygatorem, czwarty vice-instygatorem. Z temi urzędnikami nowoobranemi, cała owa chałastra idzie do żydów. Ci muszą się zaraz zdobyć na prezenta dla pomienionych urzędników i na ucztę całej czeredy, aby tacy junakowie nie wytrzepali im kijem krymek lub pleców. Po odebraniu prezentów i skończonym traktamencie, zazwyczaj miodowym obwarzankowym i kukielkowym, powracali pod ratusz.

Reassumpcyca czyli otwarcie trybunału, była pełna wielu intryg dla stronnictw możnowładców, przewodzących lub chcących przewodzić w kraju. Szło o wykreślenie deputatów z listy, jako będących pod zarzutem karnym, czyli kondemnata, o wybór marszałka, którym zawsze bywał magnat, należący do partyi przemagającej. Drugą figurą w trybunale był prezydent trybunału. Gdy już wybory ukończyły się, ułożono porządek spraw i doniesiono N. Panu o doszłym sześciu trybunale.

Trybunał koronny zaczynał się w Piotrkowie, Trybunał litewski zaczynał się w Wilnie. Co się działo na publicznych zjazdach i prywatnych kompaniach, lub schadzkach w Koronie; toż samo pewnie działo się w Litwie; a zatem z opisanego jednego narodu, może czytelnik sądzić równo o obydwóch, prócz niektórych wyłączeń prawnych, które do mego pióra nie należą.

Trybunału koronnego kadencya pierwsza, czyli początek, według prawa, była w pierwszy poniedziałek po Ś. Franciszku, który przypada według kalendarza rzymskiego 4 Września. Poczynano się w Piotrkowie i jeżeli dnia prawem opisanego, wyżej wyrażonego nie stanęła, już być nie mogła aż za rok. Limita trybunału Piotrkowskiego, podług prawa powinna była nastąpić w Sobotę przed Kwietnią Niedziela; lecz często limitowano go tygodniem prędzej.

Zbyszy takowe początkowe zatrudnienia, zabierano się trzeciego lub czwartego dnia do sądenia spraw, które szły porządkiem ułożonym w ordynacyi. Sądy te otwierały się mową którego z palestry, witającą trybunał, na którą przygotowany prezydent albo marszałek, krótko odpowiedział komplementem dziękującym. Potem z rejestru woźny powołał którą sprawę, a po zapisaniu komparycyi, marszałek kazał sądy odwołać na poobiedzie, albo nazajutrz, bo nagle zaprzęgać się do pracy nie było w modzie.

Oprócz prezydenta i marszałka, niektórzy z deputatów albo pacyentów panów możnych, mieli sobie za honor popisować się z obiadami i kolacyami na przepych

jedni nad drugich, już to dla trybunału, już dla prześwietnej palestry dawanemi; dla tego w pierwszym tygodniu mało, albo wcale nie było postępu w administracyi sprawiedliwości; drugi tydzień ocucał cokolwiek więcej, znużonych biesiadami i do pracy zaciągał, acz ta często rozmaitemi festynami, to imieninami, anniwersarzami dworskimi, nareszcie i bez żadnych okoliczności świetnych powtarzanemi, przerywaną była.

Jak wszędzie i zawsze, tak w dawnych trybunałach Piotrkowskim i Lubelskim, wymiar sprawiedliwości ulegał wielu zarzutom i narzekaniom. Przewaga możnych, częstowania, stosunki pokrewieństwa, zabiegi palestrantów, były nieraz przyczyną niesprawiedliwych wyroków. Wierny i trafny obraz tych nadużyć skreślił Krasicki w Doświadczyńskim. Tam wyczytać można, jakich używano sposobów żeby wprowadzanie sprawy przyspieszać albo opóźniać, stosownie do widoków przemożnej strony. I dlatego bardzo sprawiedliwie nazywano pacjentami tych, którzy mieli sprawę w trybunałach.

Jeżeli trzeba było jakiej sprawy nie dopuścić dla tego, że ajenci prawni znajdowali nieugiętych przy enocie i sprawiedliwości wielu deputatów, nie doszła ona, choćby była najpierwsza w rejestrze. Jeżeli trzeba było, ażeby ta a ta sprawa doszła, musiała dojść, chociażby była tysiącem wpisów poprzedzona, do czego taki wtenczas wymyślono sposób. Że aby sprawa nie doszła, pilnowano mocno rejestru w którym była i kiedy już ta sprawa następowała, wtenczas ujęci deputaci, nagle zrywali komplet zmyśloną cho-

robą i kilkodniowem na łożku w stancyi spoczywaniem, póki nie minął czas służący registrowi, w którym była sprawa.

Aby sprawa bardzo daleka doszła, najprzód starali się u możniejszych, przed nią wyższe wpisy mających, o pozwolenie spuszczenia ich *per non sunt*, co znaczy, jakoby tych osób których sprawę przywołano, niebyło przytomnych, ani kogo z należących do niej plenipotentów. Ująwszy tym sposobem, ten, co przy ławce zasiadał, możniejszych pacjentów, o mniejszych nie dbał: kazał wołać sprawę po sprawie, nie zastanawiając się na głos odzywających się przytomnych, ale zapisując w wokandzie i ogłaszając, *non sunt, non sunt*, aż póki nie nadeszła ta sprawa, której dojście było przyobiecane. I już się niebożęta pacyenci nie opierali, ale zepchnięci z góry na dół swoje wpisy przynosili, a poniesioną zwłokę u sprawiedliwości, na rachunek dalszych względów chętnie albo niechętnie ofiarowali. Podobnym sposobem otrzymywano kondemnaty na tymże trybunale. Nasadzono na pacyenta jakich natrętów, którzy go w stancyi zabawiali; patrona należącego od niego, zaproszono na konferencyą, lub jego dependentów, gdzie na ustroniu wymyślonymi interessami przytrzymało; tymczasem sąd z porządku przywołał rejestr w którym była sprawa; tak ów nieborak pacjent, który kilka niedziel dybał na swą sprawę, w jednej godzinie został okryty kondemnatą, jakby nieprzytomny. Takie kondemnaty wypadały także bez najmniejszej winy sądu, z chytróści strony przeciwniej. Do rejestru *Directi Mandati* (niezwłocznego) należały same

sprawy kryminalne, i trzeba było do niego mieć koniecznie więźnia okutego w kajdany, pod straż żołnierską oddanego. Kiedy kto o wypędzenie z dóbr, albo inny jaki gwałt do ordynaryjnego rejestru takowego należący, miał sprawę, w której nie zaszło zabójstwo, albo choć zaszło a nie było więźnia na gorącym uczynku schwytanego, więc patron jeden, a zwał się pan P..... taki sposób wymyślił: użył on człowieka niewinnego, okutego w kajdany i przyprowadził go do trybunału. Patron należący do sprawy powodowej, wnosił do sądu illacyą, iż jest więzień w tój sprawie świeżo przyprowadzony, prosił aby był do aresztu przyjęty. Marszałek tedy podług przepisu prawa dał bilet czyli cedułę do kommandanta, aby tego więźnia osadził w kordygardzie, drugą do instygatora aby sprawę wpisał w rejestr *Directi Mandati*. Takim sposobem sprawy rejestru taktowego do rejestru *Directi Mandati* bywały przenoszone, a to dla prędszego osądzenia. Najdalej albowiem, w trzy dni po oddaniu więźnia do aresztu, sprawę usiano przywołać, chyba że się razem kilka takich spraw zeszło, to musiała jedna za drugą czekać swojej kolei. Sprawy zaś podobne na owym trybunale tak wprowadzano: Najprzód wzięto więźnia na dobrowolne konfessaty, na których gdy się nie przyznał do żadnego kryminału, (bo jak się miał przyznać, kiedy go nie popełnił), odsyłano go powtórnie do aresztu, a tymczasem czytano inkwizycye, które już masiały być w którymkolwiek sądzie pierwszej instancyi wywiedzione. Żadna albowiem sprawa, z pierwszego jak mówią wióra w niższym sądzie nie przedrabowana, nie

mogła iść prosto do trybunału. Po przeczytaniu inkwizycji, gdy te więźnia nie oskarżały, uwolniono go z aresztu, zostawując mu upomnienie się o niewinne uwięzienie, do czego jednak nie przyszło. Sprawa zaś główna między stronami, domieściwszy się tym sposobem do stołu, poszła swoim biegiem. Taki to był wymysł owego oszusta.

Pełno na owym trybunale było obszarpańców, którzy się do najnikczemniejszych posług używać dawali. Byli to zaś szlachta brukowi, którzy straciwszy fortunę, najczęściej przez nieład i złe życie, a czasem też przez jaki przypadek nieszczęśliwy, pilnowali owego trybunału, przy którym rozmaitym sposobem się żywili. Najprzód podczas reasumpey trybunału, udawali się do którejkolwiek partyi, zbierając szlachtę dla gwałtownego utrzymania, lub spychania deputatów, potem straciwszy otrzymane od partyi zajmującej, dwa lub trzy czerwone złote, chodząc od stancyi do stancyi, pod tytułem pogorzelca, lub prawem o fortunę zniszczonego, ręce do możnych po jałmużnę wyciągali.

Ponieważ rejestr *Aryanizmu*, po śmierci Augusta III został zniesiony, za słuszną mam rzecz opisać potomości, co on znaczył i jakie sprawy do niego należały. Po wygnaniu Aryanów z Polski, zapobiegając, aby się ci kacerze jakimkolwiek sposobem do kraju nie wrócili i w nim się nie ukrywali, postanowiono przeciw nim w trybunale osobny rejestr, pod który w dalszym czasie podciągnięto sprawy dyssydentów wszelkich, o kościoły nowo bez pozwolenia Stanów budowane, lub też o na-

prawianie starych, bez takiegoż albo przynajmniej bez biskupiego pozwolenia. O bluźnierstwa przeciw religii katolickiej, od kogokolwiek popehnione, o życie jawnie gorszące, o niewykonanie przez lat kilka spowiedzi wielkanoćnej, o przeżycie przez rok i sześć niedziel w kłątwie kościelnej z jakiegokolwiek przyczyny rzuconej; nakoniec o krzywoprzysięstwo. Lecz że krzywoprzysięstwo nie mogło być pod takim terminem sądzone nigdzie, jak tylko na sejmie; więc żeby mogło mieć forum w trybunałach, patronowie wynaleźli mu nazwisko *laxiae constientiae*, to jest sumienia rozwiązłego. Pod tém nazwiskiem sądzone bywało w trybunałach, ale już nie karą śmierci, jak w sądach sejmowych, tylko karą cywilną, grzywnami i więzą; a jeżeli kto przekonany o taki występku, znajdował się na jakowym urzędzie sadowniczym, odsadzeniem go funkcyi. Z tego także rejestru sądzone czarowników i czarownice. Ten rejestr był kiedyś straszny dla wszystkich tego rodzaju winowajców, ponieważ niemal mógł być tak często brany jak rejestr *Directi Mandati*, i sentencye wypadające z niego, były jeżeli nie na śmierć, to na ciężkie grzywny i więze. Na końcu atoli panowania Augusta III, ciżby w nim nie było, bo czarodziejstwu zgoła nie wierzone. A przy rejestrze arianismi zostały się sprawy, cokolwiek jeszcze popierane dla interesu prywatnego, o bluźnierstwa i o sumienie rozwiązłe.

Deputatom trybunalskim oddawano honory wojskowe, *Komendant*, dowódzca oddziału wojska assistującego trybunałowi, odbierał od Marszałka hasło żołnierskie, podo-

bnie i Oficer będący na warcie. Wiele razy który z deputatów szedł na ratusz, lub z niego schodził koło odwachu, żołnierz stojący na warcie, wołał głosem jak najmocniejszym: *raus!* za którym słowem oficer i żołnierz wybiegali spieszo z kordygardy i uszykowani w rząd, czyli glejt, po żołniersku broń przed nim prezentowali. Dla Prezydenta zaś i Marszałka, przydawał dobosz bicie w bęben po trzy razy, co się nazywało bicie werbla, taż sama parada żołnierska działa się dla krzyża prezydenckiego i laski marszałkowskiej, wiele razy te insygia na ratusz niesione lub z niego znoszone były. Prezydentowi i Marszałkowi oprócz nadwornych assystentów i służących ludzi, assystowała jeszcze liczna zgraja pacyentów pomiernego mienia wszędzie, gdziekolwiek się który z tych dwóch matatorów trybunału obrócił, szli biedacy przed nim z gołemi głowami, choćby w najtęższe mrozy, a za nim ciągnął się drugi orszak hajduków, pajuków, huzarów, węgrynków i innej liberyi, tak jego własnych, jako i tych, którzy przed nim paradowali, w czem byli w zimie szczęśliwsi od panów swoich, bo mieli nakryte głowy, a tamci gołe, na ostry mróz wystawione. Z taką paradą, acz nie wszyscy z tak liczną, postępowali inni deputaci. Kiedy który z deputatów, lub pacyentów, na honor trybunału, albo imieniny deputata, tem bardziej marszałka i prezydenta, dawał solenny obiad, lub kolacyą, zazwyczaj używał żołnierzy do dawania ognia z ręcznej strzelby, przy spełnianiu zdrowia pryncypalniejszych osób, wielkimi kielichami wina. Deputaci we wszystkich kompaniach publi-

cznych zajmowali pierwsze miejsca: największy pan nie podsiadł deputata z łatwością, wiele wprzód narobił ceremonii, protestacyi, ukłonów, nim wyższe a przez deputata ustąpione miejsce zasiadł; zgoła, wszystko się przed deputatami płaszczyło, chociaż drugi majątkiem i talentami ledwo wyrównywał podstaroścemu jakiego wielkiego pana.

Prawo polskie tak wysoko wyniosło powagę deputatów, iż zniewagę któremu z nich uczynioną, poczytywało na równi z obelgą królewskiego majestatu, i gardłem karać winowajców tego rodzaju kazało; nie zdarzyło się jednak za moich czasów, żeby komu za to głowę zdjęto. Albo więź górną siedział przestępca, albo wcale był uwolnionym na drugim trybunale, albo przypadek takowy został cichaczem zatarty.

Trybunał z Piotrkowa przenosił się do Lublina. Odbywało się to w Poniedziałek pierwszy po Niedzieli przewodniej, to jest po łacinie, post Dominicam conductus Paschae. Jeżeli wjazd Prezydenta do Piotrkowa bywał szumny, również okazalszy bywał czasem wjazd Marszałka do Lublina.

Wjazd Marszałka bywał z jakiej wsi, o milę lub o pół mili Lublina bliskiej, gdzie i który Marszałek miał dom przyjacielski, lub swój własny; z tego domu ciągnął w śnieżnej paradzie dworzan, karet, obywateli, żołnierstwa, i innego rozmaitego tłumu, prosto na ratusz, gdzie zasiadał z deputatami bez żadnych komplementów powitania.

W wigilią wigilii Ś. Tomasza, kończyły się sądy trybu-

nalskie. Marszałek albo prezydent mową publiczną żegnał swoich kolegów, ziemstwo i palestrę; ci nawzajem przez jednego z pomiędzy siebie żegnali trybunał, przesadzając się na panegiryki jedni nad drugich w administrowaniu sprawiedliwości, i gorliwém słuzeniu pacyentom, chociaż nie jeden deputat i patron, za niesprawiedliwą sentencyą i szalbierskie usługi, wart był kary nie pochwały. W wigilią Ś. Tomasza, już nie było żadnych perorów ani ceremonii, przystępowali deputaci do przysięgi, którą od nich ziemstwo odbierało, jako sądzili według Boga, sumienia i prawa, i jako nie brali korupcyi. Każdy deputat na taką rotę przysięgał, ale znałem dwóch, a podobno i trzech, którzy niespokojnym głosem wymawiali te słowa; dusił ich kaszel, usta im bladły, i ręka położona na krucifixie trzęsła się jak w paroxyzmie febry, a na nich pacyenci wołali z boku: „Bój się Boga! nie przysięgaj, boś brał korupcyą. Oto te rumaki zaprężone do karety, oto te bryki naładowane sprzętami, którycheś z sobą nie przywiózł, wydają cię, żeś sprzedawał sprawiedliwość.” Deputat jednak choć struchlały na pół, kończył copędzėj przysięgę, a tę skończywszy co tchu wsiadał do powozu i uciekał z Lublina; a że też i poczciwi deputaci nie mieli nic więcj do czynienia po przysiędze, przeto się po nięj zaraz wszyscy rozjeżdżali. I weszło to już jakoby w powinność, że gdy deputaci szli na ratusz do przysięgi, powozy ich i bagaże stały przed stancyami, gotowe do drogi i pozaprężane.

Szlacheckie sądy składały się z ziemstw i grodów. Ziemstwo składało się z sędziego, podsędka i pisarza; a

trzej sędziowie obierani bywali na sejmikach powiatowych. Na wakujące stallum obierali ziemianie trzech kandydatów, a król jednego z nich, który mu się podobał, konfirmował. Jeżeli który z tych trzech sędziów zachorował, albo znajdował się pod processem, albo umarł blisko nadchodzącej sądów kadencyi, że czas nie wystarczał do elekcyi innego, upadła kadencya sądów, przeto się i gęsto po powiatach wydarzało, że nie bywało sądów ziemskich po roku i po kilka lat. W takim niedostatku sprawiedliwości, szlachta udawała się do sądów grodzkich, jeżeli gatunki spraw pozwalały. Sądy albowiem grodzkie nie podlegały defektowi.

Sądy ziemskie miały kadencye, dwa, a w niektórych ziemiach trzy razy do roku, od dwóch kadencyi zwane były półroczkami. Sądy grodzkie odprawiały się wszędzie, cztery razy do roku. Sądy ziemskie z postanowienia swego były wyższe od grodzkich i mocya czyli apelacya, powinna była iść od sądów grodzkich do ziemskich; ale grody nigdy nie słuchały tych stopni, choć kto zakładał mocyą od dekretu grodzkiego do ziemstwa, gród nigdy jój nie zanotował, lecz odesłał prosto do trybunału, dając przy czynę z powszechnego axioma prawnego *par super parem non habet potestatem*, równy nie ma władzy nad równym, a przez to pokazywał, że równy jest sądom ziemskim. Sprawy niemal te same odbywały się w grodach co i w ziemstwach, wyjąwszy sprawy o dziedzictwo i zastawę dóbr, które należały do samego ziemstwa.

Palestra też sama służyła sądom ziemskim, co i grodz-

kim; inkwizycyji słuchanie, należało do komorników ziemskich, burgrabiów i subdelegatów grodzkich.

W województwach mazowieckich, małopolskich, i ruskich; komplet sądów grodzkich był większy niż w opisanych dopiero w wielkopolskich i nomenklatura inna. Tu pierwszy sędzia nazywał się podstarostą, drugi sędzią grodzkim, trzeci jak wszędzie pisarzem, z tą różnicą, iż w jednych województwach pisarz miał głos doradczy, w drugich stanowczy.

Tortury były używane w sprawach gardłowych, kiedy winowajca albo przez inkwizycyją nie był doskonale o występku przekonany, albo choć był, a nie chciał się przyznać do tego co mu inkwizycyami dowiedziono, którego wyznania winy podług zwyczaju w wszelkich sądach przestrzegano, koniecznie po winowajcy wyciągano. Choć zaprzeczenie inkwizycyom nie uwalniało winowajcę od śmierci, jeżeli te były dokładne; przecież go w takowym razie brano na tortury, których żaden kryminalista uniknąć nie mógł, chyba się sam dobrowolnie przyznał do tego występuku który mu zadawano; a nawet kiedy przyznał się podczas tortur, a po odbytych mękach zapierał się, znowu go trzeci raz męczono. Jeżeli po trzech torturach wytrzymałych, wracał się do zapierania, oglądali się sędziowie na okoliczności dowodów i inkwizycyji świadków; a gdy były mocne, winowajcę śmiercią karano, nie zważając na jego zaprzeczenia, zaciętości umysłu i cierpliwości ciała przypisane. Jeżeli dowody i inkwizycyje były słabe, jeżeli się więzień nie przyznał na torturach, albo przyznawszy się na

jednych i drugich, a na trzecich zaparł; uwolniono go, z wolnem popieraniem kary na stronie, za której skargą był męczony; jeżeli nie było dowodów, tylko podobieństwa a więzień na pierwszych, drugich, lub trzecich torturach przyznał się, i więcej przyznania swego nie odwołał, był stracony. Jeżeli podobieństwa były mocne, a winowajca tortury wytrzymał bez przyznania się statecznie, uwolniony został. Lecz i strona instygująca była wolna od kary za dręczenie winowajcy, z przyczyny mocnych, jako się wyżej rzekło, do prawdy podobieństw. Najwięcej zaś takowe męczenia ludzi, czasem niewinnych, dla tego bezkarnie uchodziły, że pospolicie osoby które brano na tortury, byli albo włóczędzy, albo poddani panów swoich; którzy ich męczyć dawali, albo z ostatniego motłochu, za którym nie miał się kto ująć; przeciwnie zaś, oddający obwinionych na torturę, musieli być ludzie majątni, ponieważ expedycja tortur wiele kosztowała. Szczegółowego opisu męczenia na torturach przytaczać nie będę; nie chcę wznawiać smutnych obrazów dzikości i ciemnoty.

Kommissya Radomska, tak zwana od miasta w którym się odbywała, trwała przez sześć tygodni, poczynając w Poniedziałek po Ś. Stanisławie biskupie. Prezydentem bywał zawsze Biskup; inni kommissarze z osób obywatelskich i wojskowych, naznaczeni senatorowie przez senatus consilium, wojskowych zaś obierało wojsko. Należały do niej sprawy skarbowe i wojskowe, naprzykład kupców z oficyalistami skarbowemi o naruszenie i konfiskacyą towarów; z żołnierzy przeciw żołnierzom, albo oficerom; ca-

łych chorągwi, lub regimentów, przeciw swém jenerałom, i szefom o krzywdy w żołdzie, w awansie, w degradacyi, odprawie niesłusznej, lub odmownej nad kapitulacyą dymissyi, i tym podobnych okolicznościach wykazane. Także miejsce tu miały skargi obywatelów, na gwałty żołnierzy w przechodach i na stacyach, albo krzywdy czyniących; a przez dowodzących chorągwiemi i regimentami pomimo zaniesionego żądania nieuspokojone. Jeżeli kto z obywatelów nie zapłacił podatku z dóbr swoich, jakiej chorągwi, lub regimentowi należącego, i nie było sposobu przez exekucyą żołnierską i raz i drugi daną, wymęczyć go ze wsi, tu go pozywano, a przewiodszy zupełny proces, zadłużoną posesyą zajędzano, która w dzierżeniu żołnierskim do nędzniejszego coraz przychodząc stanu, a tém samem coraz w większe brnąc długi, stawała się dziedziectwem chorągwi lub regimentu, ziedzie zaś wygnańcem; co się najwięcej zdarzało po jakiej wojnie krajowej, albo innej jakiej publicznej klęsce, podczas której nie było komu z pustej wsi podatku wypłacać; a skoro klęska minęła, i zabrano się do gospodarstwa, chorągiew lub regiment mający taką wieś w swojej repartyeyi, upominał się razem podatku zaległego, za wszystkie lata od ostatniego kwitu; choć ta chorągiew, albo ten regiment podczas tychże podatków i rewolucyi Bóg wie gdzie się obracał, choć na ten czas od nieprzyjaciela zniesiony, swojej exystencyi nie miał, choć służąc w partyi nieprzyjacielskiej, od niej był płatnym, choć sam tę wieś w gonitwie wojennej spalił, choć

żadnej osoby z tych, którym żołd w czasie należał, już nie było, choć się de novo zrekrutował.

Likwidowały się przed tą kommissją wszystkie regimenty i chorągwie tak z przychodów i wydatków, jako też z liczby głów prawem naznaczonego; to wszystko odbywało się w Radomiu, biegiem pośpiesznym, ile w sprawach uczynkowych, a co się nie mogło odbyć na jednej kommissji, zostawało na drugą.

Palestra grodu Radomskiego, służyła téj kommissji do wprowadzania spraw, pisarz zaś trzymał pióro. Instygatorowie i woźni tym sposobem służyli kommissji, jak i trybunałom. Nie mogę zamilczeć uczt i pijaństwa, których pod czas téj kommissji więcej nierównie bywało, niżeli w trybunałach, ile gdy ten zjazd składał się po większej części z samych wojskowych osób, najczęściej z towarzystwa onych to znaków wielce poważnych, husarskich i pancernych, namiestników, pułkowników, rotmistrzów przedniej straży i oficerów autoramentu cudzoziemskiego, którzy w charakterze plenipotentów od swoich znaków i kompanii, albo całych regimentów, tudzież w prywatnych sprawach swoich tu się zjeżdżali. Ci tedy panowie wojskowi, nie potrzebując ceremonii zapraszania siebie na ucztę i bankiety, poufałością żołnierską, toczyli się do stołów i kielichów, gdziekolwiek widzieli je zastawione, a imię towarzysza, wielce w narodzie poważane, dawało im wolny przystęp do każdej kompanii, a do tego nawet niebezpiecznie było towarzysza, choć grubijanina i natręta, niegrzecznie przyjąć; każdy też, kto się chciał popisać z traktamentem

dla przyjaciół, musiał się dobrze przysposobić w trunki i otworzyć piwnicę, aby nie tylko gościom zaproszonym, ale téż i nie zaproszonym, tytułem grzeczności i attencyi, choć ich o to nie prosił, i radby się bez niej obył, wystarczyło. Kto tu był gospodarzem, można mu przyznać, iż wytrzymał nowicyat cierpliwości.

Towarzysz pijany wołał głośno kielicha dużego, a tym podanym sobie, pił prosto do gospodarza, lub obok stojącego przy sobie, choćby najdystyngowańszego pana, właśnie jakby sam był gospodarzem i swoim częstował winem; nie odebrać od niego i nie wypić, byłoby poddać się w niebezpieczeństwo kłótni i napaści. Imię: towarzysz, było hasłem na które się wszyscy zewsząd zbiegali to imię noszący, i nie można było pozbyć się napaści lub imper-tynencyi towarzysza, tylko przez protekeyą lub nasadzenie na niego innych towarzyszy.

A lubo ci ludzie pyszni, zuchwali i natrętni, tak sami między sobą, jako téż z obywatelami lub autoramentu cudzoziemskiego oficerami, często wszczynali rozterki i zwały, nigdy jednak nie przyszło w Radomiu do bitwy i pojedynku, bo te oboje były tam pod gardłem zakazane, a sąd mający miecz w ręku, ściśle był szanowany jako najwyższa istotna wojskowa juryzdykeya; dobyć szabli było kryminalem: zaczęm wszelkie kłótnie najwięcej kończyły się na hałasach, groźbie i odłożeniu zemsty do sposobniejszego czasu.

Sądy Kanclerskie miały nazwisko trojakię: najprzód, zwały się sądami królewskimi, bo kanclerze wyęczeni

w nich królów, do których pierwotnie takowe należały; powtóre: sądami asesorskiemi, iż w nich zasiadali z kanclerzem, lub podkanclerzem dygnitarze koronni jako to: sekretarze, referendarze, pisarze, instygatorowie i przydani z senatu i stanu rycerskiego asesorowie, których naznaczało senatus consilium; potrzenie: sądami kanclerskiemi, iż tylko sam kanclerz, albo podkanclerz dawał sentencyą. Jeden z pieczętarzów, kanclerz, lub podkanclerzy, odprowadzał sądy, podług woli między sobą umówionój, do którój pierwsze prawo miał kanclerz przed podkanclerzem; chyba że kanclerz nie chciał się zatrudnić tym pracowitym obowiązkiem, to go ustępował podkanclerzemu. Czas sądów asesorskich trwał od 1 Grudnia do 30 Kwietnia, w Koronie i Litwie.

Porządek zasiadających i stawających był takowy: przy jednym końcu długiego stołu suknem karmazynowém nakrytego, siedział pieczętarz na krześle o dwu poręczach; po bokach stołu, z obu stron na krzesłach bez poręczy siedzieli asesorowie, podług starszeństwa swego; którzy czasem do w pół stołu zabierali. Po nich w oddaleniu na kraju stołu zasiadał pisarz dekretowy. Przy drugim końcu stołu, prosto w kanclerza, stawali patronowie do sprawy należący; inni nie należący do sprawy i pacyenci, mieścili się za pierwszemi, albo też na ławach lub kanapach w sali sądowój, przy ścianach rozstawionych, spoczywali. Gdy w granicznój sprawie trzeba było na mappie okazywać dukta i inne miejsca; patronowie przybliżali się do kanclerza i na położonój przed nim mappie, za pomocą lasek długich,

wytykali dukta, znaki graniczne ¹⁾ taki tryb i w trybunałach przy sprawach granicznych zachowywano. Woźny był tylko jeden, i ten rzadko kiedy miał potrzebę upominać znajdujących się o milczenie, gdyż tu wszelka skromność panowała, a jeżeli kiedy powstał jaki szmer, woźny miernym głosem zawołał: Mości panowie! uciszcie się! nie rozmawiajcie, respekt sądu! i na tym było dosyć.

Sposób opowiadania spraw był dwojaki: jeden z pamięci, drugi z karty, i ten prugi nazywał się mówieniem z *instancyi*; oddawany bywał do pióra po odbytych induktach, i kanclerz w dekrete musiał wyrazić pobudki, jakie miał do odrzucenia jednej, a przychylenia instancyi, drugiej strony. Kiedy nie przez *instancyą*, tylko słownie opowiadaną była sprawa, nie wspomniano w dekrete instancyi, ale tylko dokumenta ważniejsze. Patronowie asesorscy pospolicie bywali plebeuszowie, rzadko kiedy zamieszał się pomiędzy nich szachcie, dla tego palestra asesorska nie bratała się z grodzką, i ziemską, od której była mniej poważana, jako nierówna urodzeniem choć bogatsza. Dzielila się na dwie klasy: na patronów i agentów, tych ostatnich przez urąganie palestra grodzka nazywała torbiferami, dla tego, że dokumenta i księgi prawne, za swemi pryncypałami nosili na sądy w torbach płóciennych. Agentów powinnością było pisać sumaryusze, przepisować na czysto instancye, przeglądać często rejestra, dla wiadomości jak daleko sto-

¹⁾ A kanclerz i asessorowie takimi wskazówkami od patronów opatrzeni, za nimi syllabizowali.

ją sprawy, do których należą ich pryncypałowie, a przepisane, z rejestru który wszedł na stół, mieć przy sobie na pogotowiu; a oprócz tych obowiązków, mieć nogi nie leniwe do wszelkich usług, i poselstw Jmci pana patrona i Jmci pani patronowej, czasem nawet po pietruszkę na rynek, albo do szewca po trzewiki. Do takich jednak usług, zażywani bywali tylko nowicyusze i ci, którzy mieli stancją i stół od pryncypała. Którzy zaś edukowali się swoim kosztem, albo mieli po sobie młodych, pilnowali tylko pióra i rzeczy sądowych. Promocya do patronizacyi zależała od aplikacyi i łaski pryncypała. Kiedy agent został patronem, brał patent od króla na sekretarza Jego Królewskiej Mości, dla którego charakteru, choć nie był szlachcicem, służył mu tytuł szlachecki, po łacinie generosi, po polsku urodzonego. Następujące sprawy do sądów kanclerskich należały: mieszczan z mieszczanami prywatnemi, od magistratu miejskiego przez appellacyą za dworem wytoczone, pospółstwa, albo i prywatnego mieszczanina, przeciw magistratowi, klasztorów, zgromadzeń i kościołów, które miały grunta, domy, kamienice, place na prawie Magdeburgskiem lokowane, zapisy, lub pożyczane summy na dobrach miejskich. Starostw z miastami nawzajem, szlachty graniczącej z starostwami i dobrami królewskimi stołowemi, sprawy o otrzymane kaduki na dobra, sukcesyę prawego dziedzica nie mające, i przeto prawu królewskiemu rozdawniczemu podpadające, sprawy między dwoma na jeden urząd, starostwo, lub dzierżawę królewszczyzny, przywileje utrzymującemi; także sprawy szlacheckie, któ-

re z possessyi w miastach nabytėj, albo z successyi przez ożenie szlachcica z mieszczanką wynikały. Zgoła wszystkie te sprawy miały forum w asesoryi, które dotyczyły praw miejskich, i przywilejów królewskich, a w ich rozpoznanie żaden inny sąd nie mógł się wdawać. Dla tego patronowie asesorscy musieli być biegłemi, tak w prawie Magdeburgkiem, Chełmińskiem i innych prawach miejskich, jako też w statutach królewskich i konstytucyach koronnych. Nawet skryptury i ekstrakty wszelkie asesorskie, z rąk agentów wychodzące, droższe tu były niż w innych sądownictwach; moneta i talary dwukurantowe, nie wielkie miały tu znaczenie, tylko złoto a jeszcze obrączkowe; cokolwiek zaś wychodziło z protokółu dekretowego, lub z metryki koronnėj, ordynaryjną miało taxę, od arkusza czerwony złoty; ale też za to pisano ściślejszym charakterem, niżeli w grodach, ziemstwach i trybunałach, gdzie prawo naznaczyło od arkusza po złotemu, a na jednej stronie, czyli facyacie arkusza, kazano mieć wierszy dwadzieścia, nie dołożywszy ile powinno być liter w jednym wierszu.

Metryki w Koronie były dwie: większa i mniejsza, i w Litwie także dwie; nazywały się dla tego większemi i mniejszemi, że służyły pieczęciom większym i mniejszym; pieczęcie zaś brały nazwisko od pieczętarzów, z których kancelerze zwali się pieczętarzami większemi, podkanclerzowie mniejszemi, chociaż urząd obudwóch był jednakowy, i same pieczęcie równe były sobie w ogromności; pieczęcie pomienione wyrażały: na krzyż dwa orły, to jest herb ko-

ronny; dwie pogonie, to jest dwóch jeźdźców zbrojnych na koniach herb litewski; w środku zaś herb królewski, jakim się panujący pieczętował.

W metryki wpisywano wszystkie przywileje i dyplomata, które z pod ręki królewskiej wychodziły; oprócz tego metryki pomienione, były aktami publicznymi, wolno było każdemu czynić w nich wszelkie tranzakcye, kupna i przedaże, rezygnacye, interczyzy szlubne, manifesta, nawet i oblaty wszelkich skryptów, a miała każda tranzakcya, w metryce uczyniona, taką ważność, jakby była uczyniona w własnym grodzie albo ziemstwie. Same tylko relacye pozwów nie miały w metrykach miejsca, prawo nakazywało je odsyłać do własnych powiatów, pod nieważnością pozwu iżby między metrykami nie było zamieszania, i metrykanci jedni drugim akcydensów nie odbierali. Metrykant ten miał więcćj zysku, który służył pieczęci czynniejszej; który pieczętarz prędzej wygotowywał przywileje, do tego się bardziej garniono, a zatem i metrykant jego więcćj profitował.

Każdy pieczętarz miał sekretarza, który przywileje królewskie pieczętował, i na nich się podpisywał. Ten urząd miał dosyć honoru, pożytku zaś tyle, ile go udzielał sekretarzowi. Pieczęć nie zawsze posiadali szlachta, bywali czasem sekretarzami pieczęci plebejuszowie duchowni i świeccy. Należało albowiem do pieczętarzów powierzenie pieczęci komu się podobało; człowiek zatem zdatny, każdemu przygodny i w protekcyi kanclerza zosta-

jący, miał pokój z strony urodzenia, które wielom niewiadome, od wiadomych zaś tajone, za szlachetne uchodziło.

W sądach referendarskich wszystko się toczyło jedną formą co w sądach kanclerskich, ta sama powaga, ta sama władza jako namiestnicza królewska. Był to sąd dla chłopów królewskich, tak z starostw, jako też dóbr stołowych, aby chłopci królewscy w uciążliwościach swoich od starostów i ekonomów, znajdowali sprawiedliwość i protekcję. Patronowie i palestra służyła sądom referendarskim ta sama, co i asesorskim. Pisarz referendarski bywał zawsze człowiek w rzemieśle prawniczém doskonały; że zaś referendaryja otwierała się po skończonej asesorsyi i trwała tylko kilka niedziel; — przeto patronowie asesorscy najlepsi przyjmowali ją dla honoru, gdy ten nie odbierał im pożytku z patronizacyi asesorskiej, z piórem referendarskim zgodnej i gdy akcydensa patronizacyi, nagradzał prowent od dekretów, równy, albo mało co mniejszy.

Referendarskie i kanclerskie sądy, były ostatnią instancją; dekret z obu stron kontrowersyi, a po litewsku oczywiście otrzymany, kończył sprawę. Czasem jednak za rekskryptem królewskim bywała jeszcze drugi raz roztrząsana i sądzona, kiedy strona mająca się za pokrzywdzoną znalazła u dworu mocną protekcją.

Sądy nuncyatorskie. Wszystkie sprawy o dziesięciny i fundusze, o zapisy, o testamenta świeckich osób dla duchownych czynione, albo od duchownych czynione o spadki po zmarłych bez testamentów duchownych, o prowizye kościołom, albo duchownym osobom należące zaległe, o dłu-

gi duchowne osobiste, o wiołeneye gruntów, i inne wszelkie zakłócenia między świeckimi i duchownymi wydarzone, juryzdykecy duchownej podlegały; a przeto, ze wszystkich konsystorzów koronnych i litewskich, obrządku łacińskiego i greckiego, do nuncyatury spływały, niewspominając spraw rozwodowych, spraw o beneficya i spraw de vita et moribus spiritualium, które tylko po dziś dzień przy juryzdykecy duchownej pozostały. Dla tak wielkiego nacisku spraw zewsząd, sądy nuncyatorskie były uważane na równi, między najpierwszemi w kraju; sprawy też w nich dla tejże przyczyny, jak w trybunale, albo w asessoryi leniwo się odbywały. Lat kilka trzeba było czasu, nim sprawa między osobami miernemi doszła, bo i to przeszkadzało, że sprawy nie szły na stół porządkiem, ale podług woli sędziego, za wpływem przyjaźni, lub mocnego polecenia. Nuncyusz sam nie sądził, tylko audytor włochem, i czasem świecka osoba żadnego duchownego tytułu, ani święcenia nie mająca. W sprawach jednak wielkiej wagi, między osobami pierwszego dostojenstwa, zasiadał czasem sam nuncyusz z audytorem. Patronowie stawali ciż sami co i w asessoryi indukowali bardzo krótko w języku łacińskim, namieniając tylko jak najwięźleń trześć sprawy i z którego stopnia postępuje do drugiego.

Sądy marszałkowskie odprawiały się pod bokiem królewskim, gdzie król jaki czas bawił, to jest: w Warszawie i Grodnie; a że w Grodnie August III, zaledwie był cztery razy przez ciąg swego panowania, do Warszawy zaś zjeżdżał co dwa lata dla sejmu, i bawił czasem po pół roku

i dłużej; dla tego sądy marszałkowskie najwięcej się w Warszawie odbywały. Dzielily się te sądy na potoczne i kryminalne; potoczne odbywał sędzia marszałkowski z pisarzem, w kamienicy w której sędzia mieszkał. Na kryminalnych zasiadał sam marszałek w swoim pałacu. Kiedy się przy boku królewskim nie znajdował marszałek wielki koronny, to miejsce jego w tej jurysdykcji i w innych powinnościach do łaski wielkiej należących, zastępował marszałek nadworny koronny; a jeżeli obudwóch koronnych nie było; to jeden z dwóch marszałków litewskich się znajdował. Na dwie niedziel przed sejmem, jeżeli jeszcze król nie przybył do kraju, a jeżeli przybył, to prędzej przed przybyciem jego na kilka dni, otwierały się sądy marszałkowskie, oznajmowane po głównych przedmieściach i ulicach warszawskich, przez odgłos trąby i wywoływania woźnego, któremu instygator marszałkowski otoczony Węgrami marszałkowskimi, dyktował z karty to, co miał obwoływać. Po takim obwołaniu, zaczęły chodzić nocne runty, nietylko Węgrów marszałkowskich, ale też i regimentów gwardji pieszej i konnej, tudzież patrole ułanów królewskich, przestrzegające spokojności i bezpieczeństwa publicznego; a kogo zdybali na ulicy chodzącego po czapstrzyku albo w szynkowni, czyj biedny ubiór, albo zła odpowiedź wzbudzały podejrzenie, tego zabierali na odwach, a nazajutrz odprowadzali do marszałkowskiej kordygardy, przy bramie Nowomiejskiej będącej, z której po przesłuchaniu przez sąd marszałkowski i otrzymaniu zasłużonej kary, byli uwalniani.

Chociaż dobyte szable pod bokiem królewskim, było kry-

Obyczaje.

minalnym czynem, nie widzieliśmy jednak nikogo straconego za samą tylko takową zuchwałość, a nawet i za zranienie; pospolitą karą w takim razie była wieża górna, dolna i grzywny, podług miary występku; chyba że zaszło zabójstwo, to wtenczas bądź zabójcy, bądź wszczynaczowi zwady, zdejmowano głowę. Nie raz na pokojach królewskich, albo na zamku w przysionku izby senatorskiej, cisnący się natręt, odepchniony kolbą szyldwacha, z niecierpliwości porwał się do szabli, a i taki nie przypłacił życiem tej porywczosci, tylko wieżą i grzywnami, a wojskowi aresztem i łańcuszkami. Prawa bowiem polskie nie tak są surowe w wykonaniu, jak w osnowie; odwołanie tej skargi, względ na urodzenie i familią, a czasem skłonne do miłosierdzia serce sędziego, ostrość prawa łagodzi. A chociaż to stoi napisano w prawie, że porywający się do oręża pod bokiem króla, powinien być śmiercią karany; to tylko dla uszanowania majestatu królewskiego napisano, że godzien winowajca takiej kary, ale niekoniecznie powinien ją ponosić; z drugiej zaś strony, gdy pod bokiem królewskim dla zjazdu ludu z różnych województw pełno było wesołych szałaputów, kosterów, zalotników, młodzieży, zuchów porywczych do korda, niepodobna przeto każdego karać śmiercią, gdyżby nie zadługo ludzi brakowało; co wszystko wzięte na uwagę, miarkowało w sędziach surowe prawa.

Sądy potoczne marszałkowskie, zatrudniały się sprawami o gwałtowności i bójki, wyżej wspomniane; o potwary, o stancye najęte, a według kontraktu lub zgody

słownej nie zapłacone, lub po najęciu i zadatku wziętym nie dotrzymane. Także o karty ręczne, który to ostatni gatunek spraw, przywłaszczyli sobie marszałkowie prawem gościnnem. Goście przybywający do miasta rezydencyonalnego królewskiego, nie mający żadnej nad sobą miejscowej jurysdykcyi, podlegali w wszelkich sprawach sądowi marszałkowskiemu. Wierzyciel tedy jakikolwiek bądź miejscowy, bądź goszczący, przydybawszy w Warszawie swego dłużnika, pozywał go do tych sądów, w którym prędkie odsądzenie sprawy czyniło zadosyć jego żądaniu. Kartownicy także i szulerowie o summy wygrane, a nie zapłacone, tu się pociągali. Najwięcej zaś było spraw w sądach marszałkowskich, ludu pospolitego, prawem miejskiem nie zaszczyconego, szlachty osiadłej przy Warszawie, własne possessye na różnych jurysdykcyach mającej, albo też po innych dworach i pałacach mieszkającej, którzy wszyscy uważając się za wolnych od sądu miejskiego, w samej rzeczy władzy swojej nad takimi osobami rozciągając nie śmiejącego, gdzie indziej odpowiadać wzbraniłi się, tylko w sądach grodzkich albo w marszałkowskich; a że w sądach grodzkich nie tak prędką była expedycya i nie tak ostre wykonanie, jak w marszałkowskich, przeto wszyscy się chętniej do marszałkowskich jak do grodzkich sądów ubiegali. Same przekupki warszawskie zwadliwe i wyparzonej (jak to mówią) gęby kobiety, robiły spraw nie mało; powadziwszy się jedna z drugą, biegli w zapale do instygatora marszałkowskiego. Ten czasem na piśmie, czasem ustnie posyłał przez woźnego pozew stronie pokrzywdzającej; sam po-

tém, choć mimo woli stron uciszonych, wnosił sprawę, jakoby o urazę publicznej uczciwości, dekret wydawał na grzywny dla sądu, z przydatkiem deprekacyi stron wzajemnej, czasem też z chłostą obydwóch lub jednej winiejszej.

Sądy kryminalne marszałkowskie nie miały regularnych sessyi, tylko wtenczas, kiedy się znajdował winowajca godzin śmierci. Lecz skoro Franciszek Bieliński objął łaskę wielką koronną, rzadko kiedy wakowały. Ten bowiem pan był niemniej surowy jak sprawiedliwy; wyprawiał rąco na tamten świat, każdego, ktokolwiek dostał się pod sąd jego a był godzin śmierci. A że po całym kraju słynął, tym wymiarem sprawiedliwości, przetoż wożono do jego sądów kryminalistów z najodleglejszych polskich prowincyi, gdy się delatorom w innych juryzdykcyach miejscowych zdawał proces długi i kosztowny, albo sprawiedliwość nie pewna; mianowicie kiedy jaki familiant popełnił zbrodnię, za którym obstawali pokrewni, albo żyd, którego drudzy żydzi okupem, by też najdroższym, wyzwalali od śmierci, i to uważali za akt heroiczny swojej religii. Te względy nie popłacały u marszałka Bielińskiego. Jedna tylko królowa, pani wielce pobożna i miłosierna, nie raz tamowała mu wykonanie wyroku, usilnemi prośbami wypraszając winowajców od śmierci zasłużonej. We dwie niedziel po wyjeździe króla kończyły się sądy marszałkowskie, co zaś do innych rozporządzeń w mieście Warszawie, tém się Bieliński ciągle zatrudniał; a gdy wyjechał na lato, jak miał zwyczaj gdy króla nie było, do dóbr swoich Otwocka,

zostawał w Warszawie namiestników którzy plany jego wykonywali.

Sądy konsystorskie. Woźny tym sądom służący nazywał się kursor; przy niektórych konsystorzach nosił suknie barwiane, jakie dawał oficyał swoim ludziom służącym, kroju polskiego; miał także blachę posrebrzaną, na boku prawym lub lewym do kontusza przyszytą, herb albo cyfrę oficyała wyrażającą. Podczas sądów nie wrzeszczał: ucieście się, albo na ustęp mości panowie, jak wrzeszczeli woźni w świeckich sądach, albowiem w sądach duchownych wprowadzali sprawy patronowie przez pismo, jak w nuncyaturze, dla tego kiedy położyli swoje warunki i obrony stron, którym służyli, nie mieli potrzeby ucierać się między sobą na słowo. Skoro więc oficyał, lub surrogator zasiadający na sądach, dał znak na ustęp, natenczas wychodzili wszyscy bez oporu, jako nie mający się nad czem bawić.

Kursora obowiązkiem było, przygotować stół, krzesło, krucifiks i serwis do pisania, a kiedy kursor wyprawiony gdzie daleko z monitorium, to jest z pozwem, nie zdążył przybyć na sądy, powinność tę odbył za niego którykolwiek sługa domowy oficyała albo surrogatora.

W środku panowania Augusta III, gdy się zageścili rozwody, często z obu stron zmówne, Stolica Rzymska postanowiła defensorów matrimonii, któremi byli fiskalowie czyli instygatorowie. W ten czas z obowiązku wchodzili do każdej rozwodnej sprawy, utrzymując ważność małżeństwa, z którego się strona jedna lub obydwie wyłamać starały.

Ale ta ostrożność, jak wszelkie inne wśród szerzącego się zepsucia, na mało się przydała.

Palestry konsystorskie nigdy nie były liczne, tylko synowie mieszczan wchodzili do nich, a podkrzesawszy się w łacinie i w formie prawniczej, albo zostawali czasem pisarzami konsystorskiemi, lub kanonikami doktoralnemi, albo też wchodzili, ożeniwszy się, w radę miejską, i zostawali miejskiemi pisarzami. Mało więc było takich, którzy wiek swój w palestrze konsystorskiej trawili i brakowało tego rodzaju subiektów, a osobliwie w konsystorzach województw ruskich. Za Kobielskiego Biskupa, w Łuckim konsystorzu, był tylko jeden patron, który stawał od obudwóch stron. Co przywodził na poparcie jednej strony, to znowu zbijał stawając od drugiej.

VIII.

STAN ŻOŁNIERSKI.

Od czasu drugiej wojny Szwedzkiej za panowania Augusta II, wojsko zredukowane na 12,000 w Koronie, a o 6,000 w Litwie, gnuśniejąc w bezczynności, nie dochodziło nawet i połowy téj liczby. Wtenczas tylko oddziały wojska były czynnemi, gdy je na kresy to jest nad granice Podola i Ukrainy wysyłało z kolei, dla pilnowania granic od najazdu hajdamaków, czyli siczy kozackiej, Tatarów i innych hord rozbójniczych. Rodzaje tego wojska były następujące:

Autorament polski. W nim chorągwie hussarskie pancerne i lekkie, albo przedniej straży. W litewskim wojsku petychorskie chorągwie toż samo znaczyły, co w koronnym pancerne. Nazywał się ten gatunek dla tego autoramentem polskim, iż używał stroju polskiego i siedzeń na konie polskich, to jest kulbak, które nie były jednoforemne, ale po dług gustu każdego jeźdźca rozmaite, to jest: łęk, terlica, jarczak i turecka kulbaka. Łęk był o dwóch kulach równych, z przodu i z tyłu w górę podniesionych, między które kule siadał jeździec na poduszkę skurzaną, siercią bydlęciami wypchaną, rzemieniem pod brzuch konia przechodzą-

cym przywiązana. Terlica była o jednej kuli z przodu w górę wydaną, i o ławce okrągłej z tyłu, na ćwierć łokcia szerokiej, z poduszką w środku takąż jak i łęk. Jarczak, była to terlica albo łęk gładki, skórą obklejony bez poduszki, na którym to jarczaku chłopcy i ciurowie do twardego siedzenia na koniu bywali przyuczani; turecka kulbaka była podobna do terlicy, z tą tylko różnicą, iż przednia kula była wyższa i ostrzejsza, a zadnia ława szersza; miasto zaś poduszki cały wierzch kulbaki miękko włosem wysłany i suknem powleczone; takiego najwięcej siedzenia hussarze używali. Można i ztąd wyprowadzać nazwisko autoramentu polskiego, iż to był rodzaj milicyi polskiej, najdawniejszy krajowy, a jego starszyzna miała wyłącznie polskie nazwiska.

A temi byli: hetmani, rejmentarze, pułkownicy, rotmistrzowie, porucznikowie, chorążowie, namiestnicy i całemu wojsku służący pisarze polni, sędziowie wojskowi, buńczuczni hetmańscy.

Hetman samowładnie rządził całym wojskiem: wielki koronny, koronny; wielki litewski, litewski; polni hetmani nie mieli żadnej władzy, tylko wtenczas, kiedy hetman wielki umarł, a król zaraz po jego śmierci buławy wielkiej nikomu nie oddał. W czasie także wojny za dawnych lat dzielili się władzą i pracą wojskową.

Rejmentarzów w koronie było czterech; jeden partyi ukraińskiej, drugi partyi sandomierskiej, trzeci partyi małopolskiej, czwarty partyi wielkopolskiej. Tych mianował podług upodobania hetman wielki koronny, bardziej dla

okazałości jak z potrzeby, bo prawdę rzekłszy, wszyscy nie mieli nic do czynienia w głębokim pokoju.

W litewskim wojsku nie było regimentarzów, bo nie było co dzielić, gdy z sześciu tysięcy wojska które być miało, ledwo się znajdowało wistocie dwa lub trzy tysiące pod bronią, a przeto na tak małą kwotę sam hetman nie wiele użył pracy, i ledwo ta garstka wystarczała na assistencye hetmanom i trybunałom. Rejmentarze byli to namiestnicy hetmańscy, pomagający mu dźwigać ciężaru pracy, jakoby nieznośnej na jedną głowę, rządu wojskowego, gdy w samej rzeczy nie mieli do czynienia; prócz odbierania raportów od chorągwi i regimentów sobie powierzonych i te przesyłali hetmanowi; czasem też wydawali ordynanse, na assistencyą jakiemu wjazdowi. Pułkownicy chorągwi husarskich i pancernych w koronie, a petychorskich w Litwie, byli tylko tytularni, aktualnych być niemogło, kiedy i pułków nie było, a każda chorągiew osobną miała konsystencyą, jedna od drugiej czasem o sto mil odległą. Repartycyą płacy osobno każda chorągiew wybierała z podatku pogłównego i hibernowego, w województwie i powiecie sobie naznaczonem; a w służbie lub jakiej powinności żołnierskiej, jedna z drugą nie miała żadnej komunikacyi. W jednych tylko regestrach popisowych i w drugich kalendarzach politycznych, wojsko polskie pułkami układano. Lecz jako honory są rzeczą miłą, tak nie gniewali się porucznicy drugich znaków, gdy im dawano tytuły pułkowników w potocznych pismach, listach i konwersacyach. A tak pożyczając jedni od drugich tytułów, wszyscy porucznikowie zna-

ków hussarskich i pancernych, zwani bywali pułkownikami. Rotmistrzami znaków pancernych, petychorskich i hussarskich bywali wielcy panowie, książęta, senatorowie i ministrowie, sam król i hetmani; a rzecz osobliwsza, że w tém wojsku polskiem i stan duchowny miał swoje umieszczenie: książę Prymas był rotmistrem jednej chorągwi hussarskiej, książę biskup krakowski drugiej, a w litewskiem wojsku biskup wileński, trzeciej. Rotmistrz nie miał więc do czynienia, jak tylko imieniem i godnością swoją zaszczycać i chrzcić chorągiew; porucznik i chorąży, którzy byli kreaturą rotmistrza, przydawali jęj nieco lustru, kiedy sami byli zkąd inąd dystyngowanymi ludźmi.

Pancernik i chorąży, jeżeli chcieli, mogli zajmować się swojemi powinnościami, lecz i to rzadko się trafiło; pospolicie rząd całej chorągwi i komendę trzymał namiestnik, którym bywał jeden z towarzystwa z pomiędzy starszych. Ten już zawsze przy chorągwi siedział, wszystkiemi pocztowemi i całém gospodarstwem chorągwanym zawiadywał. Towarzystwo tylko wtenczas podlegało subordynacyi jakiegokolwiek namiestnika, kiedy chorągiew bądź cała, bądź część jęj jakowa, za rozkazem rejmentarskim ruszała z miejsc, wtenczas znajdujący się przy chorągwi towarzysze, obowiązani byli słuchać kommendy namiestnika, tak co do stawania w szyku, jako też co do marszu i stacyi, i to było wszystko, czem mógł namiestnik komenderować; nie było albowiem więcęj nigdy rezydujących przy chorągwi towarzystwa nad czterech, pięciu, a najwięcej sześciu; a i ci więcęj po sąsiadach, obywatelach, przyjaciółach, trybuna-

łach, kommissyach, przesiadywali lub własnymi interessami trudnili się. Mustry lub innych ćwiczeń żołnierskich nieznało wojsko polskie, oprócz tych dwóch tępów, w przysłowiu częstem a w użyciu rzadkiem będących: *nabij, zabij*.

Ci, którzy zaciągali się pod znak hussarski lub pancerny, obowiązali się zaraz albo służyć osobiście, albo też dać za siebie pocztowego. Każdy towarzysz zaciągał się podwójno, to jest towarzysz i pocztowy, który zaś nie miał woli traktować żołnierskiej professyi, tylko dla honoru być towarzyszem Jego Królewskiej Mci, pana hetmana, lub innego jakiego pana, stawiał za siebie dwóch pocztów, na których należącą płacę odciągał namiestnik, a resztę oddawał towarzyszowi.

Towarzysz służący osobiście, nie mógł się oddalać od chorągwi bez urlopu, a niemógł go otrzymać od kogo innego, tylko od samego hetmana; lecz to tylko wtenczas potrzebne było, kiedy chorągiew zabierała się do jakiego marszu, albo gdy z wykommenderowaną częścią pocztów na jaką wyprawę, naprzykład: na łapanie jakich rabusiów, zbójców, cyganów lub hajdamaków ukraińskich, na niego ciągnąć z rejestru kolej wypadła; od takowych powinności urlop otrzymany, był wymówką prawną, dawano go też łatwo za jakąkolwiek wymyśloną przyczyną; powinność zaś jego zastępował drugi po nim lub przed nim w rejestrze następujący towarzysz, podług ordynansu, jak szedł za rejestrem, czy z góry na dół czy z dołu do góry. Taki zastępca brał płacę za tego, którego zastępował, do czasu wyprawy przystósowaną. Kiedy zaś chorągiew leżała na

kwaterze i nie było żadnej wyprawy, niepotrzebny był urlop, gdyż rezydenci aktualnej przy chorągwi od towarzyszków ściśle nie wyciągano; dosyć że był na rejestrze, i że niemając urlopu, musiał stanąć, w potrzebie. Namiestnik też nie gniewał się o to bynajmniej, że często sam jeden chorągwi pilnował; albowiem zwyczajem powszechnie wniesionym, każdemu towarzyszkowi, bądź w osobie bądź w so-witém poczcie służącemu, odciągał na rok złotych ośmdziesiąt, za które abcugi dał stół towarzystwu przy chorągwi rezydującemu. Im tedy mniej było rezydentów, tém się więcej okrawało namiestnikowi. Ci, którzy dali za siebie sowity poczet, do żadnej wyprawy nie należeli, ale tylko tracili pensyą.

Lecz kiedy chorągiew dostała rozkaz: *nemine excepto*, bez żadnego wyłączenia assistować jakiemu pompatycznemu aktowi, wtenczas kto się chciał uwolnić od takiego mozołu, oprócz pocztów, musiał przystawić na miejsce swoje, innego słusznego szlachcica, który za niego na dzielnym koniu w rynsztunku wojennym paradował, co chorągiew mile przyjmowała. W takowej paradzie chorągiew wydawała się wspaniała i okryta, gdy za jedną osobę dwie pod nią stawało.

Koło chorągwiane. Co rok każda chorągiew pancerna i husarska odprawiała koło, to jest obradę w interessach chorągwi i partykularnych; na takie koło zjeżdżali się towarzysze, którzy chcieli, a którzy nie chcieli, przez innych swoje interessa przedstawiali.

Towarzysz ciągnący na koło, sadził się według możności

żeby jak najparadniej tam przybyć. Najuboższy towarzysz jechał na koło karabonem, to jest: wozem w skórę czarną obitym, w cztery konie zaprzężonym, z woźnicą w barwę ubranym.

Na wozie siedział towarzysz, mający na sobie szarawary, ładownicę i krucyfix za pazuchą, lub obraz Matki Boskiej na taśmie jedwabnej, lub wstążce na szyi zawieszony, z dwoma obdłużnemi końcami na plecy spuszczo-nemi. Szabla wedle niego była z jednej strony, z drugiej strony sztuciec lub rusznica; do wozu była przywiązana dzida, grotem w tył obrócona, za koła zadnie na dwa łokcie stercząca, z kitajką czyli chorągiewką, wedle drzewa obwi-niętą, aby się nie szargała. Za wozem luzak, to jest służa-lec towarzysza, ubrany w barwę jednego koloru z woźnicą, siedząc na koniu, w ładownicy, szarawarach, i mając tak jak i pan krucyfix lub obraz na sobie, powodował drugiego konia pańskiego, na którym była kulbaka z rzędzikiem, lub rzędem, z pistoletami w olstrach, a to wszystko było przykryte dekiem tureckim, czerwonym, zielonym albo po-marańczowym wełnianym, w kutner tkanym; głowę także konia i kark przykrywał kutan, to jest: kapa z białego su-kna prostego, na którym były poprzyszywane, z innego su-kna rozmaitego koloru płatki, wystrzygane w ptaki i różne figury; w tym kutanie były cztery dziury, otasławane czer-woną lub zieloną tasiemką, albo sznurkiem, przez które wyglądały uszy końskie, i oczy. Za wozem siedł uwiązany, albo wolno puszczony chart, albo wyżeł. Majętniejsi towa-rzysze z większą ciągnęli liczbą koni i ludzi. Służyli za

towarzyszów tak majątni obywatele, osobliwie młodzi paniczowie, że mogli paradować na kole, karetą z szczęcią koźmi, wóz jeden i drugi za karetą sześciokonny; ludzi służących dwornych, kilku i kilkunastu, z kucharzami, hajdukami, pajukami, prowadząc w wozach wina beczkę jedną i drugą; gorzałki gdańskiej kilka puzder, i różnych porządków stołowych i żywności. Karabony z górą były wypakowane, ponieważ tak się popisać u chorągwi suto, było zaszczytem szczególniejszym rycerstwa Polskiego, do innych dzieł w kwitnym pokoju pola niemającego.

Następowała potem rada wojskowa, czyli chorągiewna, na której deputat przeszłoroczny składał pieniądze wybrane na chorągiew z podatków do niej należących, podawał delatę wsiów i miast, które podatku nie zapłaciły, i czynił rachunek z wydatków, jeżeli miał jakie na przeszłym kole zleconą; resztę gotowizny oddawał namiestnikowi, który każdemu towarzyszowi wypłacał jego należność, wytrąciwszy pieniądze stołowe wyżej wymienione, strawne dla szeregowego, i inny wydatek zdarzony na naprawę rynsztunku lub konia upadłego; tym zaś towarzyszom, którzy na koło nie zjechali, odsyłał przez przyjaciół, jeżeli tego żądali.

Po uprzątnieniu rachunków, przystępowano do obrania nowego deputata, który lubo powinien był iść za rejestrem z góry na dół, dla wielu jednak nieprzytomnych, albo nie chcących się tém zatrudniać, dostawała się ta funkcyja częstokroć najmłodszemu, kiedy mieli za sobą mocne instancye, albo miłość u kolegów. Na ostatku obierali plenipotentą na kommissyą do Radomia, i dwóch rezydentów na assy-

stencyą do rotmistrza; albo dawnych potwierdzali. Na te czynności były trzy dni naznaczone, po których już obrady miejsca nie miały, ale zjazd trwał tydzień jeden i drugi, póki tego, co możni poprzywozili z sobą, nie wyczęstowali, a chudzi nie wyjedli i nie wypili.

Póki trwało koło, póty znać było, że tam stoi chorągiew; jak się koło rozjechało, szeregowi do kwater i do gospodarstwa powrócili, mundury z siebie pozdejmowali, już nie było znaku chorągwi. Przed panem namiestnikiem warta nie stała, na ordynansie był tylko jeden szeregowy po kolei; trębaczę jednak, których po dwóch bywało, przy każdej chorągwi obowiązani byli, pobudkę trąbić przed stancyą namiestnika, także wytębować wiwat, kiedy namiestnik gości częstował: przez cały rok chorągiew niczem innem nie dawała znaku o sobie. Każdy słodko spoczywał w swojej kwaterze, a pan namiestnik przechadzał się tędy owędy po mieście, lub po wsi, z cybuchem w rękę albo lulką w gębie, dla utrzymania subordynacy i dojrzenia porządku.

O deputacie do exakeyi. Wyznaczonemu do poboru podatku, nie godziło się prowadzić więcej ludzi, koni, jak tylko tyle, ile towarzyszowi należało. W takiej tedy wyprawie ciągnął od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka chorągwi jego podatek płacącego; powinien był ujeżdżać po dwie mile na dzień i po trzech dniach takiej ciągłej podróży, wypoczywać przez trzy dni w miejscu dostatniejszym; ale tego przepisu nie słuchał żaden deputat, odprawiał wszędzie trzydniówkę, gdzie mu się podobało, choć z jednej wsi do drugiej nie ujechał więcej nad pół mili. Skoro

wjechał do wsi, oświadczył się dworowi lub starszemu chłopu ze wsi, gdzie był, a w miasteczku burmistrzom; lokował się czasem we dworze, czasem u chłopu, jak mu gdzie dano kwaterę, stosując się w tém do woli zwierzchności miejscowej, zachowując prawo skromności. Ale w innych wygodach wcale się trzymał opodal tego prawa; kazał sobie szafować tyle owsa i siana, ile tylko jego konie na miejscu i przez drogę, aż do drugiej stacyi umyślniej, zezrzeć mogły. Tyle kur, gęsi, kapłonów, jaj, masła, sera, chleba, mąki, kaszy, słoniny, ile dla niego z czeladzią potrzeba było, i do woza okroić się mogło; pamiętał także wszędzie, kiedy obaczył dwór porządny, aby jego puzderko podróżne, wódką dobrą przepalaną a baryłkę z okowitą dla czeladzi, w téj kwocie, ile wysuszył przez drogę tam, gdzie takiego trunku nieznajdował do smaku, dopełniono; z piwem się nie woził, jako z trunkiem prędko wietrzejącym; na miejscu pił go, co chciał z swoją czeladzią, i co napił, gromada karczmarzowi płaciła. Gdzie założył trzydniówkę, tam bawił koniecznie, choć mu zaraz pierwszego dnia podatek oddano, na który dawał kwit ręczny, i nawzajem brał drugi od zwierzchności miejscowej, jako się skromnie obszedł z obywatelami i żadnej im krzywdy nie uczynił.

Naładowawszy wóz furazem i żywnością, deputat jechał na drugą trzydniówkę, od której się można było wykupić za słuszną odpłatę. Ten był sposób najlepszy pozbycia się prędko tego gościa: ułatwić jaknajprędzej podatek, zapłacić mu trzydniówkę, albo zamiast pieniędzy wóz wyładować furazem, i prowiantem, i z grzecznem obejściem, wyprawić go dalej.

Deputat miał zysk dwojaki: najprzód, że na trzydniówkach pieniędzmi mu się opłacano; powtóre, z pensyi na którą się chorągiew deputatowi składa, z konia po talarze bitym. Trzeciego zysku nie wszyscy się chwyтали, a ten był, że szóstaki brane po groszy 11 lub 12, w kursie wyższym oddawał zaś czerwony złoty ważny obrączkowy, po złotych 16 lub 17, a czasem gdy było złoto obrzynane, to i mniej dawał, chorągwi zaś oddawał go po zupełnych złotych 18; więc funkcja deputata, z tych wszystkich akcydensów, wynosiła do trzech i czterech tysięcy, nie rachując że przez ćwierć roku, albo dalej, nic go niekosztował wikt własny, ludzi i koni.

Chorągwie hussarskie nie służyły tylko na assistencyą jakiemu wjazdowi pańskiemu, na starostwo lub województwo, albo pogrzebowi podobnemu; dla tego pancerni hussarów nazywali żołnierzami pogrzebowemi, lubo assistowali także pierwsi i drudzy obrządkom kościelnym.

Kiedy na taką wyprawę ruszała się chorągiew hussarska, prowadziła za sobą wielką moc wozów czterokonnych i parokonnych, ludzi przytem trzy razy tyle, ile komplet chorągwi zabierał, a to z téj przyczyny: najprzód szły wozy naładowane zbrojami, których w ciągnięciu ani towarzysze ani szeregowi nie używali, aż na samem miejscu, raz dla lekkiego siedzenia na koniu, drugi dla deszczu, po którym potrzebowały chędożenia i polerowania, a zatem się darły; po wozach zbrojnych następowały wozy z bagażami JP. namiestnika i towarzystwa przy chorągwi się znajdującego; na nich były suknie paradniejsze, z rzędami,

kulbakami, w srebro oprawne, pościele, pawilony, makaty, kobierce, namioty, trepuchy, to jest żłoby płócienne na kółkach rozpinane, w których koniom, gdy w polu trzeba stać było, obroki dawano, deki, dywytyki, dery, rądle, misy, półmiski, talerze cynowe, kociołki miedziane, wędzonki, szynki, kielbasy, chleby i obroki, zgoła wszystkie potrzeby do żywności ludzi i koni należące. Jeżeli chorągwi komplet był koni 50, to z woźnicami, marszałkami i inną czeladzią służącą, można ją było rachować na 300 głów, a koni 500. Trzeba było bardzo obszernej wsi, ażeby się w niej pomieściła. Najczęściej się rozkładała na trzy części, na towarzystwo z potrzebniejszymi wozami, na szeregowych z takiemiż, i na resztę taboru w drodze potrzebnego.

Było co widzieć w popisie swoim chorągiew polską, lub pancerną, ale najbardziej hussarską. Nic nadto nie przydam, gdy powiem, że żaden monarcha w świecie nie miał nic tak okazałego, jak chorągiew polska hussarska. Koń pod kommanderującym (na sam akt bowiem zjeżdżał zawsze porucznik i chorąży) wart był najmnień sto a czasem i dwieście czerwonych złotych. Rząd na koniu tureckim, suty, srebrny, kamieniami nasadzany, kulbaka także; przy prawym uchu konia buńczuk z gałką pozłacaną kameryzowaną zawieszony (jest to ogon koński biały, modą tureckich baszów); nad czołem konia, kita z strusich piór, albo z szklanego włosia, rozmaitego koloru misternie zrobionych, z egretką, czyli naczelnikiem, dyamentami i kamieniami drogiemi wysadzany; srebrno pozłocistą do rzędu

przypiętą; wierzchnią część głowy końskiej, i całą szyję okrywał czepiec, albo siatka srebrna, lub złota, z kutasami takież gęsto z obu stron szyi u dołu wiszącymi, z tyłu dywtyk turecki, dek takiegoż kroju aksamitny, srebrem lub złotem suto haftowany, paradniejszy od pierwszego i kosztowniejszy; w czem taki u niektórych panował zbytek, że się tak kosztownemu fantowi szargać po błocie dopuszczali; chociaż tak zabłocony bardziej szpecił, jak przyozdabiał paradę. Na komendancie zbroja stalowa biała, naksztalt srebra polerowana, z ciągłej blachy, z brzegami pozłocistymi, całego jeźdźca z tyłu i z przodu aż do pasa okrywająca; ręce podobnie zbroją okryte, która nawet z wierzchu na palce, naksztalt rękawiczki, spuszczała się spodem, zostawując gołą dłoń i palce do ujęcia i trzymania broni sposobne; w ręce prawej buźdygan srebrny lub blaszany, kamieniami sadzony; na plecach wisiała skora lampartowa, adamaszkiem lub atłasem pąsowym podszyta, przez lewe ramię pod prawą pachę wydana, klamrą pozłocistą, kameryzowaną, na piersiach za dwie nogi tegoż zwierza spięta; u niektórych kommandantów zastępował miejsce klamry, jeden duży kosztowny świecący kamień. Na głowie szyszak wysokimi piórami strusiem, w grzebienia koguciego formę uszykowanymi natkany, których końce zginały się aż na czoło jeźdźca, szyja obojczykiem żelaznym, policzki twarzy i broda takież blachami opatrzone, nic na widok nie wystawiały, tylko nos oczy i same wargi mięźszym wąsem okryte, a jeszcze u niektórych bywała żelazna blacha wążka i obdłużna prosto przed nosem

i w miarę jego do szyszaka jednym końcem przyśrubowana.

Kontuszów i katanek nie używano, tylko wtenczas, kiedy byli bez zbroi; gdy zaś brali zbroją, już nie brali kontuszów ani katanek, tylko żupany i szarawary.

Towarzystwo hussarskie i pancerne, oprócz szabli przy boku i pistoletu w olstrach przy kulbace, do potrzeby i parady używało dzid, przy których były małe chorągiewki kitajkowe, u hussarzy dłuższe, u pancernych krótsze, kolor tych chorągiewek najczęściej bywał czerwony z białym, acz pod niektórymi chorągwiami używano takich, jak mundur. Takie dzidy z chorągiewkami u hussarzy nazywały się kopią, u pancernych proporcem, u lekkich chorągwi znaczkim.

Jak oficerowie przesadzali się na dzielne konie i siedzenia, tak i towarzystwo, z tą tylko różnicą, iż towarzysze nie miał buńczuka, ani zbroi odmienną od drugich, ani dywtyka czyli czapraka na koniu inakszego; ale kolorem i krojem musieli się wszyscy stosować do równości, chociaż w gatunku materji i roboty, jedni się nad drugich przesadzali.

Szeregowi hussarscy zamiast lampartów, używali wliczniej skóry, takim sposobem na zbroi zawieszoną jak lamparty towarzyszów. Zamiast strusich piór, szeregowi hussarscy mieli z tyłu do zbroi przyśróbowane drewno od pasa, nad wierzch głowy wysokie, na też głowę zakrzywione, piórami długimi od końca do końca rzędem natknięte, a rozmaitemi kolorami wraz z piórami malowane, gałąź laurową

lub palmową naśladowujące, co czyniło dziwnie piękny widok: lecz takiegoż lauru nie wszystkie chorągwie używały. Pod innemi chorągwiami szeregowi na szyszakach mieli tylko kity z piór, popolicie gęsich farbowanych, albo też gałkę mosiężną okrągłą, na pręcie żelaznym grubym, na trzy cale długim osadzoną. Czapraki u szeregowych były długie do kolan konia, i okrywały cały tył jego, wszvstkie były jednakowego kroju, koloru i gatunku, sukna ordynaryjnego, stosującego się kolorem do munduru szeregowych, który to mundur u wszystkich chorągwi hussarskich i pancernych z dawien dawna był używany, choć go jeszcze towarzystwo nie nosiło. Pancerne chorągwie w powadze i szacunku w narodzie nie ustępowały znakom hussarskim; tak się do nich dobijano jak do hussarskich, jedne obyczaję, jeden regulamin trybu żołnierskiego, obydwoch znaków; przeto, co się pisało względem konsystencyi, marszu i parady chorągwi hussarskiej; to wszystko służy pancernym. Czem zaś różnili się pancerni od hussarskich, zaraz to opiszę. Pancerni zamiast zbroi zażywali pancierzów, był to kaftan żelazny, w pół człeka długi, z rękawami po łokcie długimi, robiony z kółek maleńkich, płaskich, okrągłych, albo też podługowatych ogniwek, jedne za drugie zakładanych, z rozporem małym na piersiach, na haftki zapinanym, do obłóczenia i zdejmowania pancerza służącym, na rękę karwasze żelazne od łokcia do pięciu długie, na glanc polerowane, pół pieszczeli obejmujące, rzemieniami paskami na rękę zapinane. Sama pięść ręki nieuzbrojona żelazem, tylko rękawicą grubą łosią okryta. Od pasa

do nóg, szarawary, tak jak u hussarów; na głowie misiurka, to jest: na samym wierzchu głowy okrągła blacha żelazna, z gałką mosiężną, lub srebrną pozłacaną, według osoby; do téj blachy był przyrobiony kawał pancerza, który otaczał niższe części głowy, czoło i kark, tudzież policzki twarzy, nie zasłaniając oczów, nosa, ust, brody i szyi.

Lampartów ani wilków nie używały chorągwie pancerne, oficerowie znaków, na misiurce zażywali kitek z piór farbowanych, albo z włosia szklanego w tulejce kameryzowanej osadzonego. W koniach, siedzeniach, rzędach, buńczukach, dywtykach, bynajmniej nie ustępowali pancerni hussarskim, zgoła we wszystkim przyrządzie wojennym, jedni się nad drugich przesadzali; a gdy oficer pancerny włożył na lewą rękę tarczę, perłami lub drogiemi kamieniami sadzoną, przypiął do boku lewego sajdak z strzałami rozmaicie pofarbowanemi, podobnie jak tarcza perłami i kamieniami ozdobiony;—to jeszcze przesadzał hussarskiego, acz tego ryszpunku za czasów Augusta III już mało co używali. Nosili go jako znaki starożytne sławnych zwycięstw przodków swoich nad Turkami i Tatarami. Towarzysze także pancerni nie zawsze i nie wszyscy używali na podjazdach przeciw hajdamakom strzał. Już broń ognista dawno w Polsce używaną była; lecz dla tego używali strzał, iż najprzód strzała cicho razila, albo i na śmierć zabijała hajdamakę, bez wydania rażącego, w jakim dole lub chwacie ukrytego. Powtóre, iż w owe czasy trwało mniemanie między wojskowemi, że hajdamacy posiadają czary przeciw kuli ołowianej i od niej ranionemi być nie mogą,

a nie masz żadnego sekretu przeciw żelaznemu grotowi strzały. Słyszałem od wielu towarzystwa, bywalców w polityczkach z hajdamakami, że ci wystrzelone do siebie kule z sukien zmiatają, jak pigułki śniegowe, że je wyjmują z za pazuchy, że je w ręce łapia i na urągowisko naszym odrzucają; dodawali ci opowiadacze, iż aby się kule ołowiane jeły hajdamaków, trzeba było łać je na pszenicę święconą, albo też mieć je żelazne, srebrne lub złote; tak tedy wierzącym wojskowym potrzebne były strzały, choć już po wynalezieniu strzelby. Trzecia, i ta najprawdziwsza była przyczyna: długie używanie strzał, a nie tak strzał, jak sajdaków; a że w owe czasy nie było jeszcze dla towarzystwa mundurów, więc towarzysze chcący się odznaczyć od obywatela prostego na kampaniach i zjazdach publicznych, przypasywał do boku sajdak, bo szabla jako wszystkim powszechna, oznaczała tylko szlachcica, ale nie towarzysza; zbroi też lub pancerza używać prócz służby żołnierskiej, nie należało i nie wygodne było. Szeregowi pancerni mieli także pancerze jak towarzystwo, acz nie tak ozdobne.

W pół panowania Augusta III, chorągwie pancerne zatrzymały tylko imię swoje, to jest imię pancernych. Pancerze zaś pozarzucali i na końcu panowania Augusta III cztery tylko chorągwie używały pancerzów.

Miejsce pancerzów zajęły blachy żelazne, tylko na pierśiach jeźdźca, szyszak na głowie zamiast misiurki, i karwasze na ręku. Ta odmiana stała się dla tego, że pancerze bardzo wiele kosztowały, że prędko darły się od częstego chędożenia, że od kul muskietu były przenikliwsze

niż blacha żelazna, po której gładko wypolerowanej, prędko się zemknęła.

Między strojami do ozdoby należącami, nie poślednie miejsce trzymała burka; krój tego odzienia naśladuje kapę kościelną. Była cokolwiek krótsza, z welny koziiej, lub wielbłędziej, sposobem pilści siodlarskiej robiona, z wierzchu kosmata, ze spodu gładka, koloru trojakiogo: siwa, biała i czarna.

Fabryki Krymskiej burka była najprzedniejsza, i kosztowała do 40 czerwonych złotych, bez podszewki; użytą do jakiego aktu wspaniałego, pospolicie czarną, podszywano pięknym atlasem błękitnym, pąsowym, lub karmazynowym, sznurkiem złotym suto szamerowana, czyli raczej w rozmaite pręgi po atlasie ciągnionym. Takową burkę, kommenderujący zawieszał na plecy sznurem długim i grubym złotym, pod szyją przestrońo zawiązaną, z dwoma kutasami miąższemi na piersi spadającemi; prawa poła burki była na plecy nieco zarzucona, co na szklącym się pancerzu lub zbroi, od atlasu odbitym, dziwnie piękny czyniło widok. A lubo wielu znajdowało się tak majątnych, iżby im o podobną burkę trudno nie było, dla różnicy jednak od oficerów, żaden towarzysz nie zażywał jój do parady. Hussarscy oficerowie także burek nie zażywali, mając na tém miejscu lamparty wyżej opisane. Burki mniejsze kosztowne krymskie, lub jeszcze podlejsze kuligowskie, od wszystkich wojskowych autoramentu Polskiego były zażywane, ale tylko w ciągnieniu i obozowaniu, jako lżejsze od futer, trwalsze od nich i lepiej od stali broniące, niż płaszcz

cienki. Jeżeli zaś potrzeba było nocować w polu, co się czasem trafiało uganiającym się komendom za hajdamakami, służyła ona żołnierzowi, rozpięta na kijach, za pół namiotu.

Opowadze towarzystw hussarskiego i pancernego. Każdy towarzysz tych znaków tytułował się równym swemu rotmistrzowi; z kąd poszło nazwisko towarzysz czyli kolega. Nie mówił, że służy pod królem Imcią, albo pod panem Hetmanem, pod panem Wojewodą. Towarzysz miał wyższą rangę, niż którykolwiek oficer autoramentu cudziemskiego, nawet sam generał. Towarzysz nie mógł pójść pod kommandę generała, a przeciwnie generał z całym swoim regimentem mógł pójść pod kommandę towarzysza. Lecz to tylko zachowane było w mniemaniu, ale nie w skutku; albowiem każdy generał biorąc regiment, starał się zaraz mieć chorągiew hussarską, lub pancerną, żeby tym sposobem stał się wyższym od towarzysza i nie szedł pod jego kommandę. Acz i to druga prawda, że sami generałowie nigdy swymi regimentami nie kommanderowali, tylko ich pułkownicy, obersztłajtanci lub majorowie. Generał każdy był pan wielki, senator, albo urzędnik koronny, który się wojskową służbą nie zatrudniał, mając dosyć na honorze i pensyi.

Polacy przez całe panowanie Augusta III, nie mieli żadnej innéj wojny, tylko z hajdamakami, którzy wypadając z Siczy do Moskwy należącój na Ukrainę Polską i często zabiegając aż na Podole, szlachtę, żydów i chłopów bogatych rabowali.

Przeciw tym rabusiom wyprawiali Hetmani koronni co rok dywizye od różnych regimentów pieszych i konnych, chorągwie polskie, pancerne i lekkie, to jest przedniej straży. Nad takim korpusem czynili jeneralnym kommandantem jakiego porucznika, dawszy mu tytuł regimentarza: więc już taką godnością przyodzianemu kommandantowi, wszyscy oficerowie obojga autoramentów, znajdujący się w obozie, posłusznymi byli.

Towarzysz w każdej kompanii publicznej był uważany jak osoba dystygowana, mieścił się między pierwszymi osobami tak cywilnymi, jako też wojskowymi; nawet oficerom swoim, pułkownikom, rotmistrzom, z grzeczności lub interessu na to zezwalającym, miał się za równego. Na pokoje królewskie, na opery, na bale, kiedy był zakaz puszcząć mniejszej konsyderacyi ludzi, towarzysza zawsze puszczono, skoro za takiego był uznany.

Litewscy hussarze nie nosili lampartów, tylko do lewego boku, siedząc na koniu, przypasowali wielkie skrzydło strusia, zasłaniające cały bok konia i nogę jeźdźca od pasa aż do kostek, co dotychczas w herbie litewskim i na pieczędach i pieczęciach publicznych, lepiej niż w opisanu rozemnać można. Sadził się zaś na ozdobę pomienionego skrzydła, jak koronni na ozdoby lamparta. Petychorscy litewscy nie mieli żadnej odmiany od pancernych koronnych. I to także do uwagi należy, iż towarzysz nie mógł być karany żadną karą cielesną, tylko aresztem, a za ciężkie wykroczenie, odsądzeniem od rejestru i wytrąbieniem z wojska. Ta ostatnia kara kogo spotkała, wyrażała się

tym terminem: stanęła na nim trąba. Areszt był dwojaki: wolny i nie wolny; wolny areszt, kiedy mógł wychodzić z stancyi, ale bez broni; nie wolny, kiedy musiał siedzieć w niej, nie wychodząc.

O znakach lekkich. Lekkiemi znakami czyli chorągwiemi, nazywali jazdę polskiego autoramentu, nie używającą żadnej zbroi, ani pancerza. Składała się ta jazda, tak jak hussarska i pancerna, z towarzystwa i pocztowych. Broń towarzysza była: szabla, pistolety i dzida, z małą kijałkową chorągiewką.

Ubiór: kontusz, żupan, pas, a na tym szarawary, na głowie czapka z barankiem siwym albo czarnym; broń pocztowego: karabin, pistolety i szabla. Ubiór: katanka do kolan krótka, żupan, pas, szarawary, na głowie czapka z baranem czarnym dwa razy tak wysokim, jak u towarzysza; oprócz takiego odzienia przestronnym krojem robionego, od słoty i zimna, pocztowy miał płaszcz, towarzysz zaś jeden płaszcz, drugi oponczę, inny burkę, jak się któremu podobało, i na co którego stać można było; albowiem towarzystwo lekkich znaków przez długi czas nie używało mundurów, wyjąwszy pocztowych, których już znałem w mundurach. Daleko prędzej atoli lekkie towarzystwo wzięło mundury, niżeli hussarsey i pancerni. Kolor mundurów lekkich znaków był niemal jeden w Koronie i Litwie. Żupan siarkowy, kontusz albo katanka błękitna z wyłogami żupanowemi.

Pod te znaki nie dobierano na towarzystwo koniecznie samęj szlachty; wolno tu było być towarzyszem, nie szlach-

cicowi, i Tatarowi, dla tego też wielu tu bardzo służyło Tatarów. Nie mało jednak znajdowało się szlachty chudych pachółków, których fortuna pod znakami hussarskimi i pancernymi umieścić nie raczyła, a którzy mając ochotę do żołnierki, nie lubili jednak zostawać pod rygiorem cudzoziemskiego autoramentu, w regimentach zachowanym. Nie zważano także na urodę, mógł pod temi znakami służyć i stać w szyku garbaty i jednooki.

Płaca roczna na towarzysza i szeregowego, tudzież dwa konie, była sześćset złotych, z których musiał wszelkia potrzeby swoje i szeregowego opatrywać. Była to płaca dosyć szczupła, w głębokim atoli pokoju, ile przy leżach nieodmiennych w pastwiska i żywność obfitujących, dosyć wystarczająca, byle się towarzysz skromnie ohchodził i nie doznał upadku w koniach, mógł się dobrze utrzymać; osobliwie który umiał handlować końmi, albo był zręczny do myśliwstwa. Takowy szczując i strzelając lisy, okrył nimi grzbiet, albo skórki sprzedając żydom, nabierał na suknią; zające zaś, sarny, kuropatwy i inną zwierzynę stołową, jedne do swojej kuchni przeznaczając, drugą sąsiadom szlachcie podarunkiem rozsyłał, i wypasał konie wet za wet darowanym owsem i sianem.

Dwie atoli wady były w tym regulamencie, które wielu z towarzystwa tego ciemiężyły. Pierwsza, iż razem odbierali płacę roczną i że każdy towarzysz wszystkich swoich potrzeb był opatrzycielem. Namiestnik nie miał u nich żadnej opieki o stole towarzyskim i pocztach, tak jak w chorągwiach poważnych, przeto który towarzysz był pi-

jaczek, albo kostera, albo się nie umiał rządzić, prędko roczną płacę stracił; z kąd potem nie stać go było na potrzeby przystojne, tak dla siebie jak dla szeregowego; u takowego też pospolicie koń gałgan albo pożyczony od kogo, na odbycie powinności przypadłej; pistoleciska złe, na szablach pół pochwy, kulbaka skrzypiąca, mundur podarty, zgoła cała figura jeźdźca i konia, obdartusa jakiego borowego nie żołnierza reprezentująca.

Lekkie chorągwie dzieliły się istotnie na pułki, mając rzeczywistych pułkowników, a temi pułkownikami w Koronie, bywali sami szlachta, w Litwie Tatarowie i szlachta.

Na hajdamaków najwięcej zażywano lekkich chorągwi, ale z trudna kiedy ruszano całe chorągwie, tylko od tej i owej, po troszę na przemianę. Bywało jednak, że i całe chorągwie ruszano, gdy rotmistrz ochoczy do wojny, sam się o to starał: albo kiedy nagle jaka potrzeba nie dozwalała zbierać, od chorągiew, daleko od siebie stojących, potrzebnego podjazdu; naprzykład: kiedy kazano łapać jakiego złoczyńcę, na gardło osądzzonego, który z desperacją rezolucją, miał się do obrony; gdy jaki zbójca zebrawszy partyę, najeżdżał na dwory; gdy cygani w licznej liczbie obrabali się gdzie w lesie, wychodząc z takiego legowiska na płądrowanie pobliskich wiosek, młynów i pobliskich kościołów. W takich i tym podobnych przypadkach, dawano rozkaz całkowitym chorągwiom pobliskim.

Prócz tych wypraw wojennych, nie bez szwanku żołnierstwa czasem i znacznego podejmowanych, chorągwie lekkie zażywane bywały do konwoju hetmanów, kiedy się

na sejm do Warszawy z Grodna z ogromnym dworem prowadzili, albo w innej jakiej okoliczności do króla przyjeżdżali; w takim razie jedna chorągiew, porządniejsza, konwojowała hetmańską karete, samego hetmana wiozącą, z towarzystwem z znakami czyli dzidami przed kareta paradowającym. Druga i trzecia chorągiew, mniej porządne, rozstawane były do konwojowania innych wozów, karet, kolaszek i bryk hetmańskich.

Lekkich także chorągwi powinnością było biegać z listami hetmańskimi i regimentarskimi, dla której szczególnie potrzeby zawsze przy hetmanie znajdowała się jedna chorągiew lekka, a przy regimentarzu kommanderowanych po kilka od każdej chorągwi jego regimentarstwa. Zażywano także lekkich chorągwi czasem i do wjazdów publicznych, pogrzebów wielkich panów, żeby z rozmaitego gatunku żołnierstwa większa się okazałość aktu publicznego wydawała.

Musztra taka sama była u chorągwi lekkiej albo przedniej straży, jaka u chorągwi hussarskich i pancernych; sami szeregowi należeli do niej. Musztry konnej nie znano w chorągwiach lekkich, a nawet wszelkich innych autoramentu polskiego; maszerować parami, i stanąć w szeregu pod linią podług rejestru, nie podług wzrostu; to była cała mustra konna.

Znajome nam są z historii naszej wojny z kozakami za panowania Jana Kazimierza. Po traktacie Andruszewskim przeszedłszy pod obce panowanie; trudnili się roz-

bojem, dopóki N. Cesarzowa Katarzyna II, nie przeniosła ich nad brzegi Donu.

O wojnie z Hajdamakami. Podczas podjazdów na hajdamaków, wystrzegali się towarzysze brać na się ładownice bogatych; jeżeli bowiem potyczka nieszczęśliwie padła, i uciekać przyszło, hajdamak blaskiem ładownicy zapalony, póty zajeżdżał towarzysza ubranego w blachmal lub srebro, póki go nie dogonił i nie skłół, pomijając i opuszczając innych, błyskotki na sobie nie mających. Jedną rączkę konia, przechodzącą hajdamackiego, mogła towarzysza unieść od zawziętości hajdamaka, albo też chcąc się pozbyć doganiacza, trzeba było zerwać z siebie ładownicę i porzucić.

Towarzystwo ładownicę nosiło na prawym boku, szeregowi ładownicę na lewym, flint pasy od karabinów na lewym.

Towarzystwo wojując z hajdamakami, używało także małych karabinków, albo sztucców, zawieszając je z lewego ramienia na prawy, albo jak i szeregowi nie przekładając ładownicy na drugi bok, ale na jednym mając ładownicę i sztucce, a to dla różnicy od pocztowych. Kiedy zażywali karabinów, albo sztucców, wtenczas nie zażywali dzid, albowiem karabin był straszniejszy hajdamakom niż dzida, którą to hultajstwo dziwnie zręcznie i daleko lepiej od Polaków szermować umiało. Jeden hajdamak wpadłszy między polskich, mógł czterdziestu w momencie rozpedzić, każdemu zadawszy ranę, albo śmierć. Dzidy, po rusku spiszwane, hajdamacy mieli krótkie na cztery łokcie, nie

dłuższe, grotem ostrym żelaznym z obu stron opatrzone; ta spisa i samopał były całym hajdamaka uzbrojeniem, kulbaka na koniu, łączek goły i wojłoczek, strzemiona drewniane, uzdeczka cieniuchna rzemienna, albo parciana; koń był szybki i zwrotny jak wiatr, na wszystkie strony; sam jeździec podobnież lekki ubiór miał; jego koszula gruba, czarna, łojem kozłowym od robactwa wysmarowana. Szarawary płócienne, na nogach bóty lekkie albo kurpie, na koszuli kontusz kusy do kolan, z cielęcej skórki z siercią wyprawnej, nie przypasany pasem, ale na wierzch zawdziany, rękawy z wylotami dużemi wiszące, albo na plecy założone, na głowie takąż czapka, jak kontusz, cielęca, w kształt worka spiczastego uszyta, końcem swoim na prawą stronę nawieszona. Ćeb cały ogolony jak kolano, kosmyk włosów długi nad czołem zostawiony. Wąsy opuszczone, broda u niektórych ogolona, u niektórych zapuszczona.

Było w siczy kozaków, ich terminem zowiąc, czterdzieści kureni (po polsku korzeni). Każdy kureń zamykał w sobie dziesięć chorągwi, a każda chorągiew, sto kompanczyków, czyli po naszemu towarzyszków, co czyniło czterdzieści tysięcy wojska. Mieli ci kozacy nad sobą hetmana jednego, z pomiędzy siebie na tę godność potwierdzonego i zwał się terminem kosaackim: koszoowy. Ten był wodzem, a raczej sędzią we wszystkich sprawach ostatecznym i najwyższym, za cóż albowiem dawać mu imię woźdza, kiedy nigdy wojska swego w pole nie wyprowadzał? Religii był greckiej, mieli swoją cierkiew i popa, i to było

dosyć nabożeństwa dla hultajów. Żon nie mieli, ani kobiety żadnej pomiędzy sobą nie cierpieli.

Rolnictwo bardzo mało traktowali, najwięcej bawili się rybołówstwem i chowaniem rozmaitego bydła. Bydło ich rogate różniło się sierścią od bydła naszej Ukrainy;—było bowiem czerwone; bawili się także handlem ryb suszonych, soli, skór, futer i rozmaitych rzeczy zdobytych na rozboju, który był celniejszym ich rzemiosłem.

Kompańczyk miał swoich wyzwolenców, czyli sług kilku, 5, 6, 7, i więcej, podług tego, jak się który miał. Kiedy kompańczyk podchodził w lata sędziwe, wybierał z pomiędzy swojej czeladzi jednego, który mu był najmilszy, prowadził go do kancelaryi i tam uroczyście mianował go swoim następcą. A ten po śmierci takiego ojca swego, ogarniał wszystkie majątek, reszta zaś czeladzi przy nim zostawała, albo się do innych kompańczyków rozchodziła. Chcąc tedy zostać sukcesorem, trzeba było przyłączyć do jednego kompańczyka, i służyć mu jak najwierniej aż do śmierci.

Kompańczykowie sami mając się dobrze i będąc gospodarzami, rzadko kiedy wychodzili na rozbój, i w ten czas bywali hersztami kup hajdamackich. Do takich wycieczek przyprowadzała kompańczyków potrzeba, gdy majątek jakim sposobem utracili, albo gdy do rozboju mieli serce i ochotę.

Pospolicie atoli na rozbój wychodzili sami wyzwolenci, którzy nim wyszli, musiał się najprzód każdy opowiedzieć swemu kompańczykowi, a potem zebrana kupa jeneralne-

mu koszowemu, który tym sposobem, ponieważ wiedział zawsze, wiele i w którą stronę udało się ich na rozbój, przeto gdy który koszowy miał dobre zachowanie z panami polskimi, przestrzegał ich, aby się mieli na ostrożności, uwiadamiając oraz o liczbie ciągnącej na rozbój. Do tego rozbój był drogą krótszą i chwalebniejszą do dosłużenia się rangi kompańczyka niż inne usługi przy boku swego pryncypała. Jeżeli siedm lat szczęśliwie rozbijał, już miał prawo na pierwsze miejsce wakującego kompańczykostwa; lubo się tego szczęścia nie wielom dostawało, bo ich od polskich podjazdów dużo ginęło, jako się niżej da widzieć.

Drugą zasługą jeszcze krótszą od rozboju, acz nie tak cenioną, było kucharstwo. To przez dwa roki bez nagany odbyte, czyniło kucharza kompańczykiem. Ale praca ledwo znośna: każdy kureń, to jest chorągiew, miała swego kucharza; ten, dzień i noc musiał mieć gotowe jadlo dla przybywających kozaków w różne godzinyienne i nocne. Był razem kucharzem i szafarzem; powinien był wczesnie starać się u starszego chorągwi o to, czego mu do kuchni brakowało. Nie gotował on tam żadnych wymyślnych potraw, tylko dwie raz na raz, całym traktamentem kozackim będące, z skarbu szafowane: kasza jaglana, rzadko, w mięsne dni słoniną, w postne olejem okraszona i bigos z ryb suszonych, bez wielkiej przyprawy. Nalewał i nakładał tych potraw w koryta podług miary, jak ich ubywało. Kozak przyszedłszy, bądź jeden bądź więcej, siadał w kucki przy korytku, dobył łyżki od pasa i jadł tego i owego, póki mu się podobało; gotowały się te potrawy w kociolkach

miedzianych na trzech kijach, nad ogniem zawieszonych. Tenże kucharz miał w dozorze swoim tytoń, który także jak strawę wyżej opisaną, z skarbu na kurenie rozdawano. W każdym kureniu niedaleko korytek stało kilka lulek wielkich glinianych, mających do koła po kilka dymników, czopkami na sznurkach przywiązanymi, pozatykanych; kiedy który kozak nie chciał expensować swego tytoniu, siadał do jeneralnej lulki, wyjął czopek i założył swój cybuch w dymnik, ciągnął, póki mu się podobało; kucharz zaś dawał baczenie na lulki i nakładał raz na raz tytoniem, skoro były wypróżnione; do jednej lulki mogło się zmieścić i ośmiu kozaków, jeżeli mieli cybuchy długie. Podług długości tychże, robił się cyrkuł obszerniejszy, a tym samym do przyjęcia i pomieszczenia więcej palaczy sposobniejszą. Odchodząc od lulki, każdy kozak zatknął swój dymnik czopkiem, na sznurku przy lulce wiszącym.

Jeżeli kucharz był ospały i nie pilnował swojej powinności w tych dwóch artykułach, każdy kozak nie znajdujący dla siebie jądła lub tytoniu, miał prawo wykropić mu skórę batogiem, a oprócz téj kary, częste skargi na niego zachodzące, sprawiały mu degradacyą.

Że tedy takie były publiczne stoły i tytonie ze skarbu, przeto żaden kompanczyk swoim wyzwolencom nie dawał wikt, tym, którzy dla niego w rybołostwie, myśliństwie, paszeniu trzód, lub w rolnictwie pracowali; wyjąwszy tych, którzy przy boku pańskim na zawołanie być musieli. Jurgieltu też pewnego żaden wyzwoleniec nie brał, należało do szczodrośliwości kompanczyka udzielić mu co z tych

pożytków, około których dla kompanczyka wyzwoleniec pracował.

Trunki w szynkowniach były sprzedawane: miód, wino, i gorzalka; ta ostatnia kozakom najulubieńsza i najpospoliczsza. Wolno było każdemu za swój grosz pić tyle, ile się podobało, byle swojej powinności nie opuścił i hałasu nie robił; bo za te występki surowo karano. Dla tego, choć w Siczy mieszkali najgorsi z całego świata ludzie, apostaci od wiary i innych zakonów, infamisowie, zbiegowie kryminalni z rozmaitych stron, skromność atoli wielka tam panowała i bezpieczeństwo tak wielkie, iż żadnemu podróżnemu z towarem, po towar, lub w innym jakim interesie do Siczy przybywającemu, włos z głowy nie spadł, pieniędzy nawet gdyby na środku ulicy położonych, nikt nie ruszył. Albowiem naruszenie osoby lub majątku cudzego, bądź tamtejszego mieszkańca, bądź gościa, śmiercią natychmiast karano. Jeżeli na kogo padło podejrzenie, wszyscy zaraz starali się o wyśledzenie winowajcy, skoro się w tych dwóch przypadkach jaki występki pokazał.

Takie prawo ludzkości, rozciągali aż do granicy swojej; dalej zaś nie służyło, tylko tym, którzy pozbywszy lub nabywszy w Siczy towarów, powracali z niemi do domów, z paszportem od kozowego. Jadącym zaś do Siczy i prowadzącym towary, było wszelkie bezpieczeństwo zaraz od mety zaczynającej step Siczowy, to jest od pustego pola, które do Siczy prowadziło, z osiadłej Ukrainy.

W ziemię Tatarską, jako sąsiedztwem bliższą, wpadali rozmaitemi czasy. Tam pospolicie tylko zajmowali z pa-

stwisk stada koni i bydła rogatego, z którymi co prędzej wpław uchodzili przez rzekę, na swoją stronę, za którą Tatarowie nigdy ich gonić nie śmieli, widząc odpór gotowy, od swoich sił mocniejszy i kontentując się tem, co przed rzeką odbili i którego hajdamakę zakłuli.

Na Ukrainę polską wychodzili zawsze na wiosnę, a powracali przed zimą; wyszedłszy z Siczy w sto, dwieście lub trzysta koni, rozdzielali się na partye, co czynili najprzód dla tego, żeby więcej kraju zasięgnąć mogli; po drugie: żeby kommandom polskim, ściągającym się za nimi, łatwiejsze roz targnienie uczynić mogli; po trzecie: żeby razem wszyscy, gdyby zostali pokonani, nie zginęli; po czwarte: żeby się łatwiej w małych partyach ukrywać mogli. Formowali z siebie dwojaki kupy, nigdy z sobą nie rozłączone, ale osobno szczęścia szukające: jedni pładrowali konno, drudzy pieszo. Jak jazda, tak piechota inną nie używali broni, tylko spis i samopałów; piechota sposobniejsza do ukrycia się w wielkich trawach ukraińskich, trudniejsza była naszym do zniesienia, niżeli jazda, razła bowiem naszych z samopałów, nie będąc widziana; a jeżeli była do koła obstępiona, broniła się do upadłej, tak, iż często nasi wzięwszy mocną plagę, odstąpić ich musieli; albo też oni doczekawszy się nocy, z pośrodku nich wymknąć się potrafili.

Z jazdą mieli łatwiejszą sprawę Polacy, osobliwie kiedy dragonia znajdowała się przy komendzie polskiej. Ta zsiadłszy z koni, i dając ognia plutonami, prędko hajdamaków rozproszyła, na których zmieszanych i tył poda-

jących, wpadłszy jazda pancerna, i przednia straż, jednych żywcem schwyciła, drugich ubiła, albo przynajmniej wprowadzony tabor z zdobyczą zabrawszy, na cztery wiatry rozpędziła. Lecz kiedy nie było dragonii przy Polakach, ciężko im było poniekać hajdamaków, i nie raz od nich dobre plagi wzięli.

Do tych hajdamaków którzy wyszli z Siczy, przywieźwalo się wiele hultajstwa z rusinów polskich i żydów. Ci rozbijając z nimi całe lato, na zimę rozchodzili się po wsiach, służąc po karczmach za parobków i po gorzelniach, za palaczów; drudzy zaś przyjąwszy bractwo hultajskie raz na zawsze, do siczy z hajdamakami powracali, i ci byli nasieniem i potomstwem hajdamaków, którzy oprócz takich plemienników, powracając do siczy, porywali też i chłopców młodych, bądź obcych, bądź swoich krewniaków; a tak mnożyli się i następowali jedni po drugich, choć żon nie mieli.

Najeżdżali ci hajdamacy szlacheckie dwory, wsie i miasta nawet, nikomu nie przepuszczając, kogo tylko zrabować mogli; prawda iż najechanych na śmierć, rzadko kiedy zabijali, chyba z szczególnej osobistej zemsty sługi, chłopca lub żyda do hajdamaków zbiegłego.

Ale do wycieńszenia pieniędzy męczyli nie miłosiernie i chyba znacznym a oraz łatwym obłowem sobie bez ciężkich inkwizycyi ofiarowanym, ułagodzeni zostali, kiedy nie męcząc, poczęstowawszy tylko kańczugiem po plecach, odjechali z takim pożegnaniem. Dla tego panowie ukraińscy wszyscy trzymali po kilkadziesiąt i po kilka set kozaków

nadwornych, którzy ich tak w domu jak w drodze dzień i noc od tych rabusiów strzegli. W miastach zaś i miasteczkach, w każdą noc, połowa mieszkańców w broń opatrzonych z kłodami i tarabanami, chodząc po ulicach, pilnowała się od rozboju. A jednak przy takiej ostrożności, w nocy zazwyczaj napadnieni, nie raz tak panowie jak chłopci we wsiach i żydzi z mieszczanami, kościołami i klasztorami po miastach zrabowani zostali, kiedy straż domową albo przełamali hajdamacy, albo też w zмовie zostając, do ucieczki przymusili. Dla tego całe lato w Ukrainie z pomierniej szlachty i chłopów, tudzież arendarzów, żydów, nikt w domu nie zostawał, ale każdy przed zachodem słońca z duszą wynosił się w step, ukrywając majątek, i jeden kryjąc się przed drugim, mąż przed żoną, żona przed mężem, ojciec i matka przed dziećmi, dzieci przed rodzicami i sami przed sobą; ażeby znaleziony jeden, z bólu nie wydał drugiego, gdyby go męczono i o drugich pytano.

Drogi także publiczne obsiadali ciż hajdamacy; w lada dolinie zakradłszy się nie daleko drogi, uważali kurzawę, która w tamtej ziemi tłustej, za każdym jadącym nakształt dymu podnosi się wysoko w górę. Uważali tedy wielkość kurzawy, miarkowali, że kto jedzie z małym konwojem albo wcale bez konwoju, wypadali na niego, obdarli ze wszystkiego co miał, i obiwszy plecy ratyszczami, to jest drzewcami od dzidów, w koszuli puścili.

Ci którzy szczęśliwie powrócili do siczy, połowę zdobywszy oddawali swoim kompanczykom, a kompanczykowie

dziesiątą część téj połowy koszowemu; takżé podział był koni i bydła Tatarom zabranego.

Z takimi tedy hultajami, co lato, wojsko nasze, polskiego i cudzoziemskiego autoramentu, odprawiało kampanie, przybierając na czas do siebie kozaków horodowych, to jest nadwornych, różnych panów; najwięcéj zaś sami za nimi chodzili, bo kozacy z trudna swoich braci wiernie przesładowali.

Kozacy humańscy, Potockiego krajczego koronnego, a potem wojewody kijowskiego, najsprawniejsi byli w dojeżdżaniu i znoszeniu hajdamaków, wyjąwszy, iż tę przysługę bardzo niewiernie czynili.

Nie napastowali oni nigdy hajdamaków, kiedy na wiosnę na rozbój w kraj wstępowali, tylko pod jesień, kiedy miarkowali, że z zdobyczą powrócą; wtenczas im zastępowali i zdobycz odbierali, a samych hajdamaków, chyba że się bronili do upadłego, szczerze bili; jeżeli zaś widzieli słabe swoje siły, natenczas uciekali, nie bardzo gonieniem za niemi konie swoje mordując.

Kommandanci polscy jeżeli dostali żywcem hajdamaków, żadnemu nie pardonowali, lecz zaraz na placu, albo wieszali na gałęziach, albo jeżeli mieli czas, żywcem na pal wbijali.

O wojsku autoramentu cudzoziemskiego. Autoramentem cudzoziemskim nazywano wojsko polskie, które używało sukni, języka i trybu niemieckiego. Były to regimenta piesze i konne, tudzież artylerya. Artyleryi było regimentów dwa, jeden składał się z puszkarzów, którzy z armat

strzelali, race i inne ognie do fajerwerków robili; drugi który był jakoby obroną i strażą harmatników; pierwszy z puskarczów nosił mundur zielony z obszlagami i kamizelkami czerwonymi, kapelusz na głowie z dwiema mosiężnemi harmatkami, zamiast kokardy na krzyż przypiętemi; do odbywania warty używał karabinu tak, jak inny żołnierz, obszlagi, kamizelkę i spodnie zielone, a kapelusz z kokardą białą.

Regiment konnej gwardyi, zamykał w komplecie swoim pięćset żołnierza gminnego, prócz oficerów; kompania jedna składała się z pięćdziesiąt żołnierza. Inne regimenta konne miały tylko po sto osmdziesiąt gminnych, to jest po sześć chorągwi czyli kompanii, a po trzydziestu żołnierza w jednej kompanii. Dla tego wiele było oficerów, a żołnierzy mało.

W regimencie pieszym w gwardyi koronnej liczono najprzód dziesięć kompanii, a w każdej kompanii po sto chłopca; co czyniło sumnę całego regimentu tysiąc. Od połowy jakoś panowania Augusta III, z dziesięciu kompanii zrobiono dwadzieścia, podzieliwszy jedną na dwie; a to dla tego, żeby było więcej placów do promocyi szlachty. W regimentach gwardyi, wszystkie szarże, i w innych wszystkich regimentach jeneralne rangi, należały do dystrybucyi królewskiej. W regimentach innych wszystkich, wakujące stopnie, począwszy od pułkownika aż do ostatniego chorążego, rozdawali hetmani wielcy. Podoficerów w regimentach wszystkich mianowali jenerałowie, szefowie, nie zatrudniając króla ani hetmanów.

Oprócz zaś w istotnej służbie znajdujących się przy regimentach oficerów, miała Polska co niemiara tytułarnych generałów-majorów, generałów-adjutantów Jego Królewskiej Mości, buławy wielkiej, buławy polnej, koronnej, litewskiej, pułkowników w wojsku koronnym, pułkowników w wojsku W. X. Litewskiego.

Jenerałowie nieforsztelowani, niczego z tych przywilejów nie korzystali; wszystka ich dostojność na tém zawisała, że się mogli nosić i mianować jenerałami i że im tego tytułu nie mógł nikt dysputować, skoro patent pokazali. Było albowiem i takich wiele, którzy nie mieli innego patentu, tylko od krawca i szmuklerza, to jest mundury i port-épée. Czyniło tak wielu młodzi majątniej, lekkomyślniej, a chcąc się pokazać czemsiś więcej od drugich, także i z dojrzałych ludzi, kiedyś w wojsku zagranicznym małemi będących, nadętych, szulerów, awanturników, filutów, aby się łatwiej na pańskie pałace i królewskie pokoje, na bale, na assamble, na opery i komedye, darmo za biletami dawane, wśrubować mogli; zwano pospolicie takich jegomościów jenerałami od pustego regimentu. Kiedy z takowych który popełnił jaki występki godzien kary, brano go bez ceremonii do kozy, i sądzono jak prostego winowajcę.

Służba regimentów koronnych była rozmaita; jedne ustawicznie zostawały na usłudze i assystencyi hetmanów, biorąc od nich nazwiska swoje, naprzykład regiment konny buławy wielkiej koronnej, buławy wielkiej Wielkiego Xięstwa Litewskiego, buławy polnej koronnej. Te regimienta które nie były hetmańskimi, albo zajęte usługami jenera-

łów swoich, w głębokim pokoju na leżach swoich zostawały, przez połowę częstokroć niemając koni, wtenczas dopiero krzątając się około jakiego takiego powiększenia brakującej liczby, kiedy regiment cały, albo część jego dostawała ordynanse na Ukrainę przeciw hajdamakom, które ordynanse iż nie były nagłe, i trzykrotnie zwolna jedne po drugich następowały, przeto ułatwiały oficerom ekwipaż i werbunek. Po odbytej kampanii, powracały kommandy lub regimenta, na swoje leże, i takowe wyprawy ledwo co lat kilka przypadały na regimenta stojące w Prusach i Wielkopolsce, albo na pograniczu zachodniem, albowiem najwięcej zażywano do pomienionej wojny hajdamackiej, wojska partyi ukraińskiej z polskiego autoramentu, tudzież kozaków polskich, jako się wyżej namieniło.

Gwardya konna koronna, Mirowskiemi zwana, przez lat 6 ostatnich panowania Augusta III, zawsze była na straży królewskiej, trzymając odwach na sali przedpokojowej pałacu królewskiego i szyldwachy przy różnych drzwiach wewnątrz; assistowała także królowi kiedy jechał na zamek, na sejm albo na senatus concilium i kiedy wyjeżdżał z Warszawy na polowanie, wyprowadzała go za miasto o ćwierć mili, potem się wracała; na które to warty zaciągali na koniach z trębaczami dwoma, bez doboszów.

Co się wyraziło o lustracyi regimentów pieszych przez generała-inspektora czynionéj, toż samo ma się rozumieć o lustracyi regimentów konnych. Piechota używana do służby cywilnej, miała więcej do czynienia od jazdy. A najprzód gwardja piesza koronna zawsze assistowała królew-

skiemu pałacowi i zamkowi, zaciągając warty swoje i odwach, do pierwszych bram, czy był król w Polsce czy nie był; z tą różnicą, iż kiedy się król znajdował w Warszawie, to ich zaciągnęło więcej z kapelą i chorągwiami, tudzież z dwoma cieślami. Ta gwardya długi czas miała kwatery po przedmieściach warszawskich, nim ks. Czartoryski, wojewoda ruski, jenerał tego regimentu, wystawił dla niej obszernie koszary, w końcu zachodnim prowadzącym do Białan. Zaciągając wartę, gwardya szła bez porządku i tropu od koszar aż do kościoła xięży Dominikanów, tam szykowała się w cugi, dobosze uderzyli w bębny, kapela zagrała marsz i cała komenda zaczęła maszerować tropem żołnierskim; to jest: biorąc kroki razem i pod jedną miarę.

Tak ciągnęła w całości aż do bramy zamkowej, przy krakowskiej bramie będącej, do której wchodziła dywizya, kommanderowana do zamku; reszta trybem zaczętym maszerowała za królewską bramę, część mała tejże gwardyi oddzieliła się od korpusu, udała się do Branickiego hetmana W. koronnego na assistencyą; pryncypalna zaś dywizya téj warty maszerowała wciąż Krakowskiem Przedmieściem do pałacu Saskiego, w którym za drugą bramą na dziedzińcu trzymała odwach w budynku na to wymurowanym, różne przytém poczty przy stajniach, kuchni i innych oficynach królewskich.

Prócz wysługi warszawskiej, chodziła gwardya piesza koronna corocznie na straż i assistencyą trybunałom, przynosząc się z tąż magistraturą z Piotrkowa do Lublina; do Radomia zaś z kommissyą wojskową, kommanderowana by-

ła z tegoż regimentu inna partya. Do téj usługi najwięcej kommanderowano ośmiu ludzi gemejnow, jednego kapitana na kommandanta, dwóch poruczników i dwóch chorążych.

O gwardyi pieszej koronnej. Gwardya piesza koronna nie miała ludzi dobranych co do wzrostu, przyjmowała każdego, kto tylko chciał służyć, chociażby najniższej miary, byle nie był chromy, ślepy, kulawy i garbaty. Była to matka powszechna wszystkich kosterów, szulerów, krnąbrnych rodzicom synów, utracjuszów, lub jakim ciężkim występkiem do ucieczki przymuszonych, przytém rozmaitych rzemieślników warszawskich, od starszizny cechowej, dla niezapłaconego cechu, wolnego używania rzemiosła nie mających. Ktokolwiek z takich oblekł się w gwardyacką suknię już był wolny od wszelkiej mocy naparcia i ścigania. Mieli też między sobą gwardyacy i ludzi zacnych, dla promocyi i wykrzesania od rodziców albo krewnych do tego nowicyatu oddawanych. Naostatek, mieli ludzi przystojnych, hajduków, lokajów, parobków hożych, gdzie w szynkowni na ustroniu przydybanych, podpojonych, kapelusz gwardyacki włożyć sobie na głowę dopuszczających; a po takiem przymierzeniu, jakby najuroczystszeń słowiem daném, bez ceremonii chcąc niechcąc porwanych i do komendy za rekruta stawionych. Gwardya tedy koronna mająca najwięcej ludzi hazardownych, na wszelkie przygody śmiałych, przytém w ustawiczném ćwiczeniu się w ręcznej bitwie po trybunałach, kommissyach radomskich, zjazdach warszawskich, z rozmaitemi szalapatami i zuchwalcami, mianą była za najsprawniejszego żołnierza. Jakoż nikt prędzej tu-

multu bitwy i rąbaniny zajuszonej nie uspokoił, jak gwardyacy; ale też żaden inny żołnierz przędzym nie był do zaczepki jak gwardyak. Oni się ustawicznie snuli po wszystkich szynkowniach i zgrajach, szukając z kimby zadrzeć, a potem go pobić mogli, nie hamując się wspaczném szczęściem nie raz doświadczoném, ani karą regimentową. Najmilszą mieli zabawę z drabantami królewskimi (był to regiment saski konny, z ludzi najpiękniejszej twarzy złożony i wzrostu niemal olbrzymiego). Za tymi drabantami gwardyacy chodzili jak myśliwi za zwierzem, a gdzie tylko z nimi zaczęli bitwę, regularnie ich porąbali, a najwięcej po twarzach haniebnie szpecąc pięknych wcale ludzi, przecinali nosy, policzki, odcinali uszy; nie szukali z nich żadnego innego pożytku, tylko sławy, że karłowie zbili olbrzymów.

Mieli także gwardyacy doskonalszy od innych regimentów talent oszukaństwa, kuglarstwa i sztucznej kradzieży. Księgęby niemi zapisał, ktoby wszystkie miał wyszczególnić; dosyć więc będzie ogółem namienić o ich sztukach, że najprzezorniejszy wdawszy się z gwardyakiem w jaki frymark, został oszukany; kupił nie jeden zamiast pasa bogatego, garść konopi albo gałganów, w takiejże mięszości w zamknięciu, w jakim był pas pokazany; zamiast zegarka rzepe, zamiast bogatej karabeli kawał drewna krzywego i innych tym podobnych rzeczy. Gdy się zbiegło do jakiego woza, masłem, serem, ptastwem domowém i innemi żywnościami naładowanego, już się tam sprzedający nigdy towaru nie dorachował, choć żadnego kradnącego nie dostrzegł.

Ci którzy nie mieli przemysłu i sumienia do oszukań-

stwa, w pracy rąk szukali lepszego wyżywienia, niż go mieć mogli z żołdu pół dziewiąta grosza miedzianego na dzień wynoszącego, z którego jeszcze żołnierz musiał opatrywać glinę do patrontasza, szwarc do wąsów, kamaszów i trzewików, i jeżeli któremu podarł się mundur, albo trzewiki, albo co się zepsuło, za to wszystko z porządku kapitan odciągał z traktamentu, bez czego z trudna który obszedł się żołnierz, biorąc na dwa lata mundur, parę koszul, parę trzewików z kamaszami, i parę podeszew, co jednym przy pracy, drugim przy łotrostwie nigdy na dwa lata nie wystarczało. Drugi posiłek mieli, najmowania się na wartość jedni za drugich, mianowicie za tych, którzy będąc rzemieślnikami, żadnej powinności nie odbywali i tylko dla protekcji mundur gwardyacki nosili; tacy obowiązani byli raz w miesiąc prezentować się kapitanowi swemu w mundurze, wzięść od niego urlop od miesiąca do miesiąca podług lustracyi regimentu, stanąć w szeregu osobiście, lub podczas jakiej wielkiej parady, w innych zaś powinnościach mieć za siebie najemnika, którego jeżeli nie miał, to kapitan potrafił, że się bez niego powinność obeszła; ale żaden z takich rzemieślników, co tylko mundur przyjęli, nie brał traktamentu, ani małego moderunku, wszystko się to w kieszeniach kapitańskich zostawało.

Gwardya koronna i litewska, piesza i konna, różniła się od innych regimentów polnych tém: że wszystkie inne regimenta miały mundury gładkie; gwardye zaś burtami włóczkowemi, a oficerowie galonkami złotemi i srebrnemi szamerowane. Burty i galonki żółte miała gwardya ko-

ronna piesza, białe gwardya koronna konna i obydwie litewskie.

O gwardyi konnej koronnej. Gwardyą konną koronną, pospolicie nazywano żołnierzami mirowskiemi, od Mira, niegdyś tego regimentu sławnego jenerała. Mundur tego regimentu był: zwierzchnia suknia czerwona, kamizelka i spodnie jasno granatowe z guzikami cynowemi białemi, ładownice i flintpasy żółtawą glinką farbowane, rękawice z łosiej skóry, z dużemi karwaszami, takiegoż jak flintpasy koloru. Pas skurzany czyli rzemienny na modę łosiej skóry wyprawny, na sprzączkę mosiężną zapinany z przodu, od którego pasa z lewego boku były dwie pochwy przyszyte, jedna do pałasza, druga do bagneta.

Broń gwardyaka konnego i innego wszelkiego jezdca niemieckiego autoramentu była: karabin, pałasz i bagnet przy boku, na końcu w olstrzach para pistoletów; u oficera szpada przy boku i pistolety w olstrzach.

Gwardyak konny brał na dzień traktamentu szóstak bity, to jest miedzianych groszy dwanaście i szelągów dwa, za które mógł się wyżywić, dla tego też między nimi takich oszustów niebyło, jak między gwardyą pieszą.

Gwardya konna dalej nie konwojowała króla jak o ćwierć mili, gdyż miała ciężkie konie, pospolicie fryzami zwane, a król miał zwyczaj tak prędko jeździć pocztą, że co kwadrans milę drogi ujeżdżał.

Gwardya konna, póki nie służyła królowi, najmowała się do różnych robót, tak jak i gwardya piesza, gdy zaś uczczoną została strażą osoby królewskiej, zakazano naj-

mowania się do roboty, częścią dla tego, aby munduru przy pracy nie darła, i łaciasto tak jak gwardya piesza i inne regimenta nie chodziła, częścią dla powagi od boku królewskiego nabytėj, częścią dla tego, że prócz żołdu od rzeczypospolitėj płaconego, brała przydatek od króla.

Oprócz odbywania warty, służyła gwardya konna królowi do noszenia potraw na stoły publiczne w dni galowe, do której służby komenderowano tylu, ile być miało potraw na jedno danie. Szli w lederwerkach, poprzedzał ich kuchmistrz, za kuchmistrem szedł z laską podoficer jeden prowadzący owę rotę, za podoficerem szli żołnierze pojedynczo jeden za drugim z półmiskami; przyszedłszy do stołu, kuchmistrz odbierał potrawy od niosących za koleją i stawiał na stole.

O janczarach i węgrych. Dwie chorągwie janczarskie i trzy chorągwie węgierskie, należały także do wojska rzeczypospolitėj, komputowym zwanego, i były płatne ze skarbu. Jedna chorągiew janczarska assystowała zawsze hetmanowi wielkiemu koronnemu, gdziekolwiek on rezydował. Druga wielkiemu hetmanowi litewskiemu. Ubiór janczarów był taki, jaki widzimy po dziś dzień u janczarów tureckich. Officerowie janczarscy nosili podczas powinności tym samym krojem i takiegoż koloru suknie, jak i żołnierze; głowę przykrywali zawojem, tak jak Turcy, do którego zawoju używali czasem pasa bogatego, czasem muślinu białego z żółtą frendzlą u końców, nad lewem uchem wiszącėj. Na przodzie także głowy, tam, gdzie się zawój dzieli czyli zwęża, przetykali pierścień z jakiego kamienia

świecącego, a na prawej stronie zakładali kitkę lśniącą z egretką kamelizowaną; sama zaś czapka, którą opasywano zawój, była aksamitna, koloru żupanowi odpowiadającego, z kutasem na wierzchu złotym. Szabli także nie mieli wiszącej z ramienia, tak jak janczarowie, ale do boku przypasaną; pas perski lub turecki bogaty, w prawej ręce juka czyli szponton długi, czarno farbowany, drewniany, o dwu konarach, u wierzchu mosiężnych, połączanych, z dwoma dzwonekami takiemiż.

Nie będący na służbie officerowie janczarscy, nosili się po polsku w rozmaitych sukniach, albo w mundurach pancernych lub usarskich, jeżeli który z nich był towarzyszem pod którym znakiem. Wygodniejszą mieli służbę officerowie janczarscy niż innych regimentów, ponieważ im godziło się podług mody tureckiej na powinności zostającym, odziewać się futrem, a innym nie. Dla tego też janczarscy officerowie korzystając z tego przywileju, stawali zimą do parady w kierejach czyli szubach kunami, krzyżakami i innymi ciepłymi podszytych futrami. Latem podług tego przywileju w kierejach, kitajką tylko lub ałłasem na lisztwach przednich, a w tyle wiatrem podszytych.

Węgierska chorągiew. Z chorągwi tych, służyła jedna buławie polnej koronnej. druga buławie polnej litewskiej, trzecia najliczniejsza, marszałkowi wielkiemu koronnemu. Chorągiew laski wielkiej koronnej miała kolor czerwony z zielonym. Król we wszystkich trzech chorągwiach węgierskich.

Węgry marszałkowscy, mieli oprócz zwyczajnej warty

przy kurdygardzie i rontów nocnych, jeszcze jeden ciężar, że podczas każdego sejmu, musieli dzień w dzień trzymać wartę przy izbie poselskiej, w liczbie kilkudziesiąt od rana do nocy; do nich także należało wyprowadzać na plac osądzonych na śmierć, ale tylko tych, którzy szli z dekretu marszałkowskiego; tych zaś, których osądził magistrat miejski albo gród, wyprowadzała na śmierć milicya miejska albo starościńska. Jeżeli więzień był jaki dystyngwowany, i obawiano się aby nie był odbity przez kolligatów i przyjaciół, natenczas przydawano gwardyą pieszą koronną, ta opasowała sobą węgrów lub milicyą dwoma glejtami ściśnionemi, mając w tył wytknięte karabiny z bagnetami.

O żołnierzach ordynackich i częstochowskich. Ordynacyi mających wojsko na usługi, w czasie potrzeby rzeczypospolitój stawiać obowiązanych, było w koronie dwie: zamojska i ostrogska, albo dubieńska, w Litwie trzy: słucka, klecka i ołycka.

Gatunek żołnierzy ordynackich był taki, jak i rzeczypospolitój, to jest chorągwie hussarskie, które ordynacy nazwali złotemi chorągwiami, pancerne które nazwali białemi, lekkie, które nazwali wołoskiemi albo lipkami. W regulaminie stósowały się do autoramentu polskiego, pieszych żołnierzy i konnych.

Żołnierze ordynacy brali płacę od swoich ordynatów, od których zupełnie zależeli, nie wchodząc w skład wojska koronnego i litewskiego, i nienależąc do zwierzchności hetmańskiej. Zamojskiej ordynacyi żołnierze utrzymywani byli porządnie, nosili trzewiki i kamasze na wielką paradę

białe, na pospolite używanie czarne, tak jak piechota komputowa.

Ostrogskiej albo dubieńskiej ordynacyi piechota, chodziła w prostych butach chłopskich z podkówkami i odarto; dragonia dubieńska nosiła się porządnie, jako zawsze na oczach ksjeicia ordynata zostająca.

Kommendanci fortec ordynackich, zamojskiej i dubieńskiej, mieli stopień pułkowników, kommendant Słucki miał stopień jenerała, albowiem książę Radziwił chorąży litewski, który był ordynatem sluckim, trzymał własnego wojska regularnego sześć tysięcy różnego gatunku, jazdę i piechotę, a wyższych oficerów tytułował generałami, pułkownikami, majorami.

Częstochowski żołnierz niebył liczny, cały garnizon składał się najwięcej z ośmiudziesiąt żołnierzy pieszych i kilku oficerów. Kommendantem zaś najstarszym był ksiądz Paulin, do którego co wieczór po zamknięciu fortecy, klucze od bram odnoszono. On to do téj garstki wojska wydawał ordynanse i parole, zawiadywał armatami, ammunicyą i tym wszystkim, co tylko do kommendanta fortecy należeć powinno. Kiedy wieźdzał do fortecy, albo z niéj wyjeźdzał, bito przed nim werbel i stawano do parady, jak zwykli czynić żołnierze wojskowym kommendantom świeckim. Też same honory czyniono generałowi zakonu i prowincyałowi, kiedy odwiedzał klasztor i przeorowi miejscowemu, wiele razy pokazał się u bramy. Wreszcie dla niko go z znakomitszych gości nieszczędzono tych wojskowych salutacyi, które były polityczną żebraniną, albowiem osta-

tni żołnierz stojący w szeregu, nigdy niezapomniał zdjąć kapelusza z głowy i wyciągnąć go ku przejeżdżającemu, aby weń wrzucił jaki pieniądz dla garnizonu. Żołnierz stojący na szyldwachu, podobnież przed każdym dobrze ubranym, jedną ręką prezentował broń, a drugą ręką wystawiał kapelusz, a co dostał to było jego szczęściem, do podziału nienależącym. Żołnierzyska te częstochowskie były powiększej części stare dziady, w innych regimentach wysłużone, do Częstochowy jakoby na łaskawy chleb przyjęte. Takiegoż gatunku byli oficerowie.

Armaty częstochowskie były bardzo dobre, i liczono ich do kilkaset spiżowych i żelaznych, ale osady tych armat były stare i wypruchniałe, prócz kilkunastu pomiernych, z których dawano ognia podczas jakich uroczystości, albo na powitanie wielkich panów, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej odwiedzających; trzysta armat i moździerzy leżało na ziemi bez osad, bo pokój ciągły pod panowaniem Augusta III kwitnący, nie pobudzał nikogo do przygotowań wojennych, depieroż zakonników w rzemieśle wojennym niewywieczonych, lubo mieli dwa starostwa: kłobuckie i Brzeźnickie, na utrzymanie fortecy i załogi w dobrym stanie, od rzeczypospolitej nadane.

Mundur częstochowskiego garnizonu był: czerwona suknia zwierzchnia, kamizelka i spodnie granatowe, guziki cynowe białe, kapelusz bez galona; na nogach trzewiki i kamasze, do codziennego używania czarne, do parady białe. Ładownice skórzane czarne, na pasie rzemiennym farbowanym żółtą gliną, a potem kredą gdy na miejsce glinki weszła w używanie.

Gdyby był kto tak ciekawy i sposobny, żeby był przebiegł całą Polskę i Litwę i porachował żołnierstwo nadworne u wszystkich panów, zapewne naliczyłby go więcej, niż komputowego, bo każdy prawie senator i minister chował nadworne wojsko. Książę Hieronim Radziwił, chorąży wielki litewski, miał go regularnego do sześciu tysięcy, tak dobrze jak pruski żołnierz sprawnego, a drugie sześć tysięcy nieregularnego, to jest kozaków i strzelców zgruntą służbę czyniących, którym to wojskiem sam przywodząc osobiście, pokonał i przytłumił bunt chłopstwa na Żmudzi i Litwie przeciw panom swoim podniesiony, do 20 tysięcy zebranych, ale za tę usługę swoją ze wszystkich dóbr nie dawał podatku. Drugi po Radziwile pan możny w żołnierza nadwornego, był Mikołaj Potocki starosta kaniowski, który żołnierza regularnego pieszego i konnego dobrze płatnego i umundurowanego, miał do dwóch tysięcy; w tym lepszy od Radziwiła, że podatki publiczne płacił. Trzeci Franciszek Salezy Potocki krajczy koronny, trzymał po miastach swoich do kilkuset kozaków, humańskimi pospolicie zwanych, z gruntu służących; oprócz których miał nadwornych ułanów, jańczarów, piechotę i dragonią, cudzoziemskiem autoramentem urządzoną, co wszystko zebrane, wynosiło do dwóch tysięcy ludzi.

Czwarty, książę Jabłonowski wojewoda ruski, i brat jego starosta czehryński, który prócz kozactwa z gruntu służącego, miał dragonią i piechotę autoramentu cudzoziemskiego, do ośmiu set ludzi. Inni panowie znaczniejsi, jak to: Czartoryjscy, Lubomirscy, Rzewuscy, Sapiechowie, Ogiń-

scy, chowali nadwornego żołnierza w mundur okrytego i należytym moderunkiem opatrzonego, po trzysta, po dwieście po sto i po kilkadziesiąt, a po tych nie było prawie żadnego biskupa i senatora, wyjąwszy kilka ubogich, którzyby nie trzymał dwunastu dragonów albo kilku ułanów.

Nareszcie nadworny żołnierz, tak wszedł w modę, że lada panek mający intraty rocznej sto tysięcy, nie chciał być bez nadwornego żołnierza. Widzieć można było prawie powszechnie przed karetą jakiego takiego podkomorzego, starosty albo pana stolnika, pędzących na koniach, czasem jasnokościstych, kilku usarów albo ułanów z chorągiewkami. Zwyczaj ten przeniósł się do szlachty bez urzędów byle majątniej, i do młodych paniczów. A tak nie bardzo się omyłę, kiedy liczbę nadwornego żołnierza, naznaczę na 30,000, nie rachując kozaków, których mogło być na Ukrainie z drugie tyle: każdy albowiem szlachcic, mający wieś dziedziczną, musiał chować takowych ludzi, nie dla parady, ale dla obrony życia i majątku od hajdamaków; zazwyczaj jeżeli miał wieś 200 osady, to przynajmniej 30 oddzielił na kozaków, którzy mu żadnego zaciągu nie odbywali, ani żadnej daniny nie dawali, tylko co noc przez lato uzbrojeni spisą i samopałem, zjeżdżali się konno na podwórze do dworu, około którego wartę nocną trzymali, a pan z żoną i domownikami rozszedłszy się na przymroczu w stepy, lada gdzie w chwaście spoczywali, powierzwszy majątek cały owój warcie, która nieraz wielkim najeźdem hultajstwa obskoczona i zniesiona była. Nieraz też porozumiawszy się skrycie z hajdamakami i naprowadzi-

wszy ich na dom straży swojej oddany, wespół z nimi go zrabowała.

O hetmanach. Nie zdarzyło się nikomu pod panowaniem Augusta III, widzieć hetmana na koniu, pospolicie ta dostojność dostawała się starcom, dobrze laty przyciśnionym; a do tego konna jazda nie wychodziła z użycia, mianowicie u panów wielkich i u paniczów, zazwyczaj karety miasto konia używających, prócz regimentarzów, pułkowników, generałów, i urzędników koronnych, którzy dla przypodobania się końcem promocyi, lub zyskania intratnego starostwa, jadącemu królowi na sejm do zamku, lub na senatus consilium, konno przed karetaą assystowali czasem; co też i hetmanom, ale tylko wojskowi wyrządzali. Dostojność hetmanów, mianowicie wielkich koronnych i litewskich, przeważna, sławna i świetna, w kwitnących epokach bytu naszego, przygasła za panowania Sasów po zmiejszeniu wojsk i w tój otrętũałości, beczynności, w którój kraj przez lat pięćdziesiąt zostawał. X. Kitowicz pisze, że przez lat trzydzieści ani razu nie widziano hetmana na koniu przywodzącego wojsku, bo też i wojska prawie nie było, jak o tem jużesmy namienili. Lecz obok tego przy wjazdach na zamek króla albo na sejm hetmani występowali z przeychem, karetaą w sześć koni zaprzężoną ze strojną liberyą i assystencyą dworską.

Patenta na wszystkie stopnie cudzoziemskiego autorentu wydawali hetmani, także na porucznikowstwa i chorążstwa w chorągwiach polskich, tak poważnych jako też lekkich. Same tylko generalstwa regimentów, i rotmistrzo-

wstwa chorągwi polskich, należały do szafunku królewskiego. Co wszystko pomnażało wielce władzę hetmańską; wyższy bowiem generałów i rotmistrzów, którzy swoje zaszczyty winni byli królowi, reszta wojskowych oficerów zapatrywała się na hetmanów, jako na swoich dowódców.

W mocy także hetmańskiej było ukaranie wojskowych wszelkiej rangi, nawet i śmiercią, a to przez sąd wojenny w 24 godzinach, lubo przykłady takiej surowości nie dały się nam widzieć; dosyć, że także było powszechne między wojskowemi o władzy hetmańskiej przekonanie, o którym hetmani najczęściej w łajaniu oficerów krąbrnych i zdrożnych wspominali, choć do skutku nie przywodzili.

Czasem hetman, kiedy jeszcze był rzeźwy, brał na siebie zbroję, czasem zaś, kiedy już był podupadły na siłach, objeżdżał wojsko tylko w mundurze husarskim, z paludamentem na plecach zawieszonym, jaki się opisał pod marszem chorągwi husarskiej.

Przed hetmanem buńczuczny niósł buńczuk, to jest, ogon biały koński, na długim drzewcu, kształtnie umalowanem, wiszący. Buńczuczny tę służbę odbywał na koniu, którego dla większej okazałości, choć nie z potrzeby powodowali dwaj janczarowie; za hetmanem tłoczyło się na koniach mnóstwo regimentarzów, generałów, pułkowników, i t. d.; a tych wszystkich z buńczuczny i hetmanem opasywała chorągiew janczarska, przygrywając raz po raz wdzięczną, jak niedźwiedzią kapelą swoją.

O orderach. Order polski był tylko jeden. „Orła białego,” ustanowiony od Augusta II, rzadko któremu z panów

polских dawany, i tylko takim, którzy intratę roczną krociami, tysiącami, lub milionami rachowali. Ku końcowi panowania Augusta III, zageścili się orderzy, które graf Bryl, minister krakowski, pod pokrywką wyniszczonych wojną pruską skarbów królewskich, sprzedawał, od możnych i pragnących tej błyskotki biorąc po dziesięć i więcej tysięcy czerwonych złotych; wszakże gdy ten towar wielkiego pokupu nie miał, a żądza pieniędzy rosła, spadała cena orderów; można było na ostatku dostać orderu za tysiąc i mniej czerwonych złotych; a nawet i taniiej.



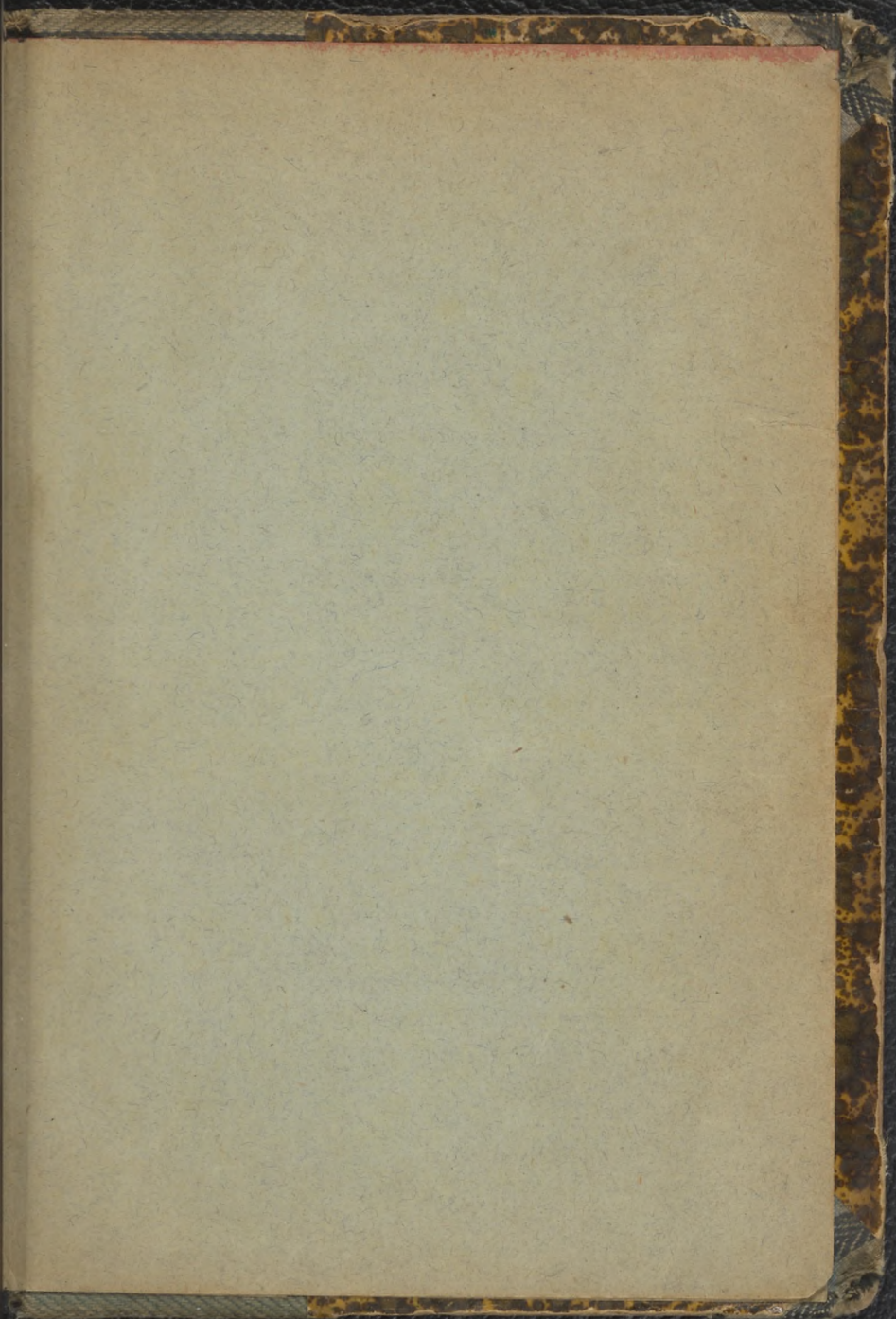
WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
A. GUMFLOWICZA
KRAKÓW, BRACKA 6.



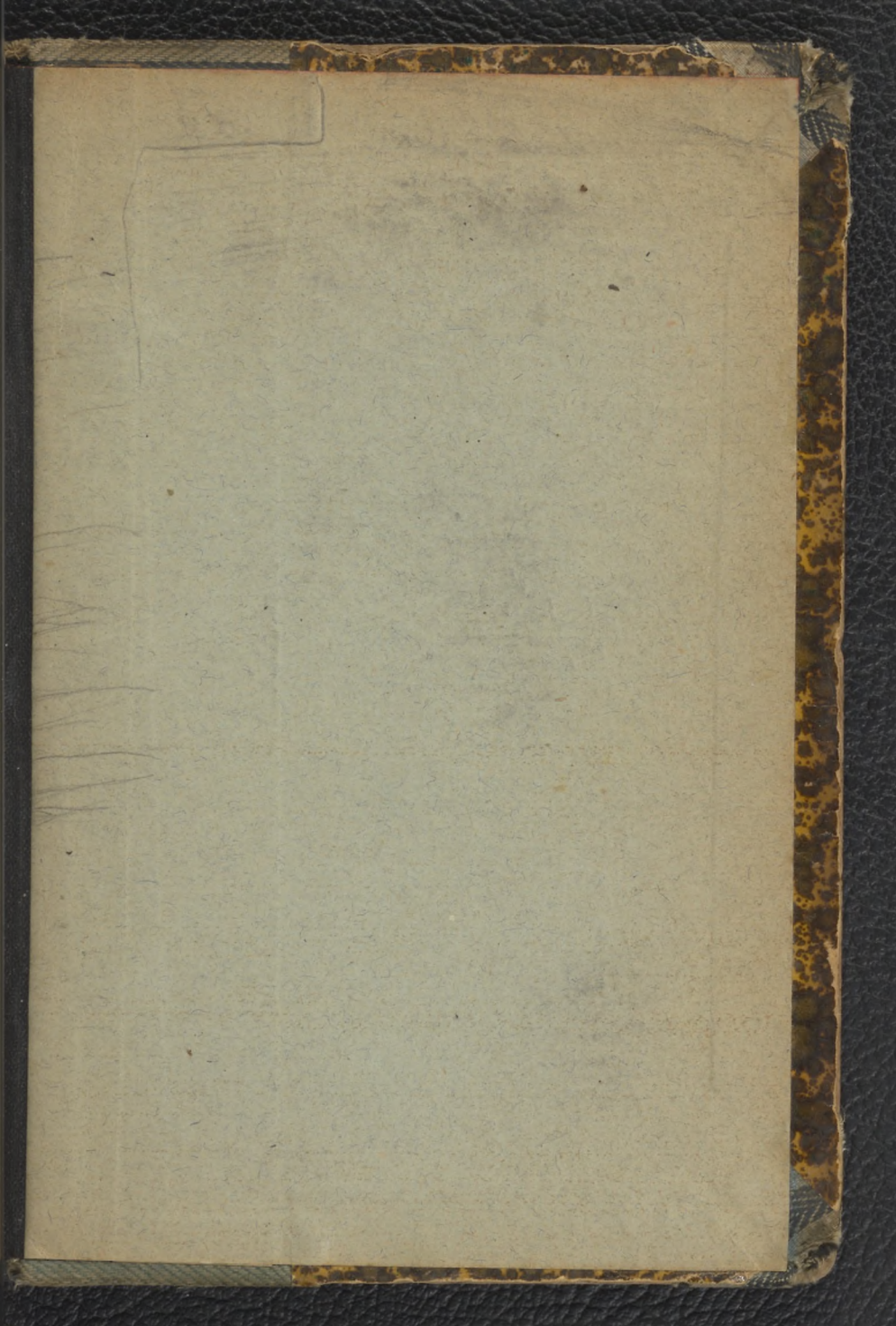
SPIS PRZEDMIOTÓW.

	<i>stron,</i>
Wstęp	1
Lud wiejski	8
Jego charakter	11
Stam jego pod przewagą panów	13
Obowiązki i ciężary	14
Znamiona ludu wiejskiego w różnych stronach:	
Krakowiacy	18
Górale karpaccy	24
Kujawiacy	28
Kurpie	30
Mazury	32
Podlasianie	33
Lublinianie	35
Litwini	36
Podolanie i rusini	38
Przesady i zabobony ludu	46
Przesady średnich stanów	60
Obrządki ślubne ludu	68
Rozmaite zwyczaje	86
Drobna zagonowa szlachta i ich wesela	88

	<i>stron.</i>
Wesela u możnych.....	92
Wesela mieszczan	97
Pogrzeby	98
Pomieszkania.....	112
Chaty	113
Domy szlachty i możnych.....	116
Biesady i rodzaje pożywienia.....	124
Trunki i pijatyka.....	143
Łaźnie	148
Ogrody.....	149
Konie	153
Powozy	156
Dwory królów i możnych.....	158
Poselstwa	165
Gry i zabawy.....	170
Muzyka dawna.....	190
Tańce	200
Śpiewy	201
Wychowanie i szkoły.....	205
Zakony i duchowieństwo.....	218
Palestra i sądy.....	228
Stan żołnierski	263
Hetmani.....	312
Order orła białego.....	313



Handwritten text, possibly a title or page number, including the word "part" and "2" followed by a flourish.





492226

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010871308